

JAMES PATTERSON

PODWÓJNA GRA

Z angielskiego przełożył RAFAŁ LISOWSKI

Tytuł oryginału: DOUBLE CROSS

1

Podczas ogłoszenia wyroku za jedenaście odkrytych morderstw były agent FBI i seryjny morderca Kyle Craig, znany jako Supermózg, wysłuchał w Alexandrii w stanie Wirginia protekcyjnego kazania sędzi okręgowej Niny Wolff. W każdym razie on tak odebrał tę sędziowską burę, którą przyjął bardzo osobiście.

— Wedle wszelkich znanych mi kryteriów jest pan najbardziej niegodziwym człowiekiem, jaki kiedykolwiek stanął przede mną na sali sądowej, a miałam do czynienia z wieloma podłymi...

— Dziękuję bardzo, Wysoki Sądzie — przerwał Craig. — Jestem zaszczycony tymi życzliwymi i bez wątplenia przemyślanymi słowami. Któż nie chciałby być najlepszy? Proszę mówić dalej. To muzyka dla moich uszu.

Sędzia Wolff spokojnie skinęła głową i ciągnęła myśl, jak gdyby Craig w ogóle się nie odezwał.

— Za niewyobrażalne morderstwa oraz wielokrotne tortury zostaje pan skazany na śmierć. Do czasu wykonania wyroku spędzi pan resztę życia w więzieniu o najwyższym stopniu nadzoru. Będzie pan odcięty od świata. Nigdy więcej nie zobaczy pan słońca. Zabrać mi go sprzed oczu!

9

— Wielce dramatyczne! — zawołał Kyle Craig do sędzi Wolff, gdy wyprowadzano go z sali sądowej — ale stanie się inaczej. Właśnie wydała pani na siebie wyrok śmierci. Jeszcze zobaczę słońce i panią też. Spokojna głowa. Jeszcze zobaczę Alexa Crossa. O tak, Alexa Crossa zobaczę z pewnością. I jego uroczą rodzinę. Macie na to moje słowo, obietnicę złożoną przed wszystkimi świadkami, przed tą żalosną publicznością, żadnym wrażeń motłochem, hienami z prasy i wszystkimi, którzy zaszczylili mnie dziś obecnością na sali. To jeszcze nie koniec Kyle'a Craiga!

Na widowni, wśród „żadnego wrażeń motłochu i hien z prasy”, siedział Alex Cross. Słuchał pustych gróźb dawnego przyjaciela. Mimo wszystko miał nadzieję, że więzienie o najwyższym stopniu nadzoru ADX Florence jest tak dobrze zabezpieczone, jak się twierdzi.

Dokładnie cztery lata później Kyle Craig nadal przebywał — choć może należałoby powiedzieć: dusił się — w więzieniu ADX Florence w stanie Kolorado, około stu sześćdziesięciu kilometrów od Denver. Przez cały ten czas nie zobaczył słońca. Niemal całkowicie odcięto go od świata. Rósł w nim gniew i to było straszne.

Jego współwięźniami byli między innymi Ted Kaczyński, czyli Unabomber, Terry Nichols, współodpowiedzialny za zamach w Oklahoma City, a także terroryści z Al-Kaidy: Richard Reid i Zacarias Musawi. Oni również nie potrzebowali ostatnio kremu do opalania. Przez dwadzieścia trzy godziny dziennie więźniowie przebywali w dźwiękoszczelnym betonowym celach o wymiarach dwa na trzy i pół metra, całkowicie odseparowani od wszystkich z wyjątkiem adwokatów oraz strażników. Samotną egzystencję w tym zakładzie porównywano do „codziennego umierania”.

Nawet Kyle przyznawał, że ucieczka stanowiłaby nie lada wyzwanie, a może nawet była wręcz niemożliwa. Do tej pory nikomu nie udało się stąd zbiec ani nawet podjąć sensownej próby. Mimo to można było żyć nadzieją, marzyć, planować i ćwiczyć wyobraźnię. Z pewnością można było planować drobną zemstę.

11

Obecnie w sprawie Craiga trwało postępowanie apelacyjne i co tydzień odwiedzał go Mason Wainwright, adwokat z Denver. Tego dnia, jak zawsze, przybył dokładnie o szesnastej.

Mason Wainwright nosił długi, srebrnisiwy kucyk, czarne, wytarte kowbojki oraz kowbojski kapelusz zsunięty zawadiacko na tył głowy. Miał na sobie kurtkę z kozłej skóry, pasek ze skóry węża oraz duże okulary w rogowej oprawie, dzięki którym wyglądał jak wykształcony piosenkarz country, a może jak rozkochany w country wykładowca uniwersytecki — co kto woli. Wybór tego właśnie adwokata wydawał się dziwny, ale Kyle Craig miał reputację geniusza, toteż nikt nie kwestionował jego decyzji.

Gdy Wainwright wszedł do pomieszczenia, uścisnęli się. Kyle jak zwykle szepnął prawnikowi na ucho:

- Tutaj nie wolno filmować, prawda? Ta zasada wciąż obowiązuje? Jesteś tego pewien?
- Nikt nie filmuje — odrzekł Wainwright. — Nawet w tej żałosnej dziurze masz zapewnioną poufność kontaktów z adwokatem. Przykro mi, że nie mogę zrobić więcej. Bardzo przepraszam. Wiesz, ile dla mnie znaczysz.
- Nie podważam twojej lojalności.

Gdy przestali się obejmować, usiedli po przeciwnych stronach stołu konferencyjnego z szarego metalu, podobnie jak krzesła przyśrubowanego do betonowej podłogi.

Kyle zadał osiem konkretnych pytań, jak zawsze tych samych. Zadawał je prędko, nie zostawiając adwokatowi czasu na odpowiedź. Wainwright milczał z szacunkiem.

— Wielki pocieszyciel wielokrotnych morderców, Truman Capote, powiedział kiedyś, że boi się wyłącznie dwóch rzeczy. Więc co jest gorsze: zdrada czy opuszczenie? — zaczął Kyle Craig, po czym natychmiast przeszedł do kolejnych pytań. — Jaka była pierwsza rzecz, przy której zmusiłeś się do powstrzymania płaczu, i ile miałeś wtedy lat? Niech mi pan powie,

12

mecenasie, ile czasu średnio potrzeba, żeby tonący człowiek stracił przytomność. I jeszcze coś mnie ciekawi: czy więcej morderstw popełnia się na dworze, czy pod dachem? Dlaczego śmiech na pogrzebie jest niedopuszczalny, a płacz na ślubie owszem? Czy słysząc klaskanie, kiedy z jednej ręki usunie się ciało? Na ile sposobów można obdrzeć kota ze skóry, jeśli ma przeżyć ten proces? Aha, i jeszcze coś: jak idzie moim Red Soksom?

Nastąpiła cisza. Czasami skazaniec pytał jeszcze o kilka drobiazgów: na przykład o dodatkowe szczegóły na temat drużyn baseballowych bostońskich Red Soksów czy też nowojorskich Jankesów — tych ostatnich nienawidził — albo o jakiegoś ciekawego zabójcę na wolności, o którym wspomniał prawnik.

Później znów się obejmowali i Mason Wainwright przygotowywał się do opuszczenia sali.

Prawnik szepnął Kyle'owi na ucho:

— Są już gotowi. W Waszyngtonie będą się dziać ważne rzeczy. Będzie rewanż. Oczekujemy sporej widowni. Wszystko na twoją cześć.

Kyle Craig nic nie odrzekł, ale złożył palce wskazujące i przycisnął je mocno do czoła prawnika. Naprawdę mocno, zostawiając ślad, który natychmiast dotarł do mózgu Masona Wainwrighta.

Palce były złożone na krzyż.

Rozdział 1

Waszyngton.

Bohaterami pierwszej opowieści, thrillera, byli iracki żołnierz i autorka kryminałów. Żołnierz obserwował luksusowy, dwu-nastopiętrowy apartamentowiec i myślał: Więc tak żyją sławni i bogaci. Co najmniej głupio i do tego ryzykownie.

Zaczął analizować możliwości włamania.

Mieszkańcy superluksusowego apartamentowca Riverwalk, a nawet ich ponurzy pachołkowie, bardzo rzadko korzystali z wejścia służbowego na tyłach budynku. Znajdowało się w podziemnym garażu i stanowiło czuły punkt.

Gdy patrzyło się z zewnątrz, na pojedynczych, wzmocnionych drzwiach nie rzucał się w oczy żaden osprzęt. Framuga ze wszystkich stron podłączona była do instalacji.

Każda próba sforsowania drzwi spowodowałaby uruchomienie alarmu w głównym biurze Riverwalk oraz w siedzibie prywatnej firmy ochroniarskiej mieszczącej się zaledwie kilka przecznic dalej.

W ciągu dnia umieszczone pod sufitem kamery monitorowały wszystkie dostawy i cały ruch pieszy.

Wejścia służbowego nie wolno było używać po godzinie dziewiętnastej — wtedy uruchamiano czujniki ruchu.

17

Żołnierz uważał, że żadna z tych kwestii nie stanowi poważnego problemu. Szczerze mówiąc, w jego sytuacji to nawet korzystne.

Jusuf Kasim pod rządami Saddama przez dwanaście lat był kapitanem Muchabratu. Miał szósty zmysł do takich rzeczy: do wszystkiego, co związane z iluzją bezpieczeństwa. Kasim widział to, czego nie dostrzegali Amerykanie, którzy przez swą miłość do technologii stali się zbyt pewni siebie i ślepi na zagrożenie. Najlepszy sposób wejścia do Riverwalk był jednocześnie najprostszy.

Rozwiązaniem były śmiecie. Kasim wiedział, że z niezawodną regularnością wyrzuca się je w poniedziałek, środę i piątek po południu. Amerykańska skuteczność, tak bardzo tu ceniona, to kolejna wada luksusowego budynku.

Skuteczność to przewidywalność.

Przewidywalność to słabość.

Rozdział

Rzeczywiście, o szesnastej trzydzieści cztery wejście służbowe otworzyło się od wewnątrz. Wysoki czarnoskóry sługus z siwym afro na głowie, ubrany w zaplamiony zielony kombinezon, przypiął drzwi do zewnętrznej ściany za pomocą łańcucha umieszczonego po ich wewnętrznej stronie. Płaski wózek, załadowany napęczniałymi plastikowymi workami ze śmieciami, był zbyt szeroki, by zmieścić się w wejściu.

Mężczyzna poruszał się powoli i leniwie nosił po dwa worki do śmietników na przeciwległym końcu zadanej strefy załadunku.

Ten człowiek wciąż jest niewolnikiem białych, pomyślał Kasim. Patrzcie na niego: jak żałośnie szura nogami, jak patrzy w ziemię. On też o tym wie. Nienawidzi tej pracy i strasznych ludzi w budynku Riverwalk.

Kasim patrzył uważnie i liczył. Dwanaście kroków od drzwi, dziewięć sekund na wrzucenie worków do śmietnika i powrót.

Podczas trzeciego kursu wślizgnął się do budynku niezauważony. Nawet gdyby jego czapka i zielony kombinezon nie wystarczyły, by zmylić kamerę, nie miało to znaczenia. Zanim ktoś zauważy wtargnięcie do apartamentowca, jego dawno tu nie będzie.

Z łatwością odnalazł słabo oświetlone schody służbowe. Na pierwsze piętro wszedł bardzo ostrożnie, na trzy kolejne wbiegł. Ten bieg w gruncie rzeczy pomógł uwolnić skumulowaną adrenalinę, nad którą trzeba panować.

Na podeście czwartego piętra stała nieużywana szafa gospodarcza, w której schował worek z ubraniami, po czym ruszył na dwunaste.

Nim od wejścia do luksusowego budynku upłynęły trzy i pół minuty, Kasim stał przed drzwiami apartamentu 12F. Oceniał swą pozycję w stosunku do wizjera. Palec zawisł nad dzwonkiem — białym przyciskiem wpuszczonym w malowaną cegłę.

Na tym jednak Kasim poprzestał. Tego dnia nie wcisnął guzika.

Bezszelестnie odwrócił się na pięcie i ruszył tam, skąd przyszedł. Po kilku minutach znalazł się z powrotem na zatłoczonej Connecticut Avenue.

Próba przebiegła całkiem dobrze. Bez większych problemów ani niespodzianek. Teraz Kasim przepychał się przez tłum pieszych. W tym stadzie był niewidzialny, tak jak tego chciał.

Nie czuł pośpiechu, by wykonać egzekucję. Cierpliwość i niecierpliwość nie miały dla niego znaczenia. Przygotowanie, wyczucie czasu, ukończenie dzieła, sukces — to one się liczyły.

Gdy nadejdzie czas, Jusuf Kasim będzie gotów odegrać swą rolę.

I zrobi to.

Krok po kroku, Amerykanin po Amerykaninie.

Rozdział

Nie pracowałem w policji już od jakiegoś czasu. Jak dotąd całkiem mi to odpowiadało.

Stałem odwrócony plecami do drzwi kuchni i sączyłem z kubka kawę Nany. Rozmyślałem o tym, że może to sprawka jakiegoś składnika w wodzie, ale trójka moich dzieci zdecydowanie za szybko rośnie. Absolutnie w mgnieniu oka. Bo to jest tak: albo człowiek nie może znieść myśli, że dzieci kiedyś opuszczą dom, albo wręcz nie może się tego doczekać. Ja bezapelacyjnie należałem do pierwszej grupy.

Mój najmłodszy synek, Alex junior — Ali — właśnie szedł do przedszkola. Był bystrym malcem, któremu buzia prawie się nie zamykała, z wyjątkiem chwil, gdy wiedział, że naprawdę chce się od niego czegoś dowiedzieć. Aktualnie pasjonował się Rekordami zwierząt na Animal Planet, drużyną baseballową Washington Nationals, biografią Michaela Jor-dana Salt In His Shoes oraz wszystkim, co związane z kosmosem, w tym bardzo dziwnym serialem Gigantor z jeszcze dziwniejszym motywem przewodnim, którego nie mogłem przestać nucić.

Jannie, dotąd chuda jak patyk, zaczynała nabierać nieśmiałyh krągłości. Była naszą rodzinną artystką i aktorką. Chodziła

21

na zajęcia malarskie w ramach programu ArtReach organizowanego przez galerię Corcoran.

Natomiast Damon, który właśnie osiągnął sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, wybierał się do szkoły średniej. Jak dotąd nie krzyczał, nie rzucał mięsem i ogólnie chyba lepiej rozumiał otoczenie niż jego rówieśnicy. Próbowano go nawet ściągnąć do siebie kilka prywatnych liceów, w tym jedno bardzo natarczywe z Massachusetts.

Również w moim życiu wiele się zmieniało. Prywatna praktyka szła całkiem nieźle. Po raz pierwszy od lat „oficjalnie” nie miałem nic wspólnego z organami ochrony porządku publicznego. Wypadłem z gry.

No, w każdym razie prawie. W moim życiu był pewien starszy oficer śledczy z wydziału zabójstw: Brianna Stone, znana jako Skała, jeśli słuchoć detektywów, którzy z nią pracowali. Poznałem Bree na imprezie z okazji przejścia na emeryturę znajomego gliniarza. Przez pierwsze pół godziny rozmawialiśmy o pracy, a przez następne kilka o nas samych — o różnych dziwnych rzeczach, takich jak jej udział w drużynie wioślarskiej. Pod koniec wieczoru zaproszenie jej na randkę było niemal formalnością. Właściwie może to ona mi ją zaproponowała. W każdym razie sprawy potoczyły się szybko: wróciłem z Bree do domu i nie oglądaliśmy się za siebie. Do niej też poszedłem chyba na jej zaproszenie.

Bree całkowicie panowała nad sobą — była zasadnicza, i to w tym dobrym sensie. Na dodatek nawiązała naturalny kontakt z moimi dziećmi. Lubiły ją. Właśnie w tej chwili z olimpijską prędkością goniła Alego po parterze domu przy Piątej Ulicy, rycząc jak pożerający dzieci kosmita, w którego najwyraźniej się zmieniała. Ali wymachiwał mieczem świetlnym z Gwiazdnych wojen, nie chcąc jej do siebie dopuścić.

— Przeciwno mnie ta broń jest beużyteczna! — krzyczała Bree. — Zaraz będziesz gryzł dywan!

22

Tamtego ranka nie spędziliśmy jednak na Piątej Ulicy zbyt dużo czasu. Szczerze mówiąc, gdybyśmy tam zostali, musiałbym przemyścić Bree na piętro, żeby pokazać jej nieistniejącą kolekcję znaczków albo może mój miecz świetlny.

Po raz pierwszy, odkąd zaczęliśmy się spotykać, udało nam się zgrać terminy i wygospodarować kilka dni na wspólny wyjazd. Wyszedłem z domu, głośno śpiewając końcówkę pierwszego przeboju Steviego Wondera, Fingertips Part 2: „ Good--bye, good-bye. Good-bye, good-bye. Good-bye, good-bye, good-bye”. Znałem słowa piosenki na pamięć — to jeden z moich talentów.

Puściłem oko do Bree i cmoknąłem ją w policzek.

— Zawsze pozostawiaj ich roześmianych — poradziłem.

— A przynajmniej zmieszanych — odrzekła i odpowiedziała mrugnięciem.

Cel naszej podróży, Park Górski Catoctin w stanie Maryland, położony jest na wschodnim krańcu Appalachów, niezbyt daleko od Waszyngtonu — ale też nie za blisko. Najśłynniejsze miejsce w górach to chyba Camp David, ale Bree знаła kemping dostępny dla zwykłych śmiertelników takich jak my. Nie mogłem się doczekać, kiedy znajdę się tam z nią sam na sam.

Gdy jechaliśmy na północ, niemalże czułem, jak w mojej głowie słabnie dudnienie Waszyngtonu. Okna mojego R350 były opuszczone i jak zwykle rozkoszowałem się jazdą tym wspaniałym autem. Bardzo dawno nie zrobiłem lepszego zakupu. Z głośników śpiewały wspaniałe Jimmy Cliff. W tej chwili życie było naprawdę całkiem fajne. Trudno to przebić.

Gdy tak śmigaliśmy, Bree zapytała: Dlaczego mercedes?

- Jest wygodny, prawda?
- Bardzo.

Wcisnąłem pedał gazu. Szybki, wrażliwy.

23

- Dobrze, już rozumiem.
- Ale przede wszystkim bezpieczny. W moim życiu było już dość niebezpieczeństw. Nie potrzebuję dodatkowych na drodze.

Przy wjeździe do parku, kiedy płaciliśmy za kemping, Bree przechyliła się przez mój fotel i odezwała do dyżurnego strażnika:

- Dziękujemy. Będziemy traktować wasz park z szacunkiem.
- Co to miało być? — spytałem, gdy ruszyliśmy dalej.
- Cóż mogę powiedzieć? Ochrona środowiska leży mi na sercu.

Kemping był przepiękny i rzeczywiście godny szacunku. Znajdował się na malutkim cyplu, z trzech stron okolonym lśniąca, błękitną wodą. Z tyłu rozciągał się gęsty las. W oddali dostrzegałem Chimney Rock, gdzie następnego dnia zamierzaliśmy udać się na wędrówkę. Poza nami nie widziałem natomiast żywej duszy.

Tylko tę jedną, która się dla mnie liczyła: Bree, która, tak się składało, była najseksowniejszą kobietą jaką kiedykolwiek poznałem. Sam jej widok mnie nakręcał, szczególnie tutaj, gdy byliśmy sami.

Objęła mnie w pasie.

- Czy wyobrażasz sobie coś bardziej idealnego?

Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłoby zepsuć nasz weekend.

Rozdział

Opowieść, thriller, trwała dalej. Czterdzieści osiem godzin po bezbłędnej próbie Jusuf Kasim wrócił do apartamentowca Riverwalk, pełnego majątnych i nieostrożnych Amerykanów.

Jednakże tym razem to nie ćwiczenie. Teraz działał naprawdę

1 aż go skręcało w środku. Dla samego Kasima i jego sprawy to naprawdę wielki dzień.

Dokładnie o szesnastej trzydzieści cztery otworzyły się drzwi służbowe i ten sam wysoki, czarnoskóry pracownik zaczął ospale wnosić na ulicę worki ze śmieciami. Jak niewolnik, pomyślał Kasim. Wciąż w okowach. W Ameryce nic się nie zmienia. Od setek lat.

Niecałe pięć minut później stał na dwunastym piętrze przed drzwiami mieszkania Tess Olsen.

Tym razem zadzwonił. Czekał na tę chwilę tak długo — wiele miesięcy, a jeśli miał być szczery, to może nawet całe życie.

Tak? — W wizjerze drzwi apartamentu 12F mrugnęło oko Tess Olsen. — Kto tam?

Jusuf Kasim upewnił się, że jego kombinezon oraz czapka

2 napisem „MO” są widoczne. Dla tej kobiety z pewnością wyglądał jak pierwszy lepszy konserwator arabskiego pocho-

25

dzenia. A przecież w swym zawodzie powinna zauważać szczegóły. Bądź co bądź, była przecież znaną autorką kryminałów. To ważny element opowieści. Kluczowy szczegół.

— Pani Olsen? Wyciek gazu u pani. Ktoś dzwonił z biura?

— Słucham? Może pan powtórzyć?

Miał niezwykle mocny akcent. Mówienie po angielsku musiało być dla niego męczarnią. Mówił wolno jak jakiś idiota.

— Wyciek gazu. Proszę? Zreperuję wyciek? Ktoś dzwonił? Mówił, że przyjdę?

— Dopiero wróciłam do domu. Nikt nie dzwonił — odparła. — Nic o tym nie wiem. Chyba nikt się nie nagrał. Mogę sprawdzić.

— Przyjdę później? Zreperować wtedy? Pani czuje gaz?

Kobieta westchnęła z nieskrywaną irytacją kogoś, kto ma na

głowie zbyt wiele trywialnych obowiązków i brak mu osób do pomocy.

— Na litość boską — powiedziała. — Niech pan wejdzie. Tylko proszę się pośpieszyć. Świetny moment pan sobie wybrał. Muszę się ubrać i wyjść za dwadzieścia minut.

Na dźwięk zasuwki Jusuf Kasim się przygotował. Gdy tylko kobieta uchyliła drzwi i zobaczył jej oczy, rzucił się naprzód.

Znaczna siła fizyczna nie była potrzebna, ale okazała się wielce przydatna. Tess Olsen poleciała kilka kroków w tył i mocno upadła na siedzenie. Czótenka na wysokim obcasie spadły jej z nóg, odkrywając pomalowane na czerwono paznokcie oraz długie, kościste stopy.

Zanim zdążyła otrząsnąć się z szoku i zaczęła krzyżeć, wylądował na niej i całym ciężarem naparł na klatkę piersiową. Prostokąt srebrnej taśmy izolacyjnej, którą wcześniej przykleił sobie do nogawki, szybko trafił na usta kobiety. Kasim przykleił ją naprawdę mocno, by Olsen zrozumiała, że nie żartuje, a opór z jej strony będzie niemądry.

26

Nie chcę cię skrzywdzić — oznajmił; to pierwsze z wielu

kłamstw.

Następnie przewrócił ją na brzuch i wyciągnął z kieszeni czerwoną smycz dla psa, którą zapiął jej na szyi. To kluczowy element planu. Wykonana z niedrogiej nylonowej siatki, ale wystarczająco mocna.

Smycz stanowiła wskazówkę — pierwszy trop dla policji oraz każdego, kto zainteresuje się sprawą.

Kobieta mogła mieć koło czterdziestki, farbowała włosy na blond i pomimo że ćwiczyła, by zachować szczupłą sylwetkę, nie była zbyt silna.

Teraz coś jej pokazał — nóż do wykładzin! Paskudnie wyglądające narzędzie. Przekonujące.

Szeroko otworzyła oczy.

— Wstawaj, słaba, tchórzliwa kreaturo — powiedział jej wprost do ucha. — Albo potnę ci twarz na wstążki.

Wiedział, że łagodny głos bardziej ją przerazi niż krzyk. Nagła poprawa jego angielszczyzny również musiała ją zdezorientować i przestraszyć.

Gdy zaczynała się podnosić, chwycił ją mocno za chudy kark. Przytrzymał ją w tej pozycji — wciąż na czworakach.

— Tyle wystarczy, pani Olsen. Nie drgnij nawet o centymetr. Bądź bardzo, bardzo nieruchomo. Teraz użyję noża.

Kosztowna czarna sukienka rozpadła się, rozcięta na plecach. Kobieta drżała w niekontrolowany sposób i usiłowała krzyknąć przez knebel. Bez ubrania była ładniejsza — zgrabna, dość pociągająca, choć nie dla niego.

— Nie martw się. Nie rucham na pieska. A teraz naprzód, na kolanach. Rób, co każe! Twój napięty terminarz na tym nie ucierpi.

W odpowiedzi tylko jęknęła. Dopiero kopnięcie w tyłek pomogło jej zrozumieć polecenia.

Wtedy wreszcie zaczęła się czołgać.

27

— Jak ci się podoba? — zapytał. — Suspens. Przecież to o nim piszesz. Właśnie dlatego tu jestem. Bo w swoich książkach piszesz o zagadkach kryminalnych. Rozwiążesz tę?

Powoli przemierzili kuchnię i jadalnię, docierając do przestronnego salonu. Jedną ścianę w całości zajmował regał z książkami, w tym wieloma jej autorstwa. Rozsuwane drzwi ze szkła na przeciwległym końcu pokoju prowadziły na balkon, gdzie stało pełno eleganckich mebli ogrodowych oraz lśniący czarny grill.

— Popatrz no tylko na te książki! Jestem pod wrażeniem. Wszystkie sama napisałaś? Są też zagraniczne wydania! Tłumaczyłaś coś? Jasne, że nie. Przecież Amerykanie znają tylko angielski.

Kasim ostro szarpnął za smycz i pani Olsen przewróciła się na bok.

— Nie ruszaj się! Mam trochę roboty. Trzeba zostawić wskazówki. Nawet ty jesteś wskazówką pani Tess Olsen. Już wszystko skapowałaś? Rozwiązałaś tajemnicę?

Szybko wszystko urządził w salonie tak, jak chciał. Następnie wrócił do kobiety, która ani drgnęła i chyba w końcu pojęła swą rolę.

— To ty? Na tym obrazie? — zapytał nagle z zaskoczeniem w głosie. — Tak, to ty!

Stopą podniósł jej brodę, zmuszając, by spojrzała na ścianę. Nad bogato zdobioną kanapą wisiał duży olejny portret. Przedstawiał Tess Olsen w długiej, srebrnej sukni. Dłonią opierała się o okrągły, wypolerowany stół z wyszukaną kompozycją kwiatową. Twarz miała surową, pełną bezpodstawnej dumy.

— Nie jesteś do siebie podobna. W rzeczywistości ładniej wyglądasz. A bez ubrania seksowniej. A teraz wyłaź! Na balkon. Będiesz bardzo sławna, obiecuję. Fani czekają.

Rozdział

Po kolejnym mocnym szarpnięciu smyczą Tess Olsen z trudem wstała, wyciągnęła ręce i wreszcie złapała choć tyle równowagi, by móc chodzić.

To wszystko wydawało się takie nierealne. Drżąc, wycofała się na balkon — aż wreszcie plecami dotknęła żelaznej barierki.

Cała się trzęsa. Dwanaście pięter niżej, w porze najbardziej wzmożonego ruchu, po Connecticut Avenue wolno przesuwały się auta. Setki pieszych przemierzały chodniki, większość ludzi patrzyła w ziemię, nieświadoma tego, co działo się w górze, w wieżowcu Riverwalk. Doskonały symbol życia w Waszyngtonie.

Jusuf Kasim zerwał taśmę z ust kobiety.

— A teraz krzycz! — rozkazał. — Krzycz, jakby cię obdzierali ze skóry! Krzycz, jakbyś odchodziła od zmysłów z przerażenia. Chcę, żeby cię słyszeli w Wirginii. W Ohio! W Kalifornii!

Lecz ona odezwała się do niego, mamrocząc ledwie zrozumiale:

Błagam. Nie musi pan tego robić. Mogę panu pomóc. Mam dużo pieniędzy. Może pan wziąć z mieszkania, co chce. W drugiej sypialni jest sejf. Proszę, niech mi pan tylko powie...

29

— Powiem pani, czego chcę, pani Tess Olsen — odparł Kasim, przystawiając pistolet do jej diamentowego kolczyka. — Chcę, żeby pani krzyczała. Bardzo, bardzo głośno. Natychmiast! Na komendę, że tak powiem. Rozumie mnie pani? To proste polecenie: krzycz!

Krzyk, który wydobył się z jej ust, przypominał jednak szloch, żałosne skomlenie połknięte przez wiatr.

— No dobrze — powiedział Kasim i złapał ją za gołe nogi. — Spróbujemy po twojemu!

Jednym mocnym szarpnięciem przerzucił ją przez barierkę. Zawisła głową w dół.

Teraz zaczęła krzyczeć głośno i wyraźnie jak syrena alarmowa. Tess Olsen szarpała się w powietrzu, szukając uchwytu, którego po prostu nie było.

Czerwona smycz powiewała na wietrze jak strumień krwi z żyły szyjnej. Niezły efekt, bardzo filmowy, pomyślał Kasim. Tego właśnie potrzebował. To wszystko element planu.

W dole natychmiast zaczął się zbierać tłum. Ludzie przystawali i zadzierali głowy. Niektórzy dzwonili przez komórki. Inni używali telefonów do robienia zdjęć — w zasadzie pornograficznych, gdyby się nad tym zastanowili.

W końcu Kasim wciągnął Tess Olsen z powrotem i położył ją na balkonie.

— Dobrze się spisałaś — powiedział łagodniejszym tonem. — Piękna robota, nie żartuję. Widziałaś, jak ci ludzie robią zdjęcia? Co za świat.

Jej kolejne słowa popłynęły strumieniem:

— Wielki Boże, błagam, ja nie chcę tak umierać. Pan na pewno czegoś chce. W życiu nikomu nie zrobiłam krzywdy. Nic nie rozumiem! Błagam... Niech pan przestanie!

— Zobaczmy. Nie trać nadziei. Rób dokładnie to, co ci każę. Tak będzie najlepiej.

— Dobrze. Obiecuję. Zrobię, co pan powie.

30

Wychylił się, by lepiej widzieć Connecticut Avenue i wszystkich ludzi.

Nawet w ciągu ostatnich sekund tłum jeszcze zgęstniał i wciąż przybywali nowi gąpie. Kasim zastanawiał się, czy tamci z komórkami dzwonią na policję — czy może tylko do znajomych, żeby ich zaszokować albo podniecić. „Nie uwierzysz, na co właśnie patrzę. Masz, sam zobacz!”.

Publiczność też nie uwierzy w to, co zaraz zobaczy. Nikt nie uwierzy i właśnie dlatego miliony będą w kółko oglądać te obrazy w telewizji.

Aż do czasu, kiedy on przebiję to morderstwo kolejnym.

— Na twoją cześć — szepnął. — Wszystko na twoją cześć.

Rozdział

— Ty rozpal ogień — zaproponowała Bree. — Ja odpicuję apartament.

Wzruszyłem ramionami i puściłem do niej oko.

— Myślę, że ten, no, ogień już gotowy — powiedziałem. — Nawet na pewno.

— Cierpliwości, Alex — odparła Bree. — To będzie jej warte. Ja jestem jej warta. Ale chwilowo pamiętajmy motto harcmistrza: jeśli nie uda ci się zrobić planu, planujesz, że ci się nie uda.

— Nigdy nie byłem harcerzem — odrzekłem. — Jak na harcerza, jestem zbyt napalony.

— Cierpliwości. Jeśli musisz wiedzieć, ja też jestem napalona.

Podczas gdy ja szukałem podpałki, Bree wyjęła rzeczy z bagażnika. To, co wyciągnąłem ze strychu, obok jej sprzętu wyglądało na zabytki. Prędko postawiła ultralekki namiot, który wypełniła dmuchanym materacem, rozgrzewanym kocem i kilkoma lampami. Miała nawet urządzenie do filtrowania wody, na wypadek gdybyśmy chcieli pić ze strumienia. Na koniec nad wejściem powiesiła dzwonki poruszane wiatrem. Fajny drobiazg.

32

Jeśli o mnie chodzi, w chłodziarce marynowały się dwa ogony homara oraz para ładnie przerośniętych steków Del-monico, wszystko to gotowe do grillowania. Mogliśmy się tutaj obawiać baribali, ale liofilizowana żywność nie wchodziła

w grę.

Pomóc ci? — zapytałem, gdy ogień ładnie się palił,

a w niebo strzelały iskry.

Bree właśnie wyciągnęła z tylnego siedzenia płótno żaglowe, chyba po to, by zrobić z niego osłonę przed słońcem.

— Tak, otwórz caberneta. Proszę cię, Alex. Już prawie wszystko gotowe.

Kiedy wino oddychało, Bree zdążyła rozpiąć materiał na trzech gałęziach nad naszymi głowami. Zrobiła pętlę, tak by móc z ziemi obniżyć lub podciągać rogi.

— Musimy uważać z jedzeniem — powiedziała. — W tych okolicach naprawdę są rysie i niedźwiedzie.

— Tak słyszałem. — Podałem jej kieliszek. — Wiesz co? Całkiem nieźle radzisz sobie w obejściu.

— A ty na pewno jesteś niezgorszym kucharzem. Czasem umykały mi słowa Bree, ponieważ byłem zbyt zajęty

wpatrywaniem się w te jej czarujące piwne oczy. To pierwsze, co zauważyłem, gdy ją poznałem.

Niektórzy po prostu mają wspaniałe oczy. Oczywiście nie tylko one mnie rozpraszały. W każdym razie w tej chwili. Zdążyła rzucić buty i właśnie rozpinając guziki obciętych džinsów. I bluzki. Stała przede mną w bładoniebieskim staniku i majteczkach. Chwilowo zapomniałem o jej oczach, choć były wspaniałe. Oddała mi swój kieliszek.

— Wiesz, co jest tutaj najlepsze?

Nie mam pewności, ale chyba zaraz się przekonam. Prawda?

Tak, bez wątpienia się przekonasz.

Rozdział 7

Zawsze uważałem, że życie balansuje na granicy absurd i bezsensu, ale wciąż bywa piękne, jeśli tylko widzieć je w odpowiednim świetle.

Dlatego reszta popołudnia była idealna. Trzymając się za ręce, pobiegliśmy do kuszącego strumienia Big Hunting. Zdjęliśmy resztę ubrania i weszliśmy. W pierwszej chwili czuliśmy się niezbyt komfortowo, ale po minucie woda była dla nas jak druga skóra.

Nie wiedziałem, czy kiedykolwiek zechcę wyjść. Całowaliśmy się i tuliliśmy, a potem pływaliliśmy i chlapaliśmy jak dwójka dzieci na wakacjach. Gdzieś nieopodal żaby ryczące próbowały nam śpiewać serenadę: rozlegały się miarowe porykiwania.

— Myślicie, że to zabawne?! — zawołała do nich Bree. —-No, może i owszem.

Znów zaczęliśmy się całować i sprawy potoczyły się szybko, aż do chwili, kiedy w starych filmach pokazywano rozpędzoną lokomotywę przejeżdżającą przez tunel. Tylko że mnie i Bree nie śpieszyło się do podróży przez ten tunel. Szepnęła, że mam łagodne dłonie, żebym ją wszędzie lekko łaskotał i żebym nie przestawał. Podobało mi się to, co robię. Powiedziałem jej, że ma najdelikatniejsze ciało, co dziwne przy jej silnej budowie.

34

Taka zmysłowa eksploracja musiała sprowadzić kłopoty... i sprowadziła.

Cofnęliśmy się kilka kroków, tak by woda sięgała nam do piersi. Wtedy Bree wypłynęła w górę i oplótła mnie nogami, a ja w nią wszedłem. Dzięki wodzie wszystko trwało dłużej, ale to, co dobre, zawsze się kończy. Bree krzyczała, ja też, i nawet te cholerne żaby na chwilę się zamknęły.

Potem leżeliśmy na kocu na trawiastej plaży, schliśmy w póź-nopopołudniowym słońcu i robiliśmy rzeczy, przez które znów mogliśmy wpaść w kłopoty. W końcu bardzo nieśpiesznie się ubraliśmy i przygotowaliśmy kolację.

— Mógłbym się do tego przyzwyczać — powiedziałem. — Właściwie to już się przyzwyczałem.

Po steku i homarach oraz mojej słynnej mieszanej sałatce przyszła pora na porcję zabójczych ciastek czekoladowych na deser — z wyrazami uszanowania od Nany, która darzyła Bree uznaniem. Dojrzałem już do tego, by wraz z moją towarzyszką wypróbować namiot.

Gdy zrobiło się ciemno, byliśmy szczęśliwi i odprężeni. Praca pozostała odległym wspomnieniem. Niedźwiedzie i rysie nie budziły wielkiej troski.

Spojrzałem na Bree leżącą przy ognisku we wgłębieniu mojego ciała. Teraz zdawała się równie delikatna i wrażliwa, jak silna i pewna siebie była w pracy.

— Jesteś niesamowita — szepnąłem. — Cały dzień był jak sen. Nie budź mnie, dobrze?

— Kocham cię — powiedziała. Po czym szybko dodała: — Ups.

Rozdział

Słowa Bree zawisły w powietrzu na kilka sekund, co było nowością — po raz pierwszy przy niej nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Tak mi się wymknęło. Kto to w ogóle powiedział? Przepraszam. Przepraszam!

— Bree, ja... Dlaczego przepraszasz? — spytałem.

— Alex, nie musisz nic mówić. Oboje nic nie musimy. O rany, patrz na te gwiazdy!

Wziąłem ją za rękę.

— Wszystko w porządku. Po prostu sprawy toczą się nieco szybciej, niż przywykliśmy. To wcale nie musi być coś złego.

Bree odpowiedziała pocałunkami, potem śmiechem, a później jeszcze głośniejszym śmiechem. Mogło być bardzo niezręcznie, ale jakimś cudem wyszło wręcz przeciwnie. Mocno ją przytuliłem i znów zaczęliśmy się całować. Patrzyłem jej w oczy.

— No właśnie: o rany — powiedziałem.

Dlatego gdy właśnie w tym momencie odezwał się jej pager, to... co? Chyba sprawiedliwości stało się zadość. Czy to klasyczna ironia losu? Niezbyt śmieszny był fakt, że zwykle to do mnie dzwonili w niewłaściwym momencie.

36

Pager w namiocie znów zabzyczał. Bree zamarła w bezruchu i spojrzała na mnie.

No, idź — powiedziałem. — To twój. Musisz odebrać.

Wiem, jak to działa.

Tylko zobaczę od kogo.

— Spokojnie — odparłem. — Zobacz.

Ktoś nie żyje, pomyślałem. Musimy wracać do Waszyngtonu.

Zniknęła w środku. Po kilku sekundach usłyszałem, że rozmawia przez telefon.

— Mówi Bree Stone. O co chodzi?

W pewnym sensie cieszyłem się, że jest tak rozchwytywana. W pewnym sensie. Od mojego przyjaciela, detektywa Johna Sampsona, słyszałem, że jeśli zechce, w policji czeka ją świetlana przyszłość. Tymczasem telefon mógł oznaczać tylko jedno. Spojrzałem na zegarek. Pewnie zdążylibyśmy do miasta przed wpół do jedenastej. Gdyby Bree chciała, żeby przycisnął gaz. Mój mercedes zdecydowanie mógł się wywiązać z zadania.

Kiedy znów wyszła z namiotu, zdążyła zmienić szorty na dżinsy i właśnie zapinała bluzę z kapturem z logo uczelni Georgia Tech.

— Nie musisz ze mną jechać. Wróć, jak najszybciej się da. Na śniadanie albo i wcześniej.

Już zacząłem zbierać rzeczy.

— Jasne. A rachunek przyjdzie pocztą i to tylko opryszczka.

Trochę się zaśmiała.

— Naprawdę przepraszam. Cholera, Alex. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mi przykro. I jaka jestem wkurzona.

— Nie denerwuj się — powiedziałem. — To był idealny dzień. — A potem, ponieważ nie mogłem się powstrzymać i wiedziałem, że Bree nie obrazi się za zmianę tematu, zapytałem: — Więc co to za sprawa?

Rozdział 9

To się nazywa dezorientująca zmiana miejsca i tempa, do tego zdecydowanie niezbyt przyjemna, mówiąc delikatnie. Do apartamentowca Riverwalk dotarliśmy za dziesięć jedenasta wieczorem, czyli około sześciu godzin po dokonaniu morderstwa. Bree zaproponowała, że odwiezie mnie na Piątą Ulicę, ale wiedziałem, że chce tu szybko dojechać. To sprawa z pierwszych stron gazet, tego byliśmy pewni.

Na miejscu zbrodni wciąż dużo się działo i panowała tam upiorna atmosfera. Pojawiło się mnóstwo reporterów i wozów telewizyjnych. Sprawa już teraz zapowiadała się na pożywkę dla mediów: zamożna ofiara, autorka bestsellerów, zamordowana w przerażający sposób w rzekomo bezpiecznej okolicy.

Legitymacja Bree pozwoliła nam dotrzeć do krawężnika przed wysokościewcem. Podjazd w kształcie litery U był odgradzony. Z formalnego punktu widzenia to też część miejsca zbrodni, ponieważ ofiara właśnie tu wylądowała, kiedy na oczach kilkudziesięciu świadków została zrzucona z własnego balkonu.

Rozbitą furgonetkę, na którą spadła, wciąż badał zespół techników w białych kombinezonach. Wóz stał niedaleko wejścia. W jasnym oświetleniu technicy wydawali mi się podobni

38

do duchów. Po drugiej stronie ulicy, za podwójną barierką ustawioną przez policjantów, kłębiła się ponad setka gapiów. Żadna z twarzy w tłumie nie rzucała mi się w oczy, ale to nic nie oznaczało. To nie twoje śledztwo, powtarzałem sobie.

Bree wysiadła i przeszła na moją stronę auta.

Może prześpisz się u mnie? Proszę cię, Alex, jedź. I tak

w domu nikt na ciebie jeszcze nie czeka, prawda? Później moglibyśmy wrócić do tego, co przerwaliśmy.

— Albo może tu poczekam i zabiorę cię jak najszybciej — odparłem i demonstracyjnie odchyliłem fotel kierowcy. — Widzisz? Pełna wygoda dla pięciu osób. Posiedzę w samochodzie, nic mi nie będzie.

— Na pewno?

Wiedziałem, że Bree ma wyrzuty sumienia z powodu dzisiejszego wieczoru. Przeżyłem to samo wiele, wiele razy i może wreszcie zrozumiałem, co czuła moja rodzina.

— Lepiej idź. Na górze jest już pewnie pół posterunku. Zaślinię ci miejsce zbrodni.

Bree nachyliła się do kabiny i pocałowała mnie na do widzenia, ściągając wzrok dwóch umundurowanych funkcjonariuszy

— To, co wcześniej powiedziałam — szepnęła — mówiłam poważnie. — Następnie odwróciła się do mundurowych. — A wy co? Wracać do roboty. Nie! Cofam. Pokażcie mi, dokąd iść. Gdzie jest moje miejsce zbrodni?

Transformacja Bree to nie lada widok. Gdy maszerowała w stronę bloku, zmieniła się nawet jej sylwetka. Wyglądała władczo, przypominała mi mnie samego, ale wciąż była naj-seksowniejszą kobietą, jaką znałem.

Rozdział 10

Tamtego wieczoru głęboko w tłumie na Connecticut Avenue, naprzeciwko apartamentowca Riverwalk, kryli się mężczyzna i kobieta w strojach do biegania. Przyjeżdżały kolejne radiowozy, a oni stali i podziwiali swą robotę.

Genialna kreacja, Jusuf Kasim, przestała istnieć. Raz, dwa i znikł, lecz nie został zapomniany. Mężczyzna rewelacyjnie zagrał Jusufa, a publiczność patrzyła urzeczona, odkąd tylko wyszedł na balkon, na swoją scenę. Najwyraźniej wielu widzów wciąż pozostawało pod wrażeniem brawurowego występu i rozmawiało o nim szeptem.

Cóż za stosowny bis. Wiele godzin po przedstawieniu gapie nie ruszyli się sprzed luksusowego apartamentowca. Co kilka minut docierali nowi admiratorzy. Kłębili się przedstawiciele mediów: CNN, innych dużych stacji, gazet, radia, a także amatorzy nagrań wideo, blogerzy.

Mężczyzna szturchnął kobietę łokciem.

— Widzisz to, co ja?

Wyciągnęła szyję i spojrzała w lewo, a potem w prawo.

— Gdzie? Tyle tu do oglądania. Nakieruj mnie trochę.

40

— Na czwartej godzinie. Widzisz już? Z samochodu wysiada detektyw Bree Stone. A ten w kabinie to Alex Cross. Jestem pewien. Przyjechał Cross, a to dopiero nasze pierwsze przedstawienie. Staliśmy się przebojem!

Rozdział 1

Przez pierwsze pół godziny usiłowałem sobie wmówić, że dobrze mi tak siedzieć w samochodzie i do niczego się nie mieszać. Mercedes — pół kombi, pół SUV — był równie wygodny, jak wyściełany fotel w moim salonie. Trzymałem na kolanach egzemplarz Historii miłości Nicole Krauss, przeskakiwałem po stacjach w radiu satelitarnym, a w końcu wysłuchiwałem lokalnych wiadomości. Delektowałem się książką

Krauss, ponieważ przypominała mi czasy, gdy zakochałem się w beletrystyce. W domu miałem drugą dobrą powieść, *Winter 's Bone* Daniela Woodrella, równie pasjonującą.

Teraz, gdy wypadłem z gry, miałem dużo czasu na lekturę. Ale czy naprawdę wypadłem?

Słuchając jednym uchem, wychwyciłem w wiadomościach kilka oczywistych nieścisłości. Najgorsza była informacja, że zabójca z Riverwalk to terrorysta. Zbyt wcześnie na podobne wnioski. Sprawą zajmowały się jednak wszystkie media w mieście, a także wiele ogólnokrajowych, i każdy szukał oryginalnego punktu widzenia. Zazwyczaj sprzyjało to popełnianiu błędów, jednak nikt się tym nie przejmował, jeśli teorię można było przypisać jakiemuś „ekspertowi” lub nawet innej stacji albo gazecie.

42

Zresztą zabójcy też nie zależało na precyzji informacji. Byłem przekonany, że najbardziej interesuje go po prostu uwaga mediów.

Byłem ciekaw, czy policja przydzieliła kogoś do śledzenia informacji prasowych. Gdybym to ja prowadził sprawę, zadbałbym o to w pierwszej kolejności. Z akcentem na „gdybym”. Ponieważ to nie była moja sprawa. Ja już spraw nie prowadziłem. Nawet za tym nie tęskniłem, a przynajmniej tak sobie wmawiałem, obserwując wydarzenia z samochodu.

Coś w widoku ruchliwego miejsca zbrodni pobudzało jednak moje instynkty. Od chwili przyjazdu układałem teorie i analizowałem różne scenariusze — nie mogłem się powstrzymać.

Zabójca na pewno chciał mieć publiczność. Świadkowie zgodnie opisywali go jako „mężczyznę z Bliskiego Wschodu”, a to oznaczało... co? Czy możliwe, że mamy do czynienia z 'owym rodzajem terroryzmu — z terrorystami-domokrążcami? Jak wpisywała się w to wszystko autorka bestsellerowych kryminałów? Musiało istnieć jakieś powiązanie. Czy zabójca odgrywał brutalną, sadystyczną scenę, którą wcześniej wielokrotnie sobie wyobrażał? Czy to zdarzenie z książek pisarki? Jakież psychopata zrzuca ofiarę z dwunastego piętra?

W końcu ciekawość kazała mi wstać. Wsiadłem z auta i podniosłem wzrok w stronę najwyższego piętra. Nie widziałem Bree ani nikogo innego.

Tylko się szybko rozejrzę, powiedziałem sobie. Jak za dawnych czasów. Przecież to nie zaszkodzi.

Rozdział 12

Kogo ja oszukiwałem? Pogromca Smoków znów ruszył na łowy. Czułem się tak naturalnie, jakbym to robił cały czas. Nawet przez te wszystkie miesiące przerwy.

Większość kamer telewizyjnych gromadziła się na ulicy wokół policyjnego centrum dowodzenia. Rozpoznałem kapitana z wydziału do spraw przestępstw z użyciem przemocy, Thora Richtera. Stał pośród całego tego chaosu przed kłębem mikrofonów i sam udzielał wywiadów.

Zatem Bree zapewne była na górze. Na pewno tak wołała. Nie lubiła policyjnej polityki ani samego Richtera, zresztą podobnie jak ja. Zbyt ściśle trzymał się przepisów, był bez-względny fiutem i bezwstydnym dupolizem. No i co to za imię: Thor? Wiem, byłem niezycliwy, ale po prostu go nie lubiłem.

W holu apartamentowca panował względny spokój. Rozpoznało mnie kilku mundurowych, którzy chyba nie wiedzieli, że już od jakiegoś czasu jestem cywilem. Jechałem windą na dwunaste piętro, ale spodziewałem się nie dotrzeć dalej niż do zewnętrznego obwodu. Ktoś tam przecież musiał sprawdzać odznaki.

I rzeczywiście, sprawdzał —jak się okazało, stary znajomy,

44

Tony Dowell, który kiedyś pracował w Southeast. Nie miałem z nim kontaktu od lat.

Kogo ja widzę! Alex Cross.

— Siemasz, Tony. Myślałem, że takich starych gliniarzy jak ty puszczają na emeryturę. Jest tu gdzieś Bree Stone?

Tony sięgnął po radio, ale zaraz zmienił zdanie.

— Korytarzem prosto — powiedział, wskazując kierunek. Potem podał mi parę lateksowych rękawiczek. — Przydadzą ci się.

Rozdział 1

Poczułem dreszcz niecierpliwości, a potem nieprzyjemny! chłód. Czy tak łatwo wrócić na linię ognia lub też gdziekolwiek właśnie wchodziłem? Przed drzwiami apartamentu 12F drobny Azjata, którego rozpoznałem jako policyjnego technika, szukał odcisków palców. To oznaczało, że w mieszkaniu jest stosunkowo spokojnie. Nigdy nie używa się chemikaliów, dopóki pracy nie skończą zespoły zbierające dowody.

Bree stała pośrodku salonu, zamyślona i nieobecna.

W poprzek dywanu barwy kości stoniowej biegły ciemne smugi, prawdopodobnie ślady krwi ofiary. Rozsuwane szklane drzwi prowadziły na balkon. Lekki powiew poruszał zasłoną.

Poza tym pokój zdawał się właściwie nietknięty. Przy każde ścianie stały półki wypełnione książkami w twardej oprawie, w większości beletrystyką. Były wśród nich również powieści autorstwa ofiary, w tym zagraniczne przekłady. Dlaczego autorka kryminałów? — zastanawiałem się. Musiał istnieć jakiś powód, przynajmniej w umyśle zabójcy. Czy to właściwy tok myślenia? Może tak, może nie, ale w każdym razie na pewno właściwie analizowałem miejsce zbrodni.

— Jak idzie? — odezwałem się w końcu.

Bree uniosła brwi z miną mówiącą: „Jak ty tutaj wszedłeś?”, ale kompletnie zrezygnowała z czechaj gadki. Nigdy wcześniej nie widziałem jej w pracy; była tu kimś zupełnie innym.

Wygląda na to, że wszedł głównymi drzwiami. Nigdzie

ani śladu włamania. Może udawał konserwatora. Chyba że go znała. Jej ubrania i torebka leżą tam.

Czegoś brakuje? — zadałem oczywiste pytanie.

Bree pokręciła głową.

— Niczego, co rzucaloby się w oczy. To raczej nie był rabunek. Kiedy spadła z tarasu, miała na sobie bransoletkę i kolczyki z brylantami. Czyli wygląda na to, że jednak można zabrać je ze sobą do grobu.

Wskazałem smugi na dywanie.

— Co o nich wiesz?

— Lekarz sądowy mówi, że ofiara miała rozkrwawione kolana, zanim jeszcze spadła z balonu. I słuchaj tego: kiedy zabójca ją zrzucił, miała na szyi smycz dla psów.

— W radiu mówili, że to sznur. Myślałem, że może stryczek, ale wydawało mi się bez sensu. Smycz dla psów? Ciekawe. Dziwaczne, ale ciekawe.

Bree wskazała w stronę sklepionego przejścia i leżącej za nim jadalni, pełnej szklanych gablot z naczyniami stołowymi.

— Plamy krwi zaczynają się tam, a kończą tutaj, na środku pokoju. Zmuszał ją, by się czołgała.

— Jak pies. W takim razie chciał ją publicznie upokorzyć. Co ona mu zrobiła? Czym sobie na to zasłużyła?

Racja, wygląda to na sprawę osobistą. Może to jej chłopak a'bo ktoś, kto o niej fantazjował? — Odetchnęła powoli. — Wiesz, gdybyś wciąż pracował w policji, pewnie dostałbyś tę sprawę. Głośna, mocno ześwirowana.

Nie przyznałem, że już dawno przyszło mi to do głowy, dziwne sprawy zazwyczaj trafiały do mnie. Czy zatem Bree

yla nowym mną? Nagle zacząłem się zastanawiać, czy nasze

spotkanie na przyjęciu rzeczywiście było tak „przypadkowe”, jak się wtedy wydawało.

— Ktoś tu jeszcze mieszka? — spytałem.

— Jej mąż zmarł dwa lata temu. Zatrudniała gosposię, ale dziś po południu miała wolne.

Zacząłem się kotysać na piętach.

— Może zabójca o tym wiedział.

— Na pewno.

To ciekawe, jak płynnie wpadliśmy z Bree w tok pracy. A najdziwniejsze, że właśnie wcale nie wydawało się to dziwne. Zauważyłem drobne szczegóły. Haftowaną poduszkę z napisem: I „Lustereczko, powiedz przecie, ile z własnej matki jest w każdej kobiecie?”. Kartkę z życzeniami firmy Hallmark stojącą nad kominkiem. Zerknąłem na nią i okazała się pusta. Czy to miało jakieś znaczenie? Pewnie nie. Ale może. Nigdy nie wiadomo.

Razem wyszliśmy na balkon.

— Mógł bez trudu zabić ją w ciszy i spokoju, ale zamiast tego wylał tutaj i wyrzucił ją przez balkon — powiedziała Bree bardziej do siebie niż do mnie. — To jest tak pochrzanione, że nie wiem, co o tym myśleć.

Obejrzałem rozciągający się stąd widok: po drugiej stronie kilka innych luksusowych apartamentowców, w dole, nieco po prawej, zoo, w okolicy więcej drzew niż w większości wielkich miast. W sumie całkiem tu ładnie — migoczące nocą światła i pięknie oświetlone plamy ciemnej zieleni.

Dokładnie pod nami znajdował się podjazd w kształcie litery U, bijąca fontanna oraz szeroki chodnik. A także setki gapiów.

Nagle coś do mnie dotarło. Albo raczej coś, co już wcześniej podejrzewałem, wydało mi się na tyle prawdopodobne, żeby to powiedzieć na głos.

— Bree, on jej nie znał osobiście. Chyba nie. Tu chodziło o coś innego.

Bree odwróciła się i spojrzała na mnie.

48

Mów dalej.

— Choć to brzmi bez sensu, nie zabił jej z pobudek osobistych. To znaczy od samego początku była to publiczna egzekucja. Chodziło właśnie o publiczność. Chciał, żeby morderstwo widziało jak najwięcej ludzi. To było przedstawienie. Zabójca przyszedł zrobić show. Możliwe, że wcześniej stał tam na dole i wybrał ten konkretny balkon.

Rozdział 1

A potem było nas troje.

Do salonu wszedł mój przyjaciel Sampson, całe jego dwa metry i sto kilo żywej wagi. Wiedziałem, że musiał go zdziwić mój widok, ale jak zwykle przyjął to z kamienną twarzą.

— Chcesz wynająć? — zapytał. — Z tego, co słyszała chata jest wolna. Od dzisiaj pewnie będzie chodzić tanio.

— Tak tylko przechodziłem. Trochę zbyt zamożna okolica jak na mój portfel.

— Na przechodzeniu gorzej się zarabia niż na poradach, cukiereczku. Trzeba ci lepszego biznesplanu.

— Masz coś, John? — spytała Bree.

Mówiła do niego „John”. Ja od dzieciństwa mówiłem do

niego „Sampson”. Jedno i drugie działało.

— Nikt nie widział, jak nasz chłoptaş wchodzi ani jak wychodzi. W tej chwili sprawdzają wszystkie nagrania z kamer monitoringu. Tak w ogóle to budynek jest nieźle strzeżony. Na pewno znajdą go na którejś z taśm, chyba że umie przenikać przez ściany.

— To niewielka pociecha, ale myślę, że on chętnie dał sobie zrobić zdjęcie — powiedziałem.

50

W tym momencie z przeciwległego końca pokoju zawołał umundurowany policjant.

przepraszam, detektywie...!

Obróciliśmy się wszyscy troje.

— To znaczy, proszę pani... Detektywie Stone. Jest do pani pytanie. Od techników z drugiego pokoju.

Cała nasza trójka ruszyła za nim wąskim korytarzem do pokoju wypoczynkowego. Stało tam jeszcze więcej książek, a na ścianach wisały francuskie litografie w drogich ramach oraz kilka zdjęć z wakacji. Najwyraźniej całe mieszkanie umeblowano sprzętami najwyższej jakości — wszystko wypieszczone i na wysoki połysk. Przy drzwiach stał karton z alkoholami dostarczonymi z Cleveland Park. Czy zabójca podszył się pod dostarczyciela? Czy w ten sposób dostał się do środka?

W kącie pokoju stała obita dwuosobowa kanapa, a na szafot — telewizor. Otwarte drzwiczki odsłaniały połączony odtwarzacz DVD i magnetowid.

Na półce zauważyłem kolejną kartkę Hallmarku. Ona również była pusta.

— Bree, może ktoś powinien zebrać te kartki. Są puste. To może nic nie znaczyć, ale w salonie jest taka druga.

Przy telewizorze czekała na nas młoda kobieta w kurtce zespołu kryminalistycznego.

— Tutaj, detektywie.

— Co tu mamy? — spytała Bree.

Może nic... ale w magnetowidzie jest taśma. W całym pokoju nie ma innych kaset. Mam ją włączyć, wyjąć czy co?

Widać, że dziewczyna była zdruzgotana.

Odciski palców już zdjęte? — spytała Bree łagodnym tonem.

Tak, proszę pani.

Czy drzwiczki szafki były otwarte, czy zamknięte? —

Zapytałem.

51

— Na pewno otwarte, dokładnie jak teraz. Doktor Cross prawda?

W tonie młodej policjantki pobrzmiwała niepewność, ale Bree jakby tego nie odnotowała. Włączyła telewizor oraz magnetowid.

Najpierw tylko zaszumiało. Potem mignął niebieski ekran. Zaczyna się, pomyślałem.

W końcu zobaczyliśmy obraz. I to niepokojący, już od samego początku.

Półbliźnię granatowej ściany, na której wisiła flaga. Poza tym w kadrze znajdowało się wyłącznie proste, drewniane krzesło.

— Ktoś wie, jaka to flaga? — spytała Bree.

Na fladze był czerwony, biały i czarny pas, a na środku trzy zielone gwiazdy.

— Iracka — powiedziałem.

To słowo huknęło jak grom z jasnego nieba.

Wtedy Bree zrobiła rozsądną rzecz: zatrzymała film.

— Niech wszyscy stąd wyjdą — powiedziała. — Natychmiast.

Przy drzwiach zdążyła się zgromadzić garstka policjantów, którzy chcieli zobaczyć, co się dzieje w pokoju.

— Detektywie — powiedział jeden z nich. — Ja jestem w zespole dochodzeniowym.

— Zgadza się, Gabe. Dlatego wiesz, jak delikatny może być materiał na tej taśmie. Porozmawiaj ze wszystkimi, którzy przed chwilą tu byli. Zadbaj o to, żeby nikt nie puścił pary z ust.

Zamknęła drzwi pokoju, nie czekając na jego reakcję.

— Mam wyjść? — zapytałem.

— Nie, zostań. John też.

Następnie znów włączyła nagranie.

Rozdział 1

Z cienia, prosto w kadr, wyszedł mężczyzna. Zabójca? Któż by inny? Zostawił nam to nagranie, prawda? Chciał, żebyśmy je obejrzel. Miał na sobie gładką, jasnokremową szatę i czarno-białą keflję. Wyglądał na potwornie wkurzonego na świat. W rękach trzymał karabin AK-47, który położył sobie na kolanach, gdy usiadł, by przemówić do kamery.

To dopiero było niewiarygodnie dziwne. Dosłownie zaparło mi dech w piersiach. Natychmiast rozpoznaliśmy rodzaj nagrania. Wszyscy je wcześniej widzieliśmy — autorstwa Al--Kaidy, Hezbollahu, Hamasu.

Jeszcze mocniej ścisnęło mnie w żołądku. Mieliśmy się czegoś dowiedzieć o zabójcy i mogłem się założyć, że to nie będzie nic dobrego.

— Nadszedł czas, żeby dla odmiany to obywatele Stanów Zjednoczonych posłuchali — powiedział mężczyzna po angielsku z mocnym akcentem.

Na policzkach, czole i wydatnym nosie miał głębokie blizny. Po oście. Kolorem skóry, wąsami oraz wzrostem odpowiadał rysopisowi zabójcy z Riverwalk.

To musiał być nasz człowiek. Ten, który zabił Tess Olsen,

53

zrzucając ją z dwunastego piętra, a wcześniej upokorzył ją prowadzając na smyczy.

— Wszyscy, którzy oglądacie ten film, jesteście winni morderstwa. Wszyscy jesteście równie winni, jak wasz tchórzliwy prezydent. Jak wasz Kongres i kłamliwy sekretarz obrony. I na pewno równie winni, jak żałośni amerykańscy i brytyjscy żołnierze, którzy plugawią ulice mojego kraju i mordują moich rodaków, bo wydaje wam się, że świat należy do was. A teraz zapłacicie życiem. Tym razem amerykańska krew zostanie rozlana w Ameryce. Możecie być pewni, że jeden człowiek może wiele zdziałać. Podobnie jak nikt z was nie jest niewinny, teraz nikt nie będzie bezpieczny.

Mężczyzna wstał i podszedł do kamery. Spojrzał na nas tak, jakby widział wnętrze tego pokoju.

Następnie uśmiechnął się przerażającym uśmiechem. Sekundę później na ekranie znów był tylko szum.

— Chryste — rzucił Sampson w ciszę, która nastąpiła. — Co to za pochrzanione gównno? Co to za świr?

Bree właśnie miała wcisnąć przycisk „stop”, kiedy na ekranie pojawił się inny obraz.

— Podwójny seans — powiedział Sampson. — Przynajmniej facet wyznaje zasadę, że za swoje pieniądze zastępujemy na porządną porcję rozrywki.

Rozdział 1

Najpierw obraz był nieostry — ktoś stał przed kamerą. Kiedy się cofnął, zobaczyliśmy, że to ten sam mężczyzna, teraz jednak miał na sobie zielony kombinezon i czarną bejsbolówkę z napisem „MO”.

Scena z pewnością rozgrywała się w salonie Tess Olsen. Dzisiaj! Pani Olsen klęczała w tle na czworakach, była naga i wyraźnie się trzęsła. Usta miała zaklejone taśmą, a na szyję założono jej tę czerwoną smycz.

Wszystko sfilmował. Przez cały czas grał pod publiczność.

W pokoju już wcześniej panował ponury nastrój, ale teraz jeszcze się pogorszył. Zabójca — albo terrorysta, jak zaczynałem o nim myśleć — podszedł do Tess Olsen. Mocno szarpnął za smycz, a ona z trudem wstała. Łkała w niekontrolowany sposób. Być może wiedziała, co ją teraz czeka. Czy to znaczy, że znała zabójcę? Skąd mogła go znać? Z powodu książki, którą właśnie pisała? Jaki był jej najnowszy projekt?

Kilka sekund później mężczyzna wyciągnął ją na balkon. Wpierw częściowo odkleił, potem zerwał jej taśmę z ust. Z tej Uległości niewiele słyszeliśmy — dopóki nie złapał pani Olsen 1 nie przewiesił przez barierkę. Przeszywające krzyki dosięgnęły mikrofonu kamery, ustawionej jakieś sześć metrów od balkonu.

55

Zabójca cały czas zerkał przez ramię, co kilka sekund patrząc w obiektyw.

— Widzicie? Cofnął się, żeby wrócić w kadr — powiedziała Bree. — On nie robił przedstawienia tylko dla ludzi na ulicy. Przeznaczył to również dla nas... a w każdym razie dla tych, którzy znajdą kasetę. Patrzcie na twarz tego sukinsyna.

Teraz się uśmiechał. Nawet z tej odległości upiorny uśmiech był wyraźny i niedwuznaczny.

Następne kilka sekund ciągnęło się w nieskończoność, podobnie bez wątpienia czuła Tess Olsen. Zaprowadził ją z powrotem do pokoju i posadził na podłodze. Czy liczyła na wytchnienie? Że zostanie oszczędzona? Poruszyła ramionami i znów zaczęła płakać. Po jakiejś minucie ponownie wyprowadził ją na balkon.

— To już teraz — powiedziała Bree ponuro. — Nie chcę tego oglądać.

Ale obejrzała. Wszyscy obejrzeliliśmy.

Zabójca był silnym mężczyzną. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i mocną budowę ciała. Zaskoczył mnie, podnosząc Tess Olsen nad głowę jak sztangę. Jeszcze raz obejrzał się w stronę kamery — tak, sukinsynu, patrzmy — po czym mrugnął i cisnął ją z balkonu.

— Boże — wyszeptała Bree. — Czy on do nas puścił oko?

Ale nie wyszedł z balkonu. Ani z kadru. Po kącie nachylenia

głowy wnioskowałem, że nie patrzy w dół, tam gdzie spadła ofiara. Spoglądał na swą publiczność, na ludzi na ulicy. Ryzykował, chociaż nie musiał.

Biorąc pod uwagę ogólną sytuację, może to dla nas korzystne. Może dzięki temu znajdziemy i złapiemy sukinsyna. Bo był nierozważny... i lubił pyszczyć się przed publicznością.

Potem przeanalizowałem własne myśli: „my” złapiemy tego sukinsyna, nie „oni”.

Wtedy zabójca przemówił do kamery i to było najbardziej upierne.

56

Możecie próbować mnie złapać — powiedział — ale

m się to nie uda... doktorze Cross. WaSampson, Bree i ja popatrzyliśmy na siebie. Mnie i Johnowi

odebrało mowę. Bree wycedziła tylko: — Alex, jasna cholera.

Czy byłem na to gotów, czy też nie, wróciłem do gry.

Rozdział 17

No cóż, nie byłem gotów. W każdym razie jeszcze nie. Cztery dni po morderstwie w Riverwalk myślałem o swoich pacjentach, ale już teraz czułem wewnętrzny konflikt. Usiłowałem nie koncentrować się na zabójstwie Tess Olsen, na tożsamości szalonego mordercy, nie zachodzić w głowę, skąd mógł mnie znać ani czego ode mnie chciał. j

Nie mogłem się powstrzymać przed rozpoczęciem dnia od sprawdzenia najświeższych wiadomości na stronie washing-tonpost.com. Przez noc, dzięki Bogu, nic się nie stało. Nie doszło do kolejnych morderstw, a zatem przynajmniej to nie była seria. |

Zresztą podczas porannych sesji nie powinienem mieć czasu na rozmyślanie. To najintensywniejszy dzień tygodnia. Czekałem na niego, ale w pewnym sensie również się go obawiałem. Zawsze była nadzieja, że zrobię dla kogoś coś dobrego, że nastąpi jakiś przełom. Ale mogłem też paść na tyłek.

Zaczął się o siódmej od niedawno owdowiałego waszyngtońskiego strażaka, rozdartego między służbą a dziećmi. Rosło w nim poczucie bezsensu życia, przez które codziennie miał myśli samobójcze. 1

O ósmej spotkałem się z weteranem Pustynnej Burzy, wciąż

zmagającym się z demonami, które przywiózł z wojny. Skierowała go do mnie moja terapeutka, Adele Finally, i miałem nadzieję, że w końcu zdołam mu pomóc. Tymczasem znaleźliśmy się na kryzysowym etapie leczenia, więc jeszcze za wcześnie, by stwierdzić, czy rzeczywiście nawiązaliśmy

kontakt.

Następnym pacjentem była kobieta, u której depresja poporodowa wywołała sporo ambiwalentnych emocji wobec sześciomiesięcznej córki. Rozmawialiśmy o dziewczynce, a nawet trochę o moich uczuciach — zaledwie przez minutkę — i o tym, że Damon może wyjechać do prywatnego liceum. Podobnie jak w policji, również podczas sesji terapeutycznych stosowałem niekonwencjonalne metody. Moim zadaniem była rozmowa z ludźmi, więc mówiłem swobodnie, w każdym razie zazwyczaj.

Następnie miałem półgodzinną przerwę, podczas której zadzwoniłem do Bree, a potem znów zerknąłem na wiadomości na washingtonpost.com. Wciąż nic nowego, żadnych ataków i żadnych wyjaśnień zabójstwa Tess Olsen.

Ostatnim tego rana pacjentem był student prawa na Uniwersytecie Georgetown o tak dalece posuniętej mizofobii, że zaczął co noc palić bieliznę.

Niezły poranek. Dziwnie satysfakcjonujący. I stosunkowo bezpieczny — przynajmniej dla mnie.

Rozdział 1

Bree zadzwoniła do gabinetu, kiedy jadłem suchą kajzerkę, czekając na pacjenta o pierwszej.

— Zrobiliśmy zbliżenia nagrań — powiedziała. — Powiedz co o tym myślisz. Zabójca ma na czole dość wyraźną blizn w kształcie półksiężyca.

Chwilę zastanowiłem się nad odpowiedzią.

— Możliwe, że w przeszłości odniósł uraz głowy. Strzelam w ciemno, ale może mieć uszkodzony płat czołowy. Osoby z takim uszkodzeniem wykazują tendencję do agresji i impulsywności.

— Dzięki, doktorze — powiedziała Bree. — Dobrze cię mieć w zespole.

Jestem w zespole? Od kiedy? Czy ja się na to zgodziłem? Chyba nie.

Po lunchu i odbyciu z Bree bardzo miłej rozmowy o morderstwie przyjąłem ostatnią tego dnia pacjentkę, na dodatek moją ulubioną — trzydziestoparoletnią Sandy Quinlan.

Sandy niedawno przeniosła się do Waszyngtonu z małego miasteczka w Michigan, leżącego niedaleko granicy z Kanadą. Podjęła pracę nauczycielki w biednej części śródmieścia w Southeast, czym natychmiast zjednała sobie moją sympatię-

Niestety Sandy niezbyt lubiła samą siebie.

Na pewno ma pan dziesiątki takich pacjentek. Samotnych, zdesperowanych singielek w wielkim, złym mieście.

Akurat nie. — Powiedziałem prawdę. To mój straszny nawyjc — Jesteś moją jedyną SZS w WZM.

Zrozumiała dowcip i uśmiechnęła się, po czym mówiła dalej:

Ale to po prostu... żalosne. Prawie każda kobieta szuka tego samego idiotyzmu.

Szczęścia? — spytałem.

Chciałam powiedzieć: mężczyzny. Albo i kobiety. Kogoś do pokochania.

Z pewnością widziałem w Sandy kogoś innego niż ona sama. Wołała jawić się jako wcielenie klasycznego stereotypu sa-motniczki. Kryła urodę za okularami w czarnych oprawkach oraz ciemnymi, workowatymi ciuchami. Kiedy poczuła się w mojej obecności komfortowo, okazało się, że jeśli tylko ciicie, potrafi być miła, interesująca i dowcipna. I naprawdę zależało jej na dzieciach, które uczyła. Mówiła o nich często i niezwykle ciepło. Zero ambiwalencji.

— Naprawdę trudno mi widzieć w tobie kogoś żalosego — powiedziałem w końcu. — Przepraszam, to tylko moje zdanie. Mogę się całkowicie mylić.

— A jak by pan to nazwał, kiedy dla kogoś terapeuta jest najlepszym przyjacielem? — Zanim zdołałem zareagować, zaśmiała się z zakłopotaniem. — Spokojnie, nie jestem jakąś Psycholką. Po prostu...

Ludzki odruch kazał mi wyciągnąć do niej rękę, ale jako terapeuta nie mogłem, a przynajmniej nie powinienem tego robić. W jej oczach było jednak coś takiego — jakaś zachłanność — że nie mogłem się powstrzymać przed dwoistą reakcją. Chciałem, by wiedziała, że zależy mi na jej losie, a jednocześnie Musiałem zadbać o to, by nasza znajomość miała całkowicie Jasny charakter. Może ton głosu Sandy i to oczekujące spoj-

61

rzenie nic nie oznaczały. Z drugiej strony wszystko coś oznacza, a przynajmniej czytałem o tym w wielu grubych książkach, z których korzystają na uczelniach takich jak Uniwersytet Johns Hopkinsa i Georgetown.

Musiałem z Sandy zachować ostrożność. Dotrwaliśmy bez kłopotów do końca sesji, a kiedy poszła, to był koniec pracy na dziś. Ale czy rzeczywiście? Czy może miałem teraz drugą posadę?

Właśnie schodziłem po schodach, kiedy zadzwoniła komórka. Nie rozpoznałem numeru. Co znowu?

Przyłożyłem telefon do ucha.

— Dzwonię w imieniu Kyle'a Craiga — powiedział męski głos. Trochę zanikał, ale zyskał z mojej strony pełną uwagę. — Nie może teraz podejść do telefonu... bo jest w izolatce w Kolorado. Ale chciał panu przekazać, że codziennie o panu myśli i zaplanował dla pana niespodziankę. Niesamowitą niespodziankę, tutaj, w Waszyngtonie. Proszę nie zapominać, że Kyle to facet z planem. Aha, prosił też o przekazanie, że przez cztery lata nie widział słońca, co czyni go silniejszym i lepszym, w swym fachu.

Połączenie zostało przerwane.

Kyle Craig... Jezu, co jeszcze?

1 co miała znaczyć ta wiadomość? „Zaplanował dla pana niespodziankę”.

Rozdział 1

Próbowałem sobie wmówić, że nie mogę marnować czasu na przejmowanie się maniackimi mordercami, których już wsadziłem za kratki. Przecież inni wciąż chodzili na wolności. p ja tym nikt jeszcze nawet nie był blisko ucieczki z ADX Florence. A Craig już nie pierwszy raz groził mi z celi.

Poza tym przecież przestałem pracować w policji, chociaż rzeczywiście spotykałem się z oficerem kierującym ważną, paskudną sprawą.

Morderstwo w Riverwalk rozpałało media. Było na ustach wszystkich. Nawet moi pacjenci o nim wspominali. Najbardziej histeryczne media co parę godzin wymyślały nowe absurdalne teorie. Sprzedawały strach dwadzieścia cztery godziny na dobę 1 r^ohiły niezły interes, a przecież ja też pracowałem w tej branży. Tyle że ja zawsze starałem się ten strach rozładować, w każdym razie w miarę możliwości. Próbowałem powstrzymać Paniką i przegnać obawy, usuwając zabójców z ulic miasta. Wydawało się, że wszystkie policyjne teorie dotyczące mor-rcy wiodą donikąd, a przynajmniej tak uważała Bree. W pro-Wadzonym przez FBI spisie terrorystów nie znaleziono nikogo odpowiadającego stopklatce z twarzą zabójcy. Analizę próbki su zlecono tej samej agencji, która współpracowała z FBI

63

przy nagraniach Osamy bin Ladena z jedenastego września. Tu również brak rezultatów, choć to za wcześnie, by spodziewać się czegoś konkretnego.

Poza tym zabójca nie utożsamił się z żadną organizacją. Nie zgłosił się też nikt, kto w powtarzanych na okrągło biuletynach informacyjnych rozpoznałby go na zdjęciach zrobionych przez świadków morderstwa.

Bree przekazywała federalnym wszystkie zdobyte informacje, lecz jednocześnie prowadziła własne śledztwo. Pracowała przez to po szesnaście godzin dziennie.

W czwartek wieczorem wpadłem do jej biura, licząc, że wyciągnę ją stamtąd i pójdziemy coś przegryźć. Wydział waszyngtońskiej policji do spraw przestępstw z użyciem przemocy jest dość niepozorny. Znajduje się za zwyczajnie wyglądającym ciągiem sklepów w Southeast. Jest tam jednak aż nadto miejsca do parkowania i niektórzy żartują, że to dlatego każdy chce tam pracować. Możliwe.

Boks Bree okazał się pusty. Komputer wciąż był włączony, a na monitorze wisiała żółta karteczka samoprzylepna ze słowami „Zadzwoń do Alexa” napisanymi ręką Bree. Ale nie odezwała się do mnie przez cały dzień. Więc o co teraz chodziło?

— Szuka pan Bree? — Detektyw w sąsiednim boksie machnął do mnie na wpół zjedzoną kanapką.
— Niech pan zajrzy do sali konferencyjnej. Korytarzem prosto i w lewo. Tam się zadekowała.

Gdy wszedłem do sali, Bree siedziała z nogami na stole i pilotem w dłoni, a drugą ręką drapała się w głowę. Oglądała nagranie zabójcy. Wszędzie wokół leżały otwarte teczki, kartki z notatkami i fotografie z miejsca zbrodni. Mimo to jej widok podniecił mnie bardziej, niż chciałbym przyznać.

— Siemasz! Która godzina? — zawołała, gdy zobaczyła, jak czaję się w drugim końcu sali.

64

Zamknąłem drzwi, a potem pocałowałem ją kilka razy na powitanie.

Godzina kolacji. Godzina przerwy. Zjadłabyś coś?

Szczerze mówiąc, umieram z głodu. Ale obejrzyj to ze mną parę razy, dobrze? Sama już dostaję świra.

Chętnie jej pomogłem i niezbyt się zdziwiłem, gdy z „paru razów” zrobiło się kilkadziesiąt powtórek, a kolacja w Kinkead's zmieniła się w empanadas na wynos z baru za rogiem.

Oglądanie makabrycznego nagrania z Riverwalk po tylu razach wcale nie było łatwiejsze. Ani słuchanie mojego nazwiska. W ramach rekompensaty skoncentrowałem się na zabójcy. Może w jego mowie albo zachowaniu krył się jakiś szczegół, którego nikt dotąd nie zauważył. Wiedziałem, że w tej chwili zadanie nie polega na wykonywaniu ogromnych kroków; chodziło o drobne skojarzenia. Na przykład o fakt, że Tess Olsen była autorką kryminałów. Albo nawet o te kartki, które zauważył 'era w mieszkaniu. O wykazywaną przez mordercę potrzebę przyciągnięcia publiczności.

Dlatego kilka minut później oboje byliśmy zaskoczeni, gdy znaleźliśmy coś ważnego, co mogło się okazać kluczowe.

Rozdział

Na początku był to ledwie zauważalny błysk, coś niemal podprogowego w szumie tuż przed drugą częścią nagrania Bree i ja tak bardzo wpatrywaliśmy się w to, co chciał nam pokazać zabójca, że nie szukaliśmy nigdzie indziej.

— Poczekaj chwilę — powiedziałem. Wziąłem pilota, trochę cofnąłem taśmę i zapauzowałem.

— O, tu — wskazałem. — Widzisz? To było takie nic. Bardziej sugestia obrazu, niemal zbyt krótka, by uchwyciło ją ludzkie oko, nawet przy użyciu funkcji zwolnionego tempa. Po prostu widmo. Wskazówka. Czy morderca zostawił ją umyślnie?

— Na taśmie coś wcześniej nagrywano — powiedziałem Bree już wkładała obuwie — czarne buty numer czterdzieść

dwa na płaskim obcasie.

— Znasz kogoś w jednostce informatycznej Biura? — wymamrotała.

Policja bardzo mocno polegała na pomocy FBI w zakresie analizy kryminalistycznej materiałów wideo. Znałem tam kilka osób, ale teraz była dziewiąta wieczorem. Najwyraźniej nie przeszkadzało to Bree, która podniosła się z krzesła i masz rowała po sali.

66

V końcu sama chwyciła telefon.

Spróbuję zadzwonić do Wendy Timmerman. Ona pracuje

do późna.

Uniosłem brew.

Wendy Timmerman pracuje do późna? Widzę, że ktoś

tu uważał.

Wendy oficjalnie pełniła funkcję kierownika biura komendy policji, ale jednocześnie była swego rodzaju tajną bronią dla każdego, kto chciał trochę nagiąć zasady, nie łamiąc przy tym prawa. Znała wszystkich i chyba wszyscy byli jej winni przysługę.

A poza tym nie miała życia osobistego. Praktycznie mieszkała za biurkiem.

Tak jak sądziłem, Wendy kilka minut porozmawiała z Bree, po czym oddzwoniła, by podać nazwisko i numer telefonu.

— Jeffery Antrim — powiedziała Bree, rozłączając się. — Mieszka w Adams Morgan. Podobno jest geniuszem w tych sprawach. Zdaje się, że dorabia na boku w domu, ale Wendy mówi, żeby przynieść sześciopak piwa, a od razu wpuści nas do swej jaskini. Aha, przypomnij mi, żebyśmy wysłała jej kwiaty.

— Nie zwracaj sobie głowy — odparłem. — Zadzwoni do ciebie, kiedy będzie potrzebowała przysługi. A wtedy kwiaty nie wystarczą.

Rozdział 21

Zgodnie z sugestią Wendy Timmerman po drodze do dzielnicy Adams Morgan wstąpiliśmy do sklepu spożywczego. Wymieniliśmy tam ukradkiem kilka zmysłowych pocałunków, a potem jeszcze w samochodzie, teraz jednak jechaliśmy dalej i, cholera, wróciliśmy do poważnych spraw. Jeffery Antrim, któremu wiekiem bliżej było do Damona niż do mnie, był dość przyjazny i od razu nas wpuścił, gdy pokazałem piwo. Nie dowierzałem etykietce „geniusza”, dopóki nie zobaczyłem jego sprzętu. W małym mieszkaniu — laboratorium, Jaskini”, jak zwał, tak zwał — praktycznie brakowało miejsca na meble. Zastanawiałem się, czy część piętrzącego się wszędzie drogiego sprzętu podebrał z FBI.

Przez kilka godzin siedzieliśmy na kuchennych krzesłach od pary i opróżnialiśmy jeszcze jeden sześciopak, podczas gdy Jeffery pracował w drugim pokoju. Zawołał nas do siebie wcześniej, niż się spodziewałem, i pokazał efekty poszukiwań.

— No to posłuchajcie, robaczki. Na wcześniejszej ścieżce były tylko cienie, więc zapisałem, co tylko się dało. A potem zdyskretyzowałem. Zakładam, że nie przeszkadza wam obraz kompozytowy złożony z klatek bez przepłotu?

— To chyba zależy — powiedziała Bree.

68

Od czego?

Od tego, coś ty właśnie powiedział. Możesz po angielsku? Albo po hiszpańsku? Mój hiszpański jest całkiem niezły.

Jeffery uśmiechnął się do niej.

No dobrze. Sami zobaczcie. Jeśli chcecie, mogę wam to rozłożyć na części. — Wprowadził kilka kolejnych komend. — Teraz się drukuje, ale tutaj możecie obejrzeć. Dobrze się przypatrzcie.

Nachyliiliśmy się, by spojrzeć w jeden z małych monitorów w wieży gadżetów na biurku.

Obraz rzeczywiście był zacieniony, raczej ciemny niż jasny, ale widoczny. Co więcej, oboje natychmiast go rozpoznaliśmy.

— Jasna cholera — mruknęła Bree. — Nagle wszystko jest zrozumiałe.

— Czy to nie Abu Ghurajb? — spytał Jeffery, który stał za nami. — Zgadza się... prawda?

Minęło już kilka lat od skandalu w irackim więzieniu w Abu Ghurajb, ale wciąż był to drażliwy temat w wielu waszyngtońskich kręgach, i nie tylko. Najwyraźniej również dla zabójcy z Riverwalk.

Obraz był albo fotografią albo fragmentem zarejestrowanych wiadomości. Nie miało to większego znaczenia. Niewyraźne szczegóły potrafiłem uzupełnić z pamięci. Na szerokim korytarzu z celami po obu stronach stała amerykańska żołnierka. Na ziemi u jej stóp znajdował się nagi iracki więzień z kapturem na głowie.

Kłęczął na czworakach tak jak Tess Olsen.

Na szyi miał psią obrozę, do której przypięto smycz. Drugi koniec trzymała Amerykanka.

Bree powoli kręciła głową nie odwracając wzroku od obrazu.

— Słuchaj, Jeffery, masz trochę kawy w kuchni czy muszę iść i kupić?

Rozdział

Druga opowieść zabójcy należała do jego ulubionych gatunków: science fiction.

Och, tak, to wprost przepyszne. Jak dotąd plan sprawdzał się perfekcyjnie.

Zabójca nie odgrywał już irackiego żołnierza. Tym razem fabuła była lepsza, a on dostał o wiele bardziej soczystą kreację: doktora Xandera Swifta. Jakież aktor — nomen omen — nie zabiłby za tę rolę i za możliwość odegrania tej właśnie sceny? I to nie gdzie indziej, tylko w teatrze. Delicioso!

Tego wieczoru chodnik przed majestatycznym Centrum Kennedyego szybko zapełniał się ludźmi. W większości byli młodzi, eklektyczni, pewni siebie, nieco odpychający. Dokładnie taka publiczność, jakiej należało się spodziewać na scenicznej adaptacji opowiadania science fiction, przerobionego już wcześniej na hollywoodzki film. Różnica polegała na tym, że sztuka miała w obsadzie gwiazdora. Stąd spora publiczność, chociaż wszystkich biletów nie wyprzedano.

Zabójca — który sam nie był gwiazdorem, przynajmniej na razie — wszedł w rolę doktora Xandera Swifta, gdy zbliżał się do Centrum. Nigdy nie jest za wcześnie, by stworzyć kreację prawda?

70

Przez jedne z sześciorga drzwi wahadłowych wchodziło się z ulicy do wyłożonej płytkami strefy kas biletowych. Czworo wewnętrznych drzwi prowadziło głębiej, do pokrytego wykładziną foyer. Zabójca zauważał wszystko i nie uronił żadnego

szczegótu.

Już niemal całkowicie wierząc, że jest doktorem Xanderem Swiftem, coraz bardziej wczuwając się w rolę, nie poruszał się ani szybciej, ani wolniej niż otaczający go tłum. Grube, barwione okulary, broda przyprószone siwizną oraz skromna tweedowa marynarka pomagały nie rzucać się w oczy. Ot, kolejny miłośnik teatru.

Mimo to nie mógł przegonić lekkiej wątpliwości związanej z tą próbą. A jeśli zawali? Jeśli jakimś cudem dziś go złapią? Jeśli w Centrum Kennedy'ego popełni jakiś błąd?

Jego wzrok wędrował na boki. Mijając srebrny, metaliczny plakat w szklanej gablocie, odnotował jego treść.

MATTHEW JAY WALKER W SZTUCE PRZYPOMNIMY TO PANU HURTOWO

Lansowany jak cholera hollywoodzki aktor, którego nazwisko widniało zapisane czarnym drukiem nad tytułem przedstawienia, znany był z kiepsko zrobionych, ale bardzo popularnych filmów. Absurdalnych ekranizacji komiksów, którymi okradano widzów z dziesięciu dolarów. Tylko jego przyszli oglądać ci wszyscy 'udzie. Matthew Jay Walkera uwielbiały zwłaszcza kobiety, chociaż niedawno ożenił się z piękną aktorką i zgodnie z najnowszym hollywoodzkim trendem adoptowali dzieci z krajów Trzeciego Świata. Zamieszkali w Waszyngtonie, żeby „wpły-Wac na rząd w sprawach ważnych dla dzieci całej kuli ziemskiej". Czy niektórzy naprawdę w ten sposób mówią — a co \$0rsza, myślą? Owszem.

71

II

W sali rozległa się muzyka syntezatorowa, która nadała ton wieczorowi. Doktor Xander Swift bez trudu znalazł miejsce 11A na lewym krańcu widowni.

Bez dwóch zdań wczuwał się w swoją rolę — dobra rzecz, naprawdę świetnie zagrana, sam musiał przyznać. Znajdował się zaledwie kilka kroków od jednego z oświetlonych wyjść ewakuacyjnych, lecz niemal natychmiast stwierdził, że to nie ma znaczenia. Od razu wiedział, że nie wykorzysta wcześniej wykupionego biletu na to samo miejsce w sobotni wieczór. 1

To niewłaściwe miejsce! Zupełnie niewłaściwe! Doktor Swift sam musiał się o tym przekonać, żeby zrozumieć to, co teraz stało się jasne.

Symboliczne morderstwo musiało się odbyć nie tutaj, ale na scenie.

Tak będzie najlepiej — dla publiczności. A przecież tylko publiczność się liczy, prawda?

Pięć minut po ósmej przygaszono światła, a potem zapanowała całkowita ciemność. Muzyka syntezatorowa zgęstniała, a ozdobiona mięsistym brokatem kurtyna wolno się podniosła.

Scenę zalała czerwona poświata, dość mocna, by rzucić poblask na widownię wraz z pustym fotelem 11 A.

Doktor Xander Swift widział już wszystko, co musiał zobaczyć tego wieczoru — więc wyszedł z teatru. Plan morderstwa nie uległ zmianie — to już jutro. Dziś była tylko próba, przymiarka. Bądź co bądź, chciał wystąpić przed pełną salą. Taki był wymóg.

Wszystko na jego cześć, oczywiście.

Rozdział 3

Następnego dnia spotkanie wydziału do spraw przestępstw z użyciem przemocy miało tylko jeden ważny punkt, przynajmniej z mojego punktu widzenia. Bree poprosiła, bym przyszedł, i skłamałbym, mówiąc, że nie chciałem wziąć w nim udziału. Stawiło się wiele osób, zabrakło miejsc siedzących i cała sala szumiąca od najświeższych pogłosek.

Kapitan Thor Richter wstrzymał rozpoczęcie aż do przybycia zastępcy burmistrza, który spóźnił się dwadzieścia minut i przez cały czas nie odezwał się ani słowem. Niemniej obecność Larry'ego Daltona stanowiła jasny komunikat: Wszyscy przypatrują się tej sprawie. Właśnie tego chciał maniackalny zabójca, ale nie było rady. Nie da się wyprosić wiceburmistrza.

Bree rozpoczęła od poinformowania o najnowszych odkryciach. Nasza nocna nasiadówka u Jeffery'ego Antrima zaowocowała kilkoma kolejnymi obrazami z Abu Ghurajb, ale niczym więcej. Moim zdaniem to dobry początek. Zakładałem, że zabójca zostawił dla nas wiadomość. A może konkretnie dla mnie?

Wtedy spojrzeliśmy nieco szerzej i zaczęliśmy szukać f10wiązanych elementów — powiedziała Bree, pokazując slajd w PowerPoincie. — To zapis przemowy zabójcy z pierwszej

73

części nagrania. A to — zmieniała slajdy — wystąpienie z film nagranych w dwa tysiące trzecim roku przez człowieka, który nazywał siebie Szejkiem Ameryki.

— Ten sam facet? — spytał ktoś z tyłu sali.

— Nie — odparła Bree. — Akurat nie ten sam. Ale nasz zabójca najwyraźniej czerpie z różnych źródeł: Abu Ghurajb, a teraz to. Statystycznie obie przemowy są zbieżne niemal w sześćdziesięciu procentach.

— Momencik. Skąd przekonanie, że to nie ten sam człowiek? — chciał wiedzieć Richter. Miał złośliwy nawyk zadawania pytań w taki sposób, że brzmiały jak zarzuty.

Na twarzy Bree dostrzegłem przebłysk irytacji, dla wszystkich innych zapewne niewidoczny.

— Stąd, że Szejk został aresztowany w zeszłym roku. W tej chwili siedzi za kratkami w Nowym Jorku — powiedziała. —1 Przejdźmy dalej, dobrze?

Kolejny detektyw podniósł rękę jak uczeń.

— Czy podejrzewamy, jakiej narodowości jest zabójca? 1

Bree skinęła w moją stronę. To był sygnał, żebym wkroczył

do akcji.

— Wielu obecnych kojarzy doktora Alexa Crossa — powiedziała. — Poproszę go, żeby przedstawił główne punkty profilu psychologicznego, jakim w tej chwili dysponujemy. Zabójca też zna doktora Crossa. Jeśli państwo o tym nie słyszeli, w nagraniu wymienił jego nazwisko.

— Jak mogłem się oprzeć takiemu zaproszeniu — rzekłem, wywołując śmiech kilku osób.

Potem od razu przeszliśmy do konkretów.

Rozdział 4

Gdy stanąłem na środku sali, okazało się, że rozpoznaję połowę zgromadzonych osób. Nie wiem, ilu zebranych znało moją reputację, ale zapewne większość. Przez wiele lat prowadziłem w Waszyngtonie głośne sprawy, a teraz wróciłem. Wykonywałem pracę społeczną? Pomagałem detektyw Bree Stone? Co ja tu właściwie robiłem?

— Jedno jest raczej jasne — zacząłem. — Nie wiadomo, czy znów zabije, ale na pewno ma taki zamiar. Odpowiada charakterystyce terrorysty, ale wykazuje także cechy seryjnego mordercy. Dostrzegam pewien schemat.

— Mógłbyś to wyjaśnić? — poprosił ktoś z zebranych.

Spojrzałem na Bree, lecz ona uniosła brodę, dając mi zielone światło.

Licytację, że tak powiem, zaczął od indywidualnego zabójstwa. Być może szykuje się do czegoś większego, ale nie s3dzę. Możliwe, że ograniczy się do jednej ofiary naraz.

Dlaczego?

Dobre pytanie i chyba nawet potrafię udzielić odpowiedzi. Wypuszczam, że nie chce przyćmić własnego dzieła. Tu chodzi o "ego, a nie o ofiary. Pomimo tego, co mówi na filmie, w głębi serca jest narcyzem. Bardzo chce zostać gwiazdą. Może

75

dlatego „zaprosił” mnie do śledztwa. Możliwe, że na miejscu zbrodni zostawił nawet kilka pustych kartek firmy Hallmark. Wciąż to sprawdzamy i zastanawiamy się, co by to oznaczało. Poza tym analizujemy powieści pani Olsen.

— A jego motywów? — spytał Richter. — Czy wciąż uważamy, że to sprawa polityczna?

— Tak i nie. Nasza obecna teoria robocza mówi, że urodził się w Iraku lub ma tam korzenie oraz że ma policyjną lub wojskową przeszłość. Możliwe, że jedno i drugie. FBI jest zdania, że od kilku lat, jeśli nie od urodzenia, mieszka w Stanach Zjednoczonych. Cechuje go ponadprzeciętna inteligencja, wysoka samodyscyplina i, owszem, najprawdopodobniej anty-amerykańskie przekonania. Uważamy jednak, że polityczne podłoże może być raczej środkiem wyrazu niż celem samym w sobie.

— Wyrazu czego? — naciskał Richter, choć musiał rozumieć, że nie dysponujemy jeszcze wieloma odpowiedziami.

— Może potrzeby zabijania. Najwyraźniej wie, co robi. Ale ważniejsze, że lubi znajdować się w centrum uwagi.

Dokładnie jak ty, Thor.

I może również jak ja.

Rozdział 25

Zaległa głęboka, niepokojąca cisza. Kilka osób notowało w zeszytach albo wstukiwało zapiski do komputerów. Nie chciałem zdominować spotkania, więc oddałem głos Bree, która odpowiedziała na resztę pytań. Richter ostro ją maglował, ale ani na moment nie uległa apodyktycznemu szefowi. Sampson miał rację: ona wysoko zajdzie, chyba że wywali ją jakiś zawistny zwierzchnik.

Po spotkaniu, kiedy zbieraliśmy materiały w pustym pokoju odpraw, przystanęła i spojrzała na mnie.

— Nieży w tym jesteś — powiedziała. — Może nawet lepszy, niż wskazywałaby twoja niesamowita reputacja.

Z uśmiechem wrzuciłem ramionami, chociaż w głębi duszy Jej komplement sprawił mi przyjemność.

Już dużo takich spotkań odbyłem. Poza tym to ty tu błyszczałaś i dobrze o tym wiesz.

— Nie mówię o spotkaniu. Ale o tym wszystkim. O tej Pracy. Jesteś najlepszym gliniarzem, jakiego znam. I to bez Porównania. Jeśli mam być szczerą, to chyba nieźle nam razem 'dzie. Przeróżające, co?

Przestałem układać papiery i popatrzyłem na nią.

77

— To dlaczego mam wrażenie, że w tej sprawie idziemy w złym kierunku?

Sądząc po jej minie, zaskoczyły ją moje słowa.

— Słucham?

To mnie zaczęło dręczyć tuż przed końcem spotkania, Wszystko postępowało tak szybko. Teraz po raz pierwszy nadarzyła się okazja, by przyjrzeć się dokładniej naszym wnioskom. Nabrałem wrażenia, że umyka nam coś ważnego. Byłem niemal o tym przekonany. Że też akurat teraz... Ale nic nie mogłem poradzić na to przecucie. Te moje cholerne słynne przecucia! Nos podpowiadał mi, żeby od nowa przejrzeć wszystko, co zgromadziliśmy. Przeanalizować wszystkie przypuszczenia.

— Może to ma sens właśnie dlatego, że on chce, byśmy tak myśleli — powiedziałem. — Tak mi mówi intuicja i cholernie mnie to gryzie.

Już kiedyś w podobny sposób się sparzyłem, wcale nie tak dawno. Podczas śledztwa w sprawie Mary, Mary w Los Angeles straciliśmy dużo czasu, szukając oczywistej, ale mylącej postaci zamiast prawdziwego zabójcy. Zanim to zrozumieliśmy, zginęli kolejni ludzie.

Bree zaczęła wyciągać dokumenty z teczki, którą dopiero co spakowała.

— Dobrze, w porządku. Spójrzmy na to jeszcze raz. Co musimy wiedzieć, żeby to właściwie rozpracować?

Nasuwała się oczywista odpowiedź, że kolejne morderstwo dostarczy nam dużo więcej informacji.

Rozdział

Nadszedł czas na kulminację drugiej opowieści.

Tego wieczoru w pluszowych fotelach Centrum Kennedy'ego zasiadło dziewięćset pięćdziesiąt pięć męźnych osób. Wielkie foyer oświetlało osiemnaście kryształowych żyrandoli, każdy ważący tonę. Przypominały... no właśnie, co? Wielkie stalaktyty? Foyer było ogromne — miało ponad dwieście metrów długości. Pośrodku stało dwuipółmetrowe brązowe popiersie samego wielkiego Kennedy'ego, który za życia nigdy nie był równie poważny i dostojny.

Za kulisami pracowało trzydzieści siedem osób. Imponujące. I do tego drogie.

Po deskach sceny maszerowało aż siedemnastu aktorów.

A pod sceną czekała jedna cicha, samotna postać.

Doktor Xander Swift.

Tego dnia o godzinie piętnastej wszedł przez drzwi dla aktorów. Wystarczyła duża skrzynka na narzędzia oraz kilka Przecwiczonych zdań o zepsutym bojlerze. W skrzynce miał rekwizyty.

Pistolet.

Szpikulec do lodu, na wszelki wypadek. Palnik butanowy.

79

Zapas żelu na bazie etanolu.

Minęło ponad pięć godzin i już prawie nadszedł czas na główny akt. W górze toczyło się przedstawienie. Na sali by) komplet: wypełniali ją po brzegi miłośnicy teatru, fani dramatu i suspense.

Matthew Jay Walker odgrywał scenę, w której dość mechanicznie rozmawiał z postacią na monitorze. Walker był oczywiście wyjątkowo przystojny, nieco niższy, niż się mogło wydawać, i szczerze mówiąc, okazał się rozpieszczonym chłystkiem. Jego agent zażądał dostawy świeżych egzotycznych owoców, wody Evian i osobistego charakteryzatora. Przyszła pora, żeby Walker poznał drugą gwiazdę wieczoru.

— Witaj, Matthew Jay! Moje uszanowanie — powiedział doktor Swift. — Tu jestem... Za tobą.

Aktor rozejrzał się wokół zaskoczony — nie, zszokowany — kiedy otworzyła się zapadnia w scenie, zwykle używana tylko w drugim akcie.

— Co do...

— Panie i panowie, przepraszam za tę przerwę w przedstawieniu — powiedział doktor Xander Swift głośnym, wyraźnym, władczym głosem, który docierał aż na samą górę, gdzie znajdowały się najtańsze miejsca. — Ale czy mogę państwa prosić o uwagę, o pełną uwagę? To sprawa życia i śmierci, i

Rozdział 27

Na początku wśród publiczności słyhać było tylko odgłos kilkudziesięciu kartkowanych programów. Widzowie sprawdzali, któz to właśnie zjawił się na scenie.

Matthew Jay Walker obrócił się plecami do widowni i powiedział szeptem:

— Co ty, kurwa, wyrabiasz? Kim ty jesteś? Zjeżdżaj ze sceny! Natychmiast!

Nagle doktor Xander Swift wyciągnął pistolet, prawie dotykając nim twarzy aktora. Pozwolił, by trzęsła mu się dłoń, tak jakby się denerwował, choć nie była to prawda.

— Ciii! — odezwał się teatralnym szeptem. — W tej scenie n'e masz żadnych kwestii.

Wciąż wpychał mu broń w twarz, aż Walker ukląkł na deskach.

Proszę — powiedział aktor do mikrofonu. — Zrobię, co chcesz. Tylko spokojnie.

Niech ktoś zadzwoni na policję! — zawołał widz z pierw-SZego rzędu.

Do publiczności wreszcie zaczynało docierać.

Zabójca zwrócił się do widzów:

Jestem doktor Xander Swift z Instytutu Epidemiologii.

81

Muszę państwa poinformować, że ten człowiek został prze.znaczony do wyeliminowania — wyjaśnił. — Szczerze mówiąc jestem równie zszokowany i zasmucony jak państwo.

— On oszalał! To nie aktor! — wrzasnął nagle Matthew Jay Walker.

— Nie oszalałem. To bardzo rozsądny plan — odparł doktor Swift.

W jednej ręce wciąż trzymał pistolet wycelowany w gwiaz-dora, a drugą zaczął smarować Walkera etanolowym żelem z foliowej saszetki, którą wyjął z kieszeni. Okleił mu żelem klatkę piersiową, wsmarował go w falujące blond włosy, rozprowadził pod brodą. Woń była tak intensywna, że Walker krztusił się i dławił.

— Co ty robisz? Błagam, przestań! — krzyczał.

Publiczność zdążyła się już zerwać na nogi. Z kulis dochodziły okrzyki:

— Zatrzymać go! Niech ktoś tam wyjdzie! Gdzie jest ochrona?

Ze sceny ponownie huknął głos doktora:

— Zastrzelę każdego, kto tu wejdzie. Dziękuję za uwagę i cierpliwość. A teraz proszę patrzeć uważnie! To, co zobaczycie, pozostawi niezatarty ślad w waszej pamięci. Nikt tego nie zapomni, tak mi dopomóż Bóg!

W jego dłoni błysnął palnik butanowy. Etanol wybuchł płomieniem na całym ciele Matthew Jay Walkera. Aktor przeraźliwie wrzeszczał z bólu, a jego twarz jakby się rozpuszczała—Zaczął się kręcić w kółko, usiłując zduścić ogień, który smażył mu skórę.

— Oglądają państwo gwałtowną dezintegrację ciała — wyjaśnił doktor Swift. — Regularnie występuje w strefach wojny-Irak, Palestyna, różne takie odległe miejsca. Rutynowa sprawa-Nic nadzwyczajnego, zapewniam.

Następnie prędko przebiegł przez scenę, oddalając się

82

krzyczącego aktora, który tarzał się po ziemi. Podpalił czarne zasłony maskujące i natychmiast zajęły się ogniem z dramatycznym szumem.

Powstrzymajcie aplauz! Proszę, powstrzymajcie ap-
jauzizawołał do widzów, którzy teraz byli jego publiczno-
-cjąBardzo wam dziękuję! Dziękuję! Jesteście wspaniali!

Wykonał półukłon, po czym zniknął ze sceny. Popędził po stromych schodach do wyjścia awaryjnego i wymknął się do zaułka za budynkiem. Za jego plecami rozległ się wysoki dźwięk alarmu.

Doktor Swift odsunął pustą skrzynię stojącą w zaułku i podniósł rozkładany nylonowy worek marynarski, który wcześniej tam zostawił. Schował do niego pistolet, palnik i płaszcz. Następnie — grube okulary, szkła kontaktowe, brodę, wydatne sztuczne czoło. W końcu bujną, przyprószoną siwizną perukę, którą wdział do tej roli.

Gdy znów był sobą, wyszedł z zaułka na ulicę i odwrócił się w chwili, gdy właśnie podjeżdżał pierwszy wóz strażacki.

Gotowe, misja wykonana, rola odegrana niemal perfekcyjnie. Teraz doktor Xander Swift mógł na zawsze zniknąć z powierzchni tak jak iracki żołnierz, który zamordował pisarkę na oczach tylu fanów.

Mój Boże, dobry jestem, pomyślał i napełniła go prawdziwa duma. Po tych wszystkich latach wreszcie robię karierę.

Kilka przecnic od Centrum Kennedy'ego czekała na niego kobieta w niebieskim sportowym aucie.

Byłeś wspaniały. — Uśmiechnęła się promiennie i pocałowała zabójcę w policzek. — Jestem z nas taka dumna.

Rozdział

— Alex, chodź, zobacz. To niewiarygodne. Właściwie szalone. Popatrz, dobrze?

Jedna strona głównej sceny Centrum Kennedy'ego cała się zwęgliła. Zobaczyłem Sampsona i Bree, która trzymała coś w przezroczystej plastikowej torebce na dowody rzeczowe. Ciemna plama na deskach znaczyła miejsce, w którym aktor Matthew Jay Walker zginął na oczach niemal tysiąca widzów.

Zanim jeszcze przybyłem na miejsce, założyłem, że to ten sam szalony bandyta co w Riverwalk. Inaczej po co Bree by mnie wzywała?

— Pokaż mu kartkę — powiedział Sampson. — Znaleźliśmy ją pod zapadnią przez którą wszedł na scenę. Najwyraźniej ten świr w latach dziewięćdziesiątych naoglądał się za dużo telewizji.

Bree podała mi torebkę. Wziąłem ją niechętnie.

W środku znajdowała się kartka pocztowa ręcznej roboty z jednej strony, całkowicie czarnej, widniała duża, jasnozielona litera X. Wyglądała jak napisana starą, zniszczoną czcionką z maszyny do pisania. Na rewersie literami wyciętymi z gaz®

84

tak jak w listach z żądaniem okupu, utworzono zdanie: „Prawda jest gdzieś tam”.

Z archiwum X. — Bree wypowiedziała na głos to, o czym

myślałem. — Hasło z serialu. „Prawda jest gdzieś tam”. Nie wiemy, czy morderstwo oparto na konkretnym odcinku, ale to niewykluczone.

Ten sam zabójca — powiedziałem. — To musi być on.

Podobno ten facet był biały. I starszy, między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką — odezwał się Sampson.

Szerokim gestem wskazałem otaczającą nas scenę.

— Masz tutaj kilkunastu ekspertów, z którymi można porozmawiać. Jeśli ktoś rozpozna charakterystykę, to właśnie aktorzy. Ale pomyślcie, dwa morderstwa oparte na konkretnym materiale źródłowym. W obu wypadkach zostawiono nam wizytówkę.

— Inne metody — odparła Bree. — To mógł być zbieg okoliczności. Nie mówię, że tak właśnie jest, ale to niewykluczone. Może jest kilku bandytów? Istnieje takie prawdopodobieństwo?

— Mamy jednolitą cechę, Bree. Publiczne egzekucje przed widownią. Może powinniśmy go nazwać „Zabójcą Dla Widowni”. Dla niego to jest właśnie najistotniejsze.

— Zabójca Dla Widowni? Wziąłeś to z klasyfikacji DSM-IV? — Sampson uśmiechnął się ponuro.

Radził sobie ze stresem poprzez dowcip. To metoda wielu gliniarzy z wydziału zabójstw, moja też.

Bree przygładziła włosy.

W pełni się z tobą zgadzam, ale...

— Ale co?

Richter. Thor Nudziarz nie pozwoli mi wykluczyć żadnej ewentualności, jeśli tego lepiej nie umotywowuję.

A te ewentualności, które sensownie jest wykluczyć? —

sPytałem.

85

Do takich biurokratycznych zatorów przyzwyczałem się w FBI, a nie w policji. Najwyraźniej sporo uległo zmianie podczas mojej nieobecności. A może to tylko ja się zmieniłem. Głośno westchnąłem i rozejrzałem się po scenie. — Co jeszcze mamy?

Rozdział

Tego straszego wieczoru zabrałem pracę do domu, a przecież to nawet nie było moje śledztwo. Na razie.

Dochodziła druga w nocy, a ja na stole w kuchni miałem już przed sobą wstępną wersję skorygowanego profilu psychologicznego mordercy. Nie mogłem przestać myśleć o Zabójcy Dla Widowni, jak zaczęliśmy go nazywać. Ani, szczerze mówiąc, o Kyle'u Craigu. Czego on ode mnie chciał, do cholery? Dlaczego teraz nawiązywał kontakt?

Kiedy zapaliło się światło pod drzwiami Nany, przewróciłem kartki, żeby ich nie zobaczyła. Zupełnie jakby masa papierów przerzuconych zapisaną stroną do dołu nie wzbudziła jej podejrzliwości i mogła oszukać starą sowę.

— Zgłodniałeś? — To pierwsze, co powiedziała.

Minęło dużo czasu, odkąd ostatnio pytała, co robię w środku nocy.

Kilka minut później na kuchence przypiekały się dwa gniewane sandwicze z jabłkiem i cheddarem — pół dla niej 1 Półtora dla mnie. Otworzyłem piwo i nalałem Nanie odrobinę do szklanki na sok.

Co jest na tych kartkach, których mam nie zobaczyć? — sPytała wciąż odwrócona plecami. — Czyżby twój testament?

87

— To miało być zabawne?

— Ani trochę, synku, w ogóle niezabawne. Smutne, bardzo smutne.

Postawiła nasze talerze na stole i usiadła naprzeciw mnie. Tak jak robiła przez wiele lat.

— Chyba nie spodoba ci się to, co powiem.

— A to ci kiedykolwiek przeszkodziło?

— Już trochę prowadzę tę prywatną praktykę. I dobrze mi zrobiła taka zmiana. Zwykle to lubię.

Nana pochyliła głowę i zamokła.

— Oj, Alex. Ani trochę mi się to nie spodoba. Może powinnam wrócić do pokoju i pójść spać.

— Ale... — zacząłem, po czym się poprawiłem: — I czegoś mi brakuje.

— Mhm. Na pewno. Tego, że do ciebie strzelają i pudłują. Albo strzelają i trafiają.

Nie wiedziałem, w jaki sposób Nana mogłaby mi ułatwić zadanie, ale wyraźnie nawet nie próbowała.

— Odszedłem z pracy policyjnej z kilku dobrych powodów.

— Owszem. Wszystkie śpią na piętze.

— W pracy nigdy nie chodziło mi po prostu o zarobek. Praca na dobre i na złe to część mnie. I tej części mi ostatnio brakuje. Tak już po prostu jest.

— Nie powiem, że bym nie zauważyła. Ale wyznam ci coś jeszcze. Wielu innych rzeczy też tu ostatnio brakuje. Na przykład telefonów w środku nocy. Na przykład zastanawiania się, kiedy wrócisz do domu i czy w ogóle wrócisz.

Przez jakiś czas prowadziliśmy tę wymianę zdań. Zaskoczył" mnie, że im dłużej trwała, tym większej nabierałem pewności, że wiem, co muszę zrobić.

W końcu odsunąłem się od stołu i wytarłem dłonie w papierową serwetkę.

— Wiesz co, babciu? Bardzo cię kocham. Próbowałeś

88

utrzymać ten spokój. Próbowałem zrobić wszystko po twojemu nje wiem, czy widać, ale to nie działa.

Będę żył tak, jak muszę. Na litość boską, co to w ogóle znaczy? — zapytała,

unosząc rękę. Wstałem. Serce mi łomotało.

Cokolwiek znaczy, dam ci znać, jak będzie po wszystkim.

przepraszam, ale w tej chwili tylko tyle mogę powiedzieć. Dobranoc.

Zebrałem papiery, odwróciłem się i odszedłem. Zatrzymał mnie jej śmiech. Na początku był to tylko cichy chichot — ale taki, który może powalić. Znow się odwróciłem, a moja mina sprawiła, że Nana wybuchła głośnym, rechotliwym śmiechem.

— Co? — zapytałem w końcu.

Nana trochę się opanowała i klapnęła dłońmi o blat stołu.

— Patrzcie, kto wrócił z martwych! Alex Cross.

Rozdział

3

Nazajutrz był dzień jak co dzień, choć może powinienem powiedzieć, że właśnie wręcz przeciwnie. Po południu, gdy z Sampsonem robiliśmy wywiad w okolicy Centrum Kennedyego, zadzwoniła Bree.

— Rzuć wszystko, co robisz, i przyjedź. Nie pożałujesz. — Rozłączyła się, nie mówiąc nawet dzień dobry ani do widzenia.

— Co się stało? — Sampson musiał dostrzec zdumienie na mojej twarzy.

— Coś. Więcej nie wiem. Jedziemy.

Gdy dotarliśmy do biura, zastaliśmy Bree przed ekranem komputera.

— Powiedz, że nie przyjechaliśmy tu po to, żeby popatrzeć, jak układasz pasjansa — odezwał się Sampson.

— Zgadnijcie, kto ma błoga — powiedziała Bree. — Dostałam w tej sprawie telefon od pewnej dziennikarki. Zdziwiła się, że wcześniej o tym nie słyszałam.

Oparła się na krzesło, żeby zrobić nam miejsce, gdy stłoczyliśmy się przed monitorem.

Strona główna, którą nam pokazała, była zarazem prosta i imponująca. Miała jednolite czarne tło i białe liternictwo-W lewym górnym rogu znajdował się animowany obrazę

90

lewizora z szumem na ekranie. Białe drukowane litery układające się w słowa: MOJA RZECZYWISTOŚĆ to pojawiały się to gasły łagodnie, jak napisy w czołówce serialu. Pod spodem umieszczono opcje menu: „Kanał pierwszy”, „Kanał drugi” i tak dalej aż do „Kanału ósmego”.

Większość powierzchni strony zajmowały wpisy błoga. Najświeższy znajdował się na górze. Widniała przy nim godzina dwunasta trzydzieści, czyli napisano go zaledwie przed czternastoma godzinami. Tytuł brzmiał po prostu: „Dzięki”.

„Śmierć jest bardziej uniwersalna niż życie. Każdy umiera, choć nie każdy żyje” — A. Sachs

Dzięki za wszystkie komentarze. Bardzo lubię utrzymywać kontakt z osobami, które doceniają moją pracę. Negatywne uwagi też czytam — chociaż te mniej lubię, hehe. Więc do większości z was mówię: piszcie więcej. Do reszty: znajdźcie sobie lepsze zajęcie.

Niektórzy z was pytali, dlaczego to robię. Robię to dla siebie. Pozwólcie, że powtórzę: robię to dla siebie. Każdy, kto twierdzi, że wie, co teraz zrobię, pieprzy bzdury, bo nawet ja sam tego nie wiem. Nie dajcie się nabrać policji! Nie mają pojęcia, co ze mną począć, bo nigdy dotąd nie widzieli kogoś takiego. Potrafię jedynie podsuwać chwytliwe teksty prasie. Bądźcie sceptyczni.

Powiem wam tyle: to nie koniec. Jeśli to was cieszy, znów wam coś powiem: nie rozczarujecie się.

tyjcie dalej, skurwiele.

Bfee przewinęła w dół strony.

est trochę starszych wpisów, ale nie wszystkie są równie 'erunkowane. Czasami po prostu opowiada o swoim dniu. Przykład, co jadł na lunch. Po trochu o wszystkim.

91

— Pisze o morderstwach? — zapytałem.

— Tylko pośrednio. Wpisy z tych dni są w stylu: „Dziś I wieczorem dobrze się bawiłem” albo „Widzieliście wiadomości?”.

— A to? — Sampson dotknął listy kanałów na ekranie.

— Oj, spodoba wam się.

Bree kliknęła „Kanał pierwszy”. Mały ekranik telewizora w rogu strony przestał wyświetlać szum i pojawiła się tam ziarnista fotografia. Rozpoznałem ją, to jedno ze zdjęć z morderstwa Matthew Jay Walkera, zrobione telefonem komórkowym przez kogoś z widzów. Pokazywano je kilka razy w wiadomościach.

— I jeszcze to.

Kliknęła kolejny kanał, otwierając plik dźwiękowy. Teraz telewizorek pokazywał poziomą zieloną linię, która podskakiwała i załamywała się, wskazując natężenie nagranych krzyków kobiety. Natychmiast rozpoznałem głos Tess Olsen.

— To ona — powiedziałem.

— Na pewno? — spytał Sampson.

— Na pewno — ja i Bree odparliśmy jednocześnie.

Oglądaliśmy taśmę z morderstwa tyle razy, że każda modulacja jej okrzyków stała się znajoma niczym jakaś chora piosenka, którą znaleźmy na pamięć.

Zrozumieliśmy, że nagranie, którego teraz słuchamy, musiało być zarejestrowane oddzielnie, ponieważ kasetę wideo została w mieszkaniu. To w sporym stopniu potwierdzało autentyczność strony.

— Mały dyktafon w kieszeni? Proste. — W głosie Sampson« mimo wszystko pobrzmiwał swoisty szacunek. — Całość jest wyszukana, ale w obrębie planu wykonuje najprostsze posunięcia. Jak wielka, efektywna maszyna.

— Inaczej już byśmy go złapali — powiedziała Bree. Wie, jaki jest dobry — mruknęła ze wstrętem.

92

Weszliśmy w fazę podziwiania i nienawiści. Zabójca bez wątpienia miał śmiałe metody i sprawnie je realizował. Z drugiej strony każdego kolejnego dnia, który spędzał na wolności, zaczynało się go coraz bardziej nienawidzić, a trochę również samego siebie. Chyba czuliśmy to wszyscy troje.

Dobra wiadomość jest taka, że lubi znajdować się w centrum uwagi — powiedziała Bree.

Myślałem, że to zła wiadomość — odrzekł Sampson.

— Jedno i drugie. — Spojrzeli na mnie. — Będzie się częściej objawiał, co oznacza, że może zacząć działać znacznie szybciej. Ale w którymś momencie pewność siebie weźmie górę nad umiejętnościami. Wtedy schrzani sprawę. To się musi stać.

— Bo ty tak mówisz? — spytał Sampson z szerokim uśmiechem.

— Zgadza się — odparłem. Zgniotłem kartkę papieru w kulkę i cisnąłem w poprzek pokoju do kosza. Wpadła z metalicznym brzękiem. — Bo ja tak mówię.

«

wk-

Część druga

Niesława!

Rozdział 3

Prawnik Mason Wainwright przybył na spotkanie z Kyle'em Craigiem równo o czwartej, tak jak zawsze. Kyle nalegał na punktualność. Ta wizyta była jednak inna niż wszystkie poprzednie. To ich ostatnie spotkanie, powód do smutku, lecz także do świętowania.

Wainwright jak zwykle miał na sobie kowbojskie buty i kapelusz, za dużą kurtkę z kozłej skóry, okulary w rogowej oprawie, pas z wężowej skóry. Gdy tylko wszedł do pomieszczenia, uścisnęli się, jak mieli w zwyczaju.

— Ach, to piękno rytuałów — powiedział Craig.

— Wszystko gotowe — szepnął prawnik do ucha więź-nia- — Żadnych kamer. Jesteśmy tu sami. Jak wiesz, w Waszyngtonie już się zaczęło.

To do dzieła. Nikt w to nie uwierzy... nikt. To coś wielkiego, Masonie.

Mężczyźni zakończyli uścisk i natychmiast zaczęli zdejmować ubrania. Rozebrali się do slipów. Kyle miał na sobie Włżezienną bieliznę w kolorze złamanej bieli z żółtymi

Pumami.

To nie siki. To ślady przypalenia z pralni — wyjaśnił

praWnikowi.

97

— Natomiast to rzeczywiście są siki. — Wainwright zaśmiał się, wskazując własne slipy. — Aż tak się boję.

— Cóż — odparł Kyle Craig — nawet ci się nie dziwię.

Prawniki otworzyli teczkę. Rozwarł wieko i wyjął coś, co

pierwotnie wyglądało jak wymodelowany kawałek ludzkiego ciała. W rzeczywistości była to wykonana na zamówienie realistyczna maska, jakie pierwotnie opracowano dla ofiar poparzeń oraz chorych na raka skóry, a także wykorzystywano w hollywoodzkich filmach takich jak Mission: Im-possible. Maskę wykonano z kauczuku silikonowego, a każdy szczegół namalował znany twórca kostiumów z Los Angeles.

W teczce znajdowały się dwie maski: Masona Wainwrighta i Kyle'a Craiga.

Kiedy je założyli, Kyle odezwał się do prawnika:

— Twoja wygląda doskonale. Naprawdę dobrze. A moja? Jak wyglądam?

— Jak ja. — Adwokat uśmiechnął się krzywo. — Chyba lepiej wyszedłem na tym interesie.

— Czy z tymi maskami wiążą się jakieś problemy? — spytał następnie Kyle, dokładny jak zawsze.

— Z tego, co mi powiedziano, mają tylko jedną wadę. Podobieństwo jest idealne, to nie kłopot. Ale powieki nie mrugają.

— Dobrze wiedzieć. W takim razie ubierzmy się do końca.

Kyle szybko włożył ubranie Wainwrighta — na wypadek

gdyby przeszedł strażnik, co czasem się zdarzało, choć zwykła nie podczas spotkań z prawnikiem, kiedy Kyle i jego adwokat mieli prawo do prywatności.

Tego dnia Mason Wainwright włożył ubranie kilka rozmiarów za małe, włącznie ze swym firmowym kowboj skin1 kapeluszem. Gdy Kyle miał nałożyć buty, wsunął do środka pięciocentymetrowe wkładki wyjęte z teczki.

98

Teraz miał nieco ponad metr dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, czyli mniej więcej tyle co jego adwokat.

prawnik, ubrany obecnie w więzienny kombinezon, wciąż był wyższy niż Kyle, ale zamierzał naśladować typowy zgarbiony chód więźnia, więc nie miało to większego znaczenia. Byli już gotowi, ale plan wymagał, żeby przebywali razem przez pełną godzinę. Tak jak zwykle. Wszystko dokładnie tak jak zawsze. Ściśle według rytuału.

— Chcesz zadać swoje osiem pytań? — spytał prawnik. — Czy ja to powinienem zrobić?

Kyle wyrecytował zwyczajowe pytania. Potem aż do końca wyznaczonego czasu żaden nie odezwał się ani słowem. Kyle Craig wyglądał, jakby był niemal w transie. W rzeczywistości po prostu myślał z wyprzedzeniem, robił plany.

W końcu, kiedy została minuta spotkania, Kyle wstał pierwszy. Wyglądał oczywiście jak prawnik.

Potem wstał prawnik, który wyglądał jak Kyle Craig.

Kyle objął Masona Wainwrighta.

— Na twoją cześć — szepnął adwokat. — Przepraszam, że zaaranżowanie tego wszystkiego trwało tak długo.

— Arcydzieła wymagają czasu — powiedział Kyle Craig.

r

Rozdział 32

Kiedy strażnik otworzył drzwi niewielkiego pokoju spotkań, Mason Wainwright siedział nieco zgarbiony i patrzył w ziemię.

— Idziemy, Craig. Koniec zabawy. Wracasz do apartamentu.

Wainwright wymamrotał, że się zgadza, po czym ruszył korytarzem przed zrzędlivym strażnikiem. Garbił się i szurał nogami jak więzień bez przyszłości, którym rzekomo był. Byleby nie zobaczyli, jak nie mrugasz, powtarzał sobie.

To właśnie ten moment, gdy cały plan mógł runąć. W ciągu najbliższych minut wszystko mogło pójść na nic. Jego rola była prosta: zachować spokój, być cicho, nie podnosić głowy — chyba że strażnik zauważy jakąś zmianę, jakiś błąd z jego strony. Prawnik badał niuanse zachowania Ky-le'a Craiga długimi miesiącami i sądził, że wszystko opanował. Mimo to nie mógł mieć pewności, póki nie będzie p° wszystkim.

Nagle poczuł na plecach pałkę strażnika. O co chodzi? Cholera, nie!

Najwyraźniej popełnił błąd i teraz zastanawiał się, na czyi11 on poległ. W którym miejscu schrzanił sprawę i zrujnował

100

u Cieczkę, którą Kyle Craig zaczął planować już pierwszego dnia pobytu w więzieniu? A może nawet jeszcze wcześniej, gdyż wydawało się, że Supermózg przewiduje wszystko, co tylko mogło się wydarzyć.

Tędy, Supermózgu. Zapomniałeś drogę do własnej celi,

geniuszu? — odezwał się strażnik i zaśmiał szyderczo. — No dalej, ruszaj się. Chcę wrócić do rozprawy w telewizji.

Prawnik nie obejrzał się na mężczyznę, nie zareagował w żaden sposób, po prostu skręcił we wskazany korytarz i szedł przed siebie zgarbiony.

Na szczęście po drodze do celi Kyle'a Craiga nie wydarzyło się już nic nieprzewidzianego. W końcu strażnik zatrzasnął drzwi i Wainwright został sam. Udało się!

Dopiero wtedy uniósł wzrok i ośmielił się rozejrzeć. Więc to tu, w tych warunkach, Supermózg mieszkał przez o-tatnie lata. Cóż za wstyd, że tak wspaniały umysł utknął w miejscu nieoferującym jakiegokolwiek intelektualnej stymulacji. Kyle musiał się poddawać pragnieniom i zachciankom bestialskich strażników i wolno myślących administratorów.

— Na twoją cześć — szepnął znów prawnik, po czym zaczął się przygotowywać do wykonania reszty poleceń Kyle'a Craiga.

Obejrzał małą celę z wylewanego betonu. Łóżko, biurko, stołek i szafka przy łóżku dla bezpieczeństwa były przykręcone do podłogi. Sedes automatycznie się wyłączał, żeby uniemożliwić zalanie celi. Kyle „zasłużył sobie” na czarno-biały tele-wzor, ale pokazywano tylko programy religijne i porady, więc kt0 by to oglądał?

Adwokat czuł straszną klaustrofobię. Pomyślał, że w tej malutkiej norze trudno nie postradać zmysłów. W końcu musiał zaśmiać z takiej myśli. Większość ludzi twierdziłaby, że °n sam dawno postradał zmysły, zanim jeszcze został jednym z Uczniów Supermózga.

101

Kiedy wieczorem, o osiemnastej, tuż przed porą posiłku, do celi zajrzał strażnik, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Na tychmiast wcisnął przycisk alarmowy na pasku. Czekał, aż przybędzie pomoc, i wciąż nie potrafił oderwać wzroku od celi, Kyle Craig się powiesił!

Rozdział 33

Słońce świeciło w oczy Kyle'a Craiga i było to coś pięknego. Słońce! Wyobraźcie sobie. Prowadził jaguara należącego do Masona Wainwrighta o kilka kilometrów szybciej, niż wynosiło ograniczenie prędkości. Wreszcie dotarł do centrum handlowego pod Denver, gdzie czekał na niego SUV marki Mercedes. Tak już lepiej: moc i komfort. Poza tym mercedesa nikt nie będzie szukał.

Przecież na Kyle'a Craiga czekali niedowiarkowie, których należało sfrustrować i wprowadzić w zakłopotanie.

Zwolennicy, których trzeba zachwycić.

Obietnice, które trzeba spełnić, obietnice zapisane krwią zarejestrowane na szacownych łamach „Washington Post” i „New York Timesa”.

Tak, znów zobaczy słońce, a także wiele innych rzeczy.

Jechał do Waszyngtonu, ale postanowił obrać okrężną drogę, °dowiedzieć kilku wrogów, może zabić ich we własnych domach.

Zamierzał znów wyrobić sobie nazwisko i miał plan, jak to zrobić.

Ale ani słowa na papierze — wszystko w głowie.

Mój Boże, patrzcie tylko na to słońce! — wykrzyknął.

Rozdział 34

Kiedy telefon zaczął się urywać, byłem w domu przy Piątej Ulicy i właśnie skończyłem jeść późny obiad z Naną i dziećmi. Prawie wszyscy przebywaliśmy w kuchni, zajęci rodzinnymi porządkami. Damon, Jannie i ja wszystkim się zajmowaliśmy, Ali nadzorował, a Nana siedziała w salonie i czytała gazety — „Washington Post” i „USA Today”, jej ulubione.

Dziś w telewizji był także jej serial, Chirurdzy. Nana go uwielbiała, gdyż uważała, że wśród jej bohaterów jest trójka bystrych i dość realistycznie przedstawionych czarnych bohaterów. Chirurdzy to jedyny serial, o którym mieliśmy podobne zdanie. Oboje byliśmy uzależnieni od tego medycznego serialu, który rzadko zawodził nasze oczekiwania.

Jannie odebrała telefon i zmarszczyła czoło, gdy ku jej zaskoczeniu okazało się, że to nie do niej.

— Tato, do ciebie.

— Cóż za niespodzianka — powiedziałem. — Wielkie rozczarowanie.

— To nie dziewczyna — odgryzła się Jannie — więc zapomnij. To nie Bree.

Nie wiem, czego się spodziewałem, ale na pewno nie tego.

104

L X

c0 usłyszałem w słuchawce w ciągu następnych kilku dezorientujących sekund.

Alex? Mówi Hal Brady.

Brady był obecnie komendantem wydziału śledczego stołecznej policji, starym przyjacielem, a także szefem Thora Richtera i całej naszej reszty.

Witaj, komendancie. — Wydusiłem z siebie parę słów,

ale przede wszystkim zdecydowanie nastawiłem się na słuchanie. Fakt, że dzwonił do mnie Brady, nie zwiastował niczego dobrego. Nagle coś mnie tknęło. — Nie chodzi o Bree, prawda?

— Nie, nie. Z Bree wszystko w porządku. Szczerze mówiąc, jest tu ze mną w gabinecie. Zaraz ci ją dam — powiedział komendant, po czym przeszedł do rzeczy. — Alex, dzwonię dlatego, że Kyle Craig uciekł dziś z ADX Florence. Wciąż ustalają jak tego dokonał, ale to nic dobrego. Ani dla ciebie, ?ni dla nas wszystkich. Jest na wolności. Nie mają pojęcia, dokąd się udał.

Nie wahałem się ani chwili.

— Chciałbym, żebyś mi wyświadczył przysługę — rzekłem. — Dużą przysługę.

Rozdział

Kilakrotnie bywałem w więzieniu o najwyższym stopniu nadzoru we Florence, odkąd osadzono tam Kyle'a Craiga. Podczas lotu sporządziłem na jego temat trochę notatek, korzystając z materiałów zgromadzonych przeze mnie w ciągu wielu lat. Przypominałem sobie różne zajścia między nami. Niegdyś Kyle był moim przyjacielem, a przynajmniej tak sądziłem. Po drodze oszukał wiele osób, a ja zawsze dawałem się nabierać ludziom, którzy wyglądają na takich, co prowadzą porządne życie.

W notatniku napisałem:

Oczekuje uznania za osobę wyjątkową. Ma maksymalnie wygórowane poczucie własnej wartości. Skrajnie narcystyczny.

W kontaktach interpersonalnych — manipulator. Myśli kompleksowo.

Powierzchniwy urok, włączany i wyłączany wedle uznania.

Rywalizacja w rodzeństwie (prawdopodobnie zabił brata). Wykorzystywany fizycznie i psychicznie przez ojca. A w każdym razie tak twierdzi.

106

I

licencjat i dyplom z prawa na Uniwersytecie Duke'a. Najlepszy na roku. Ukończył studia bez wysiłku. Iloraz inteligencji w przedziale 145—155. Brak sumienia.

Ojciec, William Hyland Craig, były generał, prezes dwóch firm z listy Fortune 500. Nie żyje.

Matka, Miriam, nadal mieszka w Charlotte. Były agent FBI, wyszkolony w Quantico, gdzie uczył także nowych agentów.

Nastawiony na współzawodnictwo, szczególnie ze mną.

Dotarłem do Florenee w Kolorado około południa dzień po ucieczce Kyle'a. W więzieniu bardzo niewiele się zmieniło. Przez pierwszą godzinę rozmawiałem z dwoma strażnikami, potem spotkałem się z naczelnikiem Richardem Krockiem. Wydawał się bardziej niż każdy z nas zszokowany faktem, że Kyle, lub w ogóle ktokolwiek, mógł uciec z Florenee. Do tej pory nikomu się to nie udało.

— Jak panu wiadomo — powiedział mi Krock — prawnik wszedł do celi Craiga w masce na twarzy, a potem się powiesił. Nie wie pan za to, że nagraliśmy na wideo kilka pierwszych wizyt u Craiga. Chciałby je pan zobaczyć? Nawet bardzo.

Rozdział 36

Przez następne kilka godzin siedziałem wpatrzony w nagrania z wczesnych spotkań Kyle'a z Masonem Wainwrightem. Adwokat zażądał respektowania prawa do poufności kontaktów prawnika i klienta dopiero po trzech tygodniach. Dlaczego? Bo Kyle pragnął nam coś pokazać? A może chciał to zrobić adwokat?

Ale co takiego? Pierwsza wizyta praktycznie nie różniła się od pozostałych.

Wainwright wszedł do sali, ubrany w bardzo pamiętny strój, który w końcu pomógł przy ucieczce: kowbojskie buty i kapelusz, kurtkę z koziej skóry i okulary w rogowej oprawce, które nie pasowały do reszty ubioru.

Adwokat i Kyle objęli się na powitanie. Kyle powiedział coś, czego nie wychwycił mikrofon.

Potem nastąpiła seria ośmiu pytań — zawsze takich samych bądź bardzo podobnych.

Czy to jakiś kod? Czy Kyle prowadził grę? Albo był P° prostu szalony — i on, i prawnik? W tej chwili nie potrafili¹¹¹ tego stwierdzić. Ani tego, ani niczego innego. Z wyjątkiem¹¹¹ faktu, że Kyle Craig to pierwszy więzień w historii, który uciekł z ADX Florence. Supermózg dokonał niemożliwego-

W końcu Craig i adwokat znów się objęli. Wainwright powiedział Kyle'owi coś, czego nie zarejestrowała taśma. Czy w ten sposób wymieniali wiadomości, niezależnie od tego, czy

byli nagrywani?

przypuszczałem, że tak. Na pewno mogliśmy spróbować to sprawdzić.

Następnie poszedłem do celi Kyle'a, ale nie znalazłem tam do oglądania nic szczególnego. W ADX więźniom nie wolno mieć wielu rzeczy osobistych. Małe pomieszczenie było schludne i uporządkowane, dokładnie tak jak sam Kyle.

Wtedy zobaczyłem wiadomość, którą zostawił.

Na stoliku obok łóżka stała kartka z życzeniami.

Firmy Hallmark — pusta — dokładnie jak te w mieszkaniu Tess Olsen.

Kilka minut później byłem znów w gabinecie naczelnika Krocka. Musiałem poznać odpowiedzi na pytania, które nasunęły mi się w ciągu ostatnich godzin.

— A goście? — spytałem. — Wiemy o prawniku, ale nie mamy pojęcia o jego autentycznych relacjach z Craigiem. Czy ktoś jeszcze go odwiedzał? Ktoś przychodził częściej niż raz?

Krock nie musiał nawet zaglądać do akt.

Przez pierwszy rok bywał tu pewien natrętny dziennikarz z „Los Angeles Times”, Joseph Wizan. Craig nie zgadzał się na spotkanie. Wielokrotnie. Kilka innych osób kontaktowało Słę z Craigiem poprzez moje biuro, ale nie przyjeżdżały, bo ■ni też odmawiał widzenia. Jedyna osoba, która go odwiedziła, Zaledwie kilka miesięcy temu, to pisarka Tess Olsen. Wie pan, a' którą ostatnio zamordowali w Waszyngtonie. Kyle nas Uskoczył. Zgodził się na spotkanie. Była tu trzy razy. Planowała ||aPisać o nim książkę. Słuchając jej, odnosiło się wrażenie, że

ma być drugie Z zimną krwią.

Czyli pan z nią rozmawiał? — spytałem.

— Tak. Podczas wszystkich trzech wizyt. Za pierwszy razem mniej więcej przez pół godziny.

— Co pan o niej sądził?

Naczelnik Krock kręcił głową na boki, jakby ważył słowa. W końcu się odezwał.

— Odniosłem wrażenie, że jest jego wielbicielką. Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, czy zanim Craig został złapany, coś ich nie łączyło.

Rozdział 3

Wróciłem do Waszyngtonu następnego ranka. Wcześniej przekazałem wiadomości o Tess Olsen, o kartce Hallmarku w celi Craiga oraz możliwości, że Kyle był związany z Olsen, a może nawet z jej mordercą. Przede wszystkim jednak zastanawiałem się, co Kyle planuje.

Bree zebrała do pracy nad poszlakami z błoga mały zespół kryminalistyczny. Przydzielono nam agenta Briana Kitzmillera z jednostki kryminalistyki informatycznej FBI. Bardzo chętnie dołączył do grupy — sprawa Zabójcy Dla Widowni zdążyła zwrócić jego uwagę.

Bree spytała Kitzmillera, kiedy najprędzej może się z nami umówić po przejrzaniu błoga. Podał termin za cztery godziny, co oznaczało, że jest szybki. Kolejny wyraźny znak, że wszyscy mają oko na tę sprawę.

Pojawiliśmy się w Budynku Hoovera około piętnastej. Świetnie poruszałem po gmachu, ale rzadko współpracowałem jednostką kryminalistyk i informatycznej i nie znałem osobiście Kitzmillera — chociaż słyszałem o nim i wiedziałem, że ma reputację osoby umiejaczej rozwiązywać zagadki. r Wejście — powiedział.

Ocięż siedział przed roboczym terminalem, nie ulegało

111

wątpliwości, że jest bardzo wysoki. Robił wrażenie fajtłapy i miał najintensywniej rudopomarańczowe włosy, jakie w życiu widziałem.

Ta część jednostki znajdowała się w niskim pomieszczeniu na drugim piętrze, kilka pięter niżej niż moje dawne biuro. Wszyscy siedzieli w szerokich boksach podobnych do budek, zwróceniem plecami do środka, gdzie stał duży, ośmiokątny stół konferencyjny zawalony papierami, teczkami i laptopami. Ludzie tu naprawdę pracowali — to dobry znak.

Ściana ze szkła oddzielała pomieszczenie od ruchliwego korytarza.

Bree, Sampson i ja wzięliśmy krzesła i usiedliśmy w sześcianie Kitzmillera. Był w moim wieku, wysportowany, no i miał te oślepiające włosy.

— Nie mogę ustalić źródła nagrań audio — oznajmił — ale porównałem krzyki na nagraniu, które bloger nazwał „kanałem drugim”, z taśmą wideo z miejsca zbrodni. Na pewno pasują. Ale to jeszcze nie oznacza, że możemy powiązać blog z zabójcą. Teoretycznie każdy mógł umieścić to w sieci.

— Pod warunkiem, że ktoś jeszcze miał dostęp do nagrania — powiedziałem. — Wszyscy się zgadzamy, że audio na stronie jest oryginalne, prawda?

— Jasne — odrzekł. — Więc to albo wasz podejrzany, albo ktoś, komu dał dostęp. Na razie trudno to stwierdzić.

— Po kolei — odezwała się Bree. — Przez telefon mówiłeś, że blog był aktualizowany z Uniwersytetu Georgetown. Zgadza się?

— A przynajmniej poprzez Uniwersytet Georgetown. To główny problem, który już zauważyłem. Ktokolwiek wgry3' błoga, wiedział, jak zacierać ślady.

— Serwer proxy? — spytał Sampson. Jego wiedza na dziwne tematy zawsze mnie zaskakiwała.

112

Kitzmiller uśmiechnął się z uznaniem, ale zaraz pokręcił głową-

Nie. Szczerze mówiąc gorzej. Użył otwartego proxy.

Uniwersytety z tego słyną. Każdy głupek może zdalnie podpiąć swój adres IP i prosić bardzo, mamy stronę nie do namierzenia. Mogę wam podać tylko położenie. Nic na temat

tożsamości.

Jakiegokolwiek propozycje? — spytała Bree. — Naprawdę

potrzebujemy twojej pomocy.

Jasne. Rozumiem frustrację. Proponuję mocno się zaangażować. Wskoczyć ze mną na głęboką wodę. My będziemy się tu dalej chlapać, ale dobrze, żebyś i ty troszkę zamieszała. Uwierz, w sieci pojawia się cała masa śladów. Zdziwiłabyś się, co można znaleźć.

— Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia o kryminalistyce informatycznej — odparła Bree.

— Nie musisz. Nie mówię o łamaniu kodów, ale o dużej społeczności, którą trzeba zbadać. O blogosferze.

— Blogosferze?

Kitzmiller otworzył na ekranie kilka okien naraz i nałożył je na siebie, chcąc pokazać, do czego zmierza.

— Po pierwsze mamy wszystkich, którzy napisali komentarze na samym blogu. Na przykład na stronie „Moja rzeczywistość”. Już ją zdjęto, ale mamy około czterdziestu pseudonimów osob, które skomentowały co najmniej jeden z wpisów. Więc to całkiem niezły początek. Pamiętasz tę starą reklamę szamponów? „Powiesz dwojgu przyjaciół, oni powiedzą dwojgu ' tak dalej, i tak dalej". Tu jest tak samo. Wpisy czyta iluś

21 następnie pisze o nich na swoich blogach i zasięg rośnie ykładniczo. Do tego dochodzą jeszcze czaty. A teraz dodaj ' ze zabójca najwyraźniej lubi być w centrum uwagi. Jest szansa, że chce pozostać częścią tej społeczności. Ci

Zle są powiązani. Jeśli znajdziesz właściwe powiązanie,



rozwiązesz sprawę, złapiesz mordercę i trafisz do policyjny galerii sław.

— Dużo tu tego , jeśli" — powiedziała Bree. — Nie lubię ,jeśli" i „może".

Już od lat mówiono, że cyberprzestrzeń to nowe pogranicze walki z przestępczością. Najwyraźniej po raz pierwszy miałem się o tym przekonać.

Kitzmiller wprowadził do Google proste zapytanie, by zilustrować, co ma na myśli. Wpisał hasło „Zabójca Dla Widowni" i dostał całą stronę wyników.

— O rany! — powiedziała Bree. — Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem. Chociaż może raczej powinnam być przygnębiona. Sporo tych śladów.

— Kurwa! Prawdziwa epidemia — dodał Sampson.

— Zauważcie, że on na swojej stronie nigdy nie używa tego przydomka. Pewnie dlatego wcześniej na nią nie trafiliście. Tu macie ponad osiemdziesiąt innych wątków, gdzie się o nim wspomina, i dwa bezpośrednio poświęcone tematowi. A przecież prawdopodobnie nie popełnił jeszcze nawet trzech morderstw.

— Czy to, że on zabiega o uwagę, przyspieszy poszukiwania? — zapytałem.

— Oczywiście. W Internecie jest duża publiczność żądna wiedzy na takie tematy. Większość ludzi mówi, że to morderstwo budzi w nich odrazę, i z pewnością w wielu wypadkach rzeczywiście tak jest. W rezultacie mamy mieszankę osób autentycznie zainteresowanych kryminalistyką ludzi, którzy chcą wiedzieć więcej, ale niekoniecznie z właściwych powodów, oraz takich, których to po prostu podnieca. Ten facet to ucieleśnienie ich marzeń. Nikt dotąd w czasie swojej aktywność' nie był równie dostępny.

Bree wciąż wszystko rozważała, w końcu odezwała się cicho,

— Więc... on wykorzystuje innych ludzi, żeby pomogli stać się tym, kim chce być.

J

Kitzmiller kiwnął głową i otworzył kolejne okno, „oficjalną" stronę fanów Jeffreya Dahmera.

Do wyboru, do koloru. On chce być Dahmerem. Chce być Tedem Bundym. Chce być Zodiakiem.

— Nie. Chce być znacznie większą gwiazdą — powiedziałem. — Chyba chce przerosnąć ich wszystkich.

Włącznie z Kyle'em Craigiem? Ta myśl nie dawała mi spokoju. Gdzie w tym było miejsce dla Kyle'a?

Rozdział

38

Sprawa już zaczynała mnie frustrować, a na dodatek cierpiałem z powodu braku Bree. Martwiłem się, że w tym tygodniu koncentracja na pracy przyjdzie mi z trudem, toteż postanowiłem nagrywać sesje na kasetę. Na wszelki wypadek.

Anthony Demao, ten weteran Pustynnej Burzy, zrobił coś niezwykłego jak na siebie: mówił szczegółowo o wojennych doświadczeniach. Siedziałem nad lunchem przy biurku i odtwarzałem nagranie. Słuchając, miałem Anthony'ego przed oczami: męskiego, przystojnego, wciąż w dobrej formie — lecz przy tym bardzo cichego.

— Brakowało nam wystarczającego wsparcia naziemnego. Nasz dowódca miał to w dupie. Byliśmy tam „z misją”. Tylko to go obchodziło.

— Od jak dawna tam wtedy byłeś?

Cisza. A potem:

— Atak naziemny zaczął się pod koniec miesiąca, więc chyba parę tygodni.

Nabierałem coraz silniejszego przekonania, że podczas Pustynnej Burzy stało się coś bardzo złego, coś, co mogło być kluczem do jego problemów. Może wyparł jakieś wydarzeniowi tym wypadku nie należało wywierać zbytnej presji, bo

116

1

miałem przecucie, że mógłby prędko zrezygnować z terapii, szczególnie jeśli uznałby, że nie robimy wystarczających postępów.

Trochę pogrzebałem — powiedziałem na taśmie. — Służyłeś w dwudziestej czwartej dywizji piechoty, prawda? To było tuż przed wyruszeniem na Basrę.

— Skąd pan to wie?

To część historii. Ty byłeś częścią historii. Nietrudno

znaleźć te informacje. Czy wydarzyło się tam coś, o czym nie chcesz mówić? Mnie... albo nikomu innemu?

— Może. Pewnie trochę rzeczy, o których na razie nie chcę mówić. Ale nie obwiniam nikogo za to, co się stało.

Zaczął mówić szybciej, w urywany sposób, jakby prędko chciał skończyć ten temat.

— Za co nikogo nie obwiniasz? — spytałem.

— Za to całe gówno. Wie pan, sam się zaciągnąłem. Chciałem tam jechać.

Czekałem, ale nie rozwinął myśli.

— Na razie to wszystko — rzekł wtedy Anthony. — Dzisiaj powiedziałem trochę za dużo, trochę za szybko. Reszta następnym razem. Muszę wejść w to powoli, doktorze. Przepraszam.

Wyłączyłem magnetofon i oparłem się na krześle. Wiedziałem, że Anthony ostatnio traci grunt pod nogami, nawet pomimo subwencionowanego miejsca zamieszkania. Za miesiąc czy dwa prawdziwym problemem stanie się dla niego bezrobocie. O ludziach takich jak on zapomina cały świat.

Potarłem oczy i nalałem sobie kolejną filiżankę kawy. Miałem auzo do przemyślenia, może nawet zbyt dużo. Czekala mnie Wlzyta jeszcze jednego pacjenta — a później, po południu, spotkanie w komendzie policji.

Ważne spotkanie.

Rozdział 3

Nadeszła pora, by wykorzystać moją reputację i zdobyte laury w sposób, w jaki jeszcze nigdy tego nie robiłem. Wiedziałem, że komendant policji Terrence Hoover zgodzi się na spotkanie, jeśli go o to poproszę, szczególnie że najpierw ustaliłem to z szefem wydziału śledczego. Nie miałem podobnej pewności, czy Hoover przystanie na moją nedorzeczną propozycję. Musiałem się o tym przekonać.

— Alex, wejdz. Siadaj — powiedział, gdy stanąłem w drzwiach jak oferma.

Na ścianie za biurkiem wisiła fotografia ze studenckich zawodów zapaśniczych, przedstawiająca młodego Hoovera na Uniwersytecie Marylandu. To wyjaśniało, skąd u niego ten miażdżący uścisk dłoni.

— Dawno się nie odzywałeś.

— Dziękuję, że mnie pan przyjął, komendancie. Nie muszę mówić, że mam pewną sprawę.

Hoover się uśmiechnął.

— Więc pomijamy pogaduszki, co? Dobrze. Czego byś chciał, Alex?

— Niczego szczególnie skomplikowanego. Pracy.

Hoover zamrugnął i opuścił podwójny podbródek.

118

Pracy? O cholera, a to niespodzianka. Myślałem, że

zszedłeś mnie o coś prosić, a ty mi coś proponujesz.

przyjąłem te słowa z ulgą.

Dziękuję, komendancie. No to chyba będę proponował dalej.

Proszę bardzo. Rozkręcasz się. Chętnie usłyszę resztę oferty.

Zaprezentowałem ją.

Niektórzy policjanci mówią, że chcą coś zmienić. Chyba

uważam, że mogę zrobić więcej dobrego niż złego, i to jest jakiś cel. Chcę wrócić do służby, ale w ograniczonym zakresie. Chciałbym pracować w oddziale specjalnym, lecz poza regularnymi zmianami. Tylko konkretne zadania. Zacząłem już doradzać w sprawach morderstw w Centrum Kennedy'ego oraz na Connecticut Avenue i jeśli to panu odpowiada, w ten sposób mógłbym się bezboleśnie wciągnąć. Znam zespół i myślę, że byłbym przydatny.

Hoover roześmiał się głośno.

— Słyszałem w tym gabinecie sporo niezłych przemów, ale tę twoją niewiele przebije. — Wycelował we mnie palec. — Wiesz, że możesz sobie pozwolić na takie zarozumiałstwo, bo masz cholerną pewność, że się zgodzę.

— Pomyślałem, że nie będę owijał w bawełnę.

Komendant wstał, więc ja też.

Zgadzam się. Każę Arlene zadzwonić do działu kadrowego, a z nadinspektorem porozmawiam sam. Coś załatwimy.

Wiedziałem, że moim szefem w oddziale specjalnym będzie sPektor wydziału śledczego Ramon Davies, przełożony Thora tera. Gdyby udało mi się wyrwać dochodzenie spod ierzchnictwa Richtera, moglibyśmy działać dużo swobodniej.

" Chyba właśnie zużyłem cały kredyt — powiedziałem, Ponownie ściskając dłoń Terrence'a Hoovera.

119

— Dobrze, że będziesz z nami pracował nad tą sprawą rzekł komendant. — Słyszałem, że mówią na niego „Zabójca Dla Widowni”.

Ponieważ to ja wymyśliłem ten pseudonim, korciło mnie by się uśmiechnąć, lecz ostatecznie tego nie zrobiłem.

— Zabójca Dla Widowni? No, chyba pasuje.

Rozdział 40

Tamtego popołudnia spotkałem się z Bree i Sampsonem w Dały Building. Zdążyłem już dostać tam gabinet, który teraz został też centrum operacyjnym śledztwa w sprawie Zabójcy Dla Widowni. We trójkę w ciasnym pomieszczeniu czuliśmy się trochę jak w pokoju w akademiku.

Nigdy dotąd nie pracowałem w ten sposób, do tego stopnia zespołowo. Nie było jednak napięcia, jeśli chodzi o nasze role, i nie debatowaliśmy nad tym, jak wykonywać robotę. Liczyło się tylko śledztwo. No i, oczywiście, bliskość długich nóg Bree oraz innych części ciała, jej czarującej twarzy i tak dalej, i tak dalej.

Kiedy wszedłem, szukała czegoś w szufladach. Za nią stał Sampson. Zaglądał jej przez ramię i czytał jakiś dokument.

Patrz na to — powiedział, podnosząc zdjęcie z kartoteki Policyjnej. — Poznaj Ashtona Cooleya.

' Co to za jeden? — spytałem i zerknąłem na nie do góry n°gami.

Ashton to pseudonim sceniczny — wyjaśnił Samp-s°n- — Starał się o rolę, którą dostał Matthew Jay Walker tej sztuce science fiction w Centrum Kennedy'ego. Pro-

121

ducenci woleli hollywoodzką gwiazdę niż lokalnego aktora Typowe, nie?

— To może nieźle wkurzyć — dodała Bree. — Nie sądzisz? Bo ja tak.

Wziąłem zdjęcie i je obejrzałem. Aktor był biały, miał dwadzieścia parę lat, ciemne włosy i wyglądał na lekko nadą-sanego.

— Myślę, że wielu aktorów starało się o tę rolę. Sztuka mogła trafić na Broadway — powiedziałem.

— Jasne — odparł Sampson. — Ale ilu z nich jest podejrzanych w sprawie wcześniejszego zabójstwa?

Rozdział 41

Sampson prowadził śledztwo w sprawie innego morderstwa w biednych osiedlach, więc ja i Bree pojechaliśmy odwiedzić aktora. Wjechaliśmy na Massachusetts Avenue i dalej na Szes-nasJą Ulicę, aż dotarliśmy do mieszkania Cooleya w Mount Pleasant. Okolica wciąż kojarzyła się z zamieszkami w 1991 roku, które wybuchły, kiedy czarnych policjantów oskarżono o antylatynoski rasizm.

Cooley, jak przeczytałem po drodze, był — i teoretycznie pozostawał — głównym podejrzany o zastrzelenie swojej dziewczyny, Amandy Diaz, przed dwoma laty. Z braku dowodów prokuratura musiała zrezygnować z oskarżenia, ale podobno niewiele brakowało.

Mężczyzna wciąż mieszkał w tym samym lokalu, gdzie dokonano zabójstwa. Najwyraźniej nie należał do sentymentalnych.

Mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze, nad laty-n°skim sklepem spożywczym, w budynku, którego od dawna nie montowano. Poszliśmy schodami i dotarliśmy do wilgotnego holu wyłożonego płytkami. Na przeciwległym końcu znajdowało się jedno półprzezroczyste okno.

Piętrze było troje obitych metalem drzwi do mieszkań,

123

Bn

a wejście do lokalu Cooleya mieściło się pośrodku. Zapukaliśmy i czekaliśmy.

— Kto tam? Jestem zajęty.

— Pan Cooley? Jestem detektyw Cross, ze mną jest detektyw Stone ze stołecznej policji.

O dziwo drzwi otworzyły się i mężczyzna zaprosił nas do środka.

— Wejdźcie, wejdźcie.

Bree podrapała się za uchem i rzuciła mi spojrzenie.

— Czy z jakiegoś szczególnego powodu martwi pana, że ktoś mógłby zobaczyć policjantów na pana progu? — spytała.

— Bo zwykle to taki dobry znak? — odparł. — O ile się orientuję, gliny przed drzwiami to kiepska wiadomość.

Weszliśmy do wąskiego korytarza. Po lewej stronie znajdowały się dwa zamknięte wejścia do pokoi, natomiast na przeciwległej ścianie, łuszczącej się i odrapanej, wisiał rząd oprawionych w ramki fotografii portretowych — może przedstawiały znajomych Cooleya. Zastanawiałem się, czy jest wśród nich martwa dziewczyna.

— Możemy usiąść? — spytała Bree.

Nie drgnął.

— Raczej nie. Czego chcecie? Jak mówiłem, jestem zajęty-

Jeszcze jeden zgrzyt, a Cooley przekona się, co się dzieje,

kiedy tracę cierpliwość.

— Chcemy pana zapytać o sobotę dwa tygodnie temu. Na początek proszę nam powiedzieć, gdzie pan wtedy był.

— Dobra. — Ruszył w stronę pokoju dziennego. — Usiądą my. Byłem tutaj. Nie wychodziłem z mieszkania.

Gdy znaleźliśmy się w pomieszczeniu, Bree nie usiadła. Ja spocząłem naprzeciwko Cooleya na wysokim, chybotliwym stołku. Mężczyzna miał w pokoju jeden duży, bardzo stary wyściełany fotel, niski stolik, w miarę przyzwoity system ki domowego oraz dwa stołki.

124

jak długo pan tu mieszka? — spytałem.

Odkąd wygrałem na loterii — odparł z kamienną twarzą.

Był pewny siebie i często patrzył mi w oczy.

Do akcji wkroczyła Bree.

Proszę pana, czy ktokolwiek może potwierdzić, że tamtego wieczoru był pan w domu?

Cooley rozsiadł się w fotelu.

Tak, miłe panie z gorącej linii „Spierdalaj”.

Bree dopadła go po dwóch szybkich krokach. Szarpnęła rączkę fotela i położyła oparcie na płask. Następnie nisko się nachyliła.

— To nie jest śmieszne, dupku. Nie jesteś dowcipny. Gadaj z nami, i to otwarcie. Ostatnio nie mam poczucia humoru.

Posunęła się dalej, niż ja byłbym gotów to zrobić, ale poskutkowało.

Aktor uniósł ręce, udając, że się poddaje.

— Ja się tylko wygłupiałem. Cholera. Wyluzuj, dziewczyno.

Bree wyprostowała się, ale nie odeszła od fotela.

— Gadaj. Nie mam ochoty się wyluzować, koleś.

— Wypożyczyłem film i zamówiłem chińszczyznę z Hunan Place. Pogadajcie z dostawcą.

— O której godzinie była dostawa? — spytałem.

Wzruszył ramionami.

O siódmej? Ósmej? Jakoś tak. Cholera, nie wiem. — Bree minimalnie się przysunęła, a on aż się wzdrygnął. — Poważnie. Nie wiem, która wtedy była. Ale to nie ma znaczenia. Siedzia-łeni tu cały wieczór.

Nie powiedziałem tego głośno, ale byłem skłonny mu "wierzyć.

Pomimo tej demonstracji testosteronu pod każdym względem et|anował słabością — przejawiała się w chodzie, w mowie,

tym, jak szybko zmiękł, gdy Bree wykazała odrobinę agresji.

125

Szukaliśmy kogoś, kto panuje nad sobą dużo lepiej niż tej facet, kogoś silniejszego pod każdym względem. A do tego lepszego aktora. Bree też to chyba czuła.

— Chodźmy, Alex — powiedziała. Odwróciła się tyłem do Cooleya i uśmiechnęła się. — Przykro nam, nie nadajesz się do tej roli. Na pewno często to słyszysz, cwaniaczk.

Rozdział 4

O dziewiątej trzydzieści rano w niedzielę, dzień kościelny, łagodny jegomość David Hayneswiggie, księgowy, i to niezbyt dobry, spojrział w dół i zobaczył, że autostrada George Washington Memorial Parkway wypełnia się samochodami, (jęsto było zarówno na pasach biegnących na północ, jak i na południe — ale nie na tyle, by powstrzymać kierowców od jazdy z prędkością minimum stu, a często ponad stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

Co jakiś czas jadący na północ samochód trąbił, gdy zbliżał się do pustej kładki dla pieszych biegnącej nad autostradą. Dla Hayneswiggie'a to miało sens.

Ludzie na autostradzie musieli się zastanawiać, co robi tam samotny facet w obwisłej masce Richarda Nixona. A jeśli tak, to mieli rację tylko w połowie.

Rzeczywiście, to maska Nixona, ale on bynajmniej nie był Samotny. David Hayneswiggie miał towarzystwa pod dostatkiem.

Rozpoczęła się trzecia opowieść i cóż to był za cymesik — 20 pomysłowa, głośna i dramatyczna jak cholera, i kolejna świetna rola do odegrania. Księgowy, który nie ma po co żyć, nie ma nic do stracenia. Ma wielkie pretensje świata. Facet długo zwlekał z rewanzem.

127

Na cementowym podłożu u jego stóp leżał bez ruchu osiemnastoletni chłopak. Biedaczyna nie żył. Miał poderżnij te gardło i już się wykrwawił. Nie docierało do niego, że ma współpracować i robić, co mu się mówi. Obok niego siedziała nastoletnia dziewczyna. Opierała się plecami o murek przez co była niewidoczna dla osób w przejeżdżających samochodach.

Dziewczyna żyła. Jedną drobną rękę trzymała na kolanach, a druga zwisała bezwładnie nad jej głową przykuta kajdankami do bariery. Kropelki potu lśniły na jej górnej wardze, tuż nad taśmą izolacyjną oplecioną wokół ust i głowy.

David Hayneswiggles spojrzał na nią. Wytrzeszczała oczy i trzęsła się jak nałogowiec.

— Jak tam? Trzymasz się? — zapytał.

Zignorowała go lub nie usłyszała. Nie ma znaczenia, co dziewczyna myśli i jak się zachowuje, uznał. Znow patrzył na samochody na autostradzie, oceniał prędkość i odległość, czekał na właściwy moment. Trzecia opowieść to będzie coś niesamowitego.

Za każdym razem, gdy jakiś kretyn na niego trąbił, Hayneswiggles unosił palce obu dłoni w geście pokoju. „Nie jestem oszustem!” — wołał, jak najlepiej udając chrapliwy głos Ni-xona. Bardzo się z nim utożsamiał. To jeszcze jeden nieudacznik z pretensjami do świata.

Kiedy się już napatrzył i zapamiętał całą scenę na przyszłość, przykłąknął obok dziewczyny. Zaczęła się szarpać, odsunęła się może o trzydzieści centymetrów, czyli na ile pozwalały kajdanki przypięte do barierki.

— Oszczędzaj energię — powiedział. — Nic ci nie grozi, prawda? Póki jesteś przykuta do barierki. Zastanów się nad tym. Wszystko jest okej.

Wsunął ramiona pod ciało chłopca, po czym z wysiłkiem na wpół przykucnął. Chłopak nie mógł ważyć więcej niż sic

128

demdziesiąt kilogramów, ale wydawało się, że waży tonę. Nie ma co, śmierć nie jest lekka.

David Hayneswiggles napiął mięśnie nóg i w kucki obserwował drogę. Dostrzegł cel — z odległości mniej więcej pół kilometra nadjeżdżał minivan marki Toyota. Na autostradę nie miały wstępu ciężarówka, toteż nie mógł liczyć na nic większego niż hummer czy właśnie minivan. Furgonetka trzymała się swojego pasa ruchu, zapewne otoczona innymi samochodami.

Hayneswiggles przesunął się nieco w prawo, żeby znaleźć się możliwie jak najdokładniej nad pasem ruchu.

Kiedy van znajdował się w odległości stu metrów, mocniej chwycił ciało chłopaka.

Po pięćdziesięciu metrach wstał. Jednym gwałtownym ruchem całkowicie się wyprostował. Następnie przerzucił zwłoki przez barierkę i patrzył, jak spadają niczym ciężki worek. Uderzyły w maskę i przednią szybę furgonetki, rozległ się trzask szkła, a zaraz po nim pisk opon. O w mordę!

Van skręcił gwałtownie i z poślizgiem zniknął pod wąską kładką, by wyłonić się po drugiej stronie — po czym dachował. Stal jęknęła o beton, a z tyłu furgonetki rozległy się dwa kolejne uderzenia. Bujający w obłokach kierowcy nie zdążyli w porę zahamować.

Korek utworzył się niemal natychmiast.

Skierowany na północ pas ruchu wkrótce będzie skierowanym na Północ parkingiem. Również auta jadące w przeciwną stronę Zaczną się zatrzymywać, gdy ludzie zapragną zaspokoić ciekawość.

Wreszcie przyciągnął ich uwagę.

W końcu ktoś zauważał Davida Hayneswiggla'a.

Najwyższa pora, do cholery.

Rozdział 43

Teraz David Hayneswiggla zwrócił się do dziewczyny. Musiał mówić głośno, żeby usłyszała go pomimo warkotu samochodów, które wciąż poruszały się w kierunku południowym. Właściwie musiał wręcz krzyczeć.

— Gotowa?! Jesteś gotowa?! Ej, do ciebie mówię. Nie udawaj, że mnie tu nie ma!

Obcasy jej butów zaskrobały o beton, gdy próbowała odsunąć się jak najdalej od szaleńca, który zabił jej chłopaka. Kajdanki wrzynały się w nadgarstki, ale nie zważała na ból. Skupiała się tylko na tym, by uciec przed świrem w masce Richarda Nixona.

Była całkiem ładna, w typie cheerleaderki z przedmieścia. Nazywała się Lydia Ramirez, takie nazwisko widniało w jej prawie jazdy. Miała siedemnaście lat, ale on jej nie żałował-Nastolatki to najpodlejsze istoty.

— Dobra, teraz się nie ruszaj. Do twarzy ci z tą głupią miną-Zaraz do ciebie wrócę.

Hayneswiggla znowu wstał i spojrzał na scenę rozgrywającą się pod kładką. Widzowie już się zebrali i niecierpliwili się w oczekiwaniu na resztę przedstawienia. Na autostradzie pa" nowa! teraz całkowity chaos. Ruch na pasie w kierunku p'i nocnym został zatamowany.

130

Dzięki przewróconej furgonetce, która leżała na czele ko-lumny, prawie wszystkie auta stały z południowej strony kładki i pasażerowie patrzyli w jego stronę. Spod maski rozbitego tuż pod przejściem volvo z sykiem leciała para. Kilku gapiów krzyczało coś do niego, ale nie rozumiał, co oni wrzeszczą. Pewnie po prostu byli wkurzeni na niedogodności. Chrzanić ich.

Nie słyszę! — odkrzyknął.

Wtedy sobie przypomniał.

Podniósł coś z chodnika, jeden z przedmiotów, które przyniósł ze sobą na przedstawienie — dwudziestopięciowatowy megafon o zasięgu około kilometra.

Skierował go w stronę widowni. Kilku pacanów dosłownie zrobiło unik.

— Hej, hej, wróciłem! — ogłosił. — Tęskniliście za mną? Jasne, że tak.

Paru kierowców, którzy do tej pory pozostali w samochodach, teraz z nich wysiadło. Kobieta z zakrwawionym czołem spojrzała na niego zamglonymi oczami.

— Myśleliście, że to będzie dzień jak co dzień, prawda? A tu niespodzianka. Ten dzień jest wyjątkowy, nigdy go nie zapomnicie. Będziecie o nim opowiadać wnukom... oczywiście Pod warunkiem, że ten nasz pochrzaniony świat wytrzyma do te8° czasu. A propos, ilu z was głosowało na Ala Gore'a?

Położył megafon na ziemi i wyjął coś z kieszeni. Coś, co lśniło w słońcu. Następnie pochylił się nad dziewczyną, zastaniając ją przed widzami. Po chwili znów się wyprosto-Wa* z nastolatką w ramionach.

Oto ona! Oklaski dla naszej gwiazdki, Lydii Ramirez!

Następnie, uśmiechając się szeroko, od niechcienia przerzucił

Przez barierkę. Ot tak, jak gdyby nigdy nic.

dziewczyny znalazły się w powietrzu, a w ślad za nimi

e ciało. Zaraz potem rozległ się metaliczny brzęk — to

131

kajdanki obróciły się na barierce i napięły. Widownia krzyknąć z wrażenia.

Dziewczyna uderzyła o most. Jej stopy dyndały wprost nad szosą.

— Oszustka! — krzyknął David Hayneswiggles przez megafon. — Teraz patrzcie uważnie. Na nią nie na mnie. Przecież mówiłem, że to ona jest dziś gwiazdą. Udawajcie, że mnie tu w ogóle nie ma. Tak to powinno działać. Patrzcie na nią!

Na oczach widzów w poprzek odsloniętego gardła pojawiła się ciemna, zakrzywiona pręga. Po chwili zmieniła się w czerwoną taflę, która spłynęła po jej szyi i T-shircie. Ludzie na dole wreszcie zaczęli rozumieć, co się stało — poderżnięto jej gardło.

W końcu przestała się ruszać. Jej ciało nieznacznie rytmicznie się kołysało.

— Dobra, już po niej. Koniec przedstawienia. Przynajmniej na dziś. Dziękuję wam wszystkim za przybycie. Bardzo wam dziękuję. Jedźcie ostrożnie.

Ludzie zaczęli trąbić, niektórzy wykrzykiwali coś gniewnie. W końcu z daleka dobiegł dźwięk syreny policyjnej, ale radiowóz nie mógł się przebić przez korek.

David Hayneswiggles rzucił się biegiem, dziwnie człapiąc jak kaczką. Na końcu rampy zrobił zwrot na zakręcie i zniknął w krzakach.

Wiedział, że nie ma znaczenia, ile osób widziało, dokąd pobiegł. Niech go sobie szukają, ile chcą.

Zresztą kogo będą szukać? Richarda Nixona?

Rozdział 4

Przez wszystkie lata pracy w policji i FBI nie widziałem smutniejszego i bardziej niepokojącego miejsca zbrodni. Nie żyło dwoje młodych ludzi, a ich zabójstwo wydawało się przypadkowe i najzwyczajniej okrutne. O cokolwiek tu chodziło, ci młodzi na pewno byli niewinni.

Ruch z autostrady przekierowano na inne drogi, ale na pasach zdążył się zrobić korek długości co najmniej półtora kilometra. Wszyscy czekali, aż policja usunie z drogi przewróconego minivana. To wymagało zgody Bree, ponieważ najpierw lekarz sądowy musiał skończyć badanie zwłok. Bree zdążyła ustalić jurysdykcję waszyngtońskiej policji, co spotkało się z dużą niechęcią przedstawicieli komendy hrabstwa Arlington, ale jej zupełnie to nie przeszkadzało.

W górze co kilka minut przelatywały śmigłowce, zarówno policyjne, jak i telewizyjne. Te drugie za każdym razem zbyt szybko się zbliżały. Podglądacze z pozwoleniem na filetowanie.

Część ludzi, w sporej liczbie świadkowie obu morderstw, była wściekła i agresywna, inni zaś — śmiertelnie wystraszeni. To przypadkowa publiczność. Musieliśmy zidentyfikować kilka osób jako świadków, po czym ponownie udrozić autostradę.

133

Przypomniał mi się tytuł starego przedstawienia z Broadwayu Zatrzymajcie świat — chcę wysiąść. Ja też chciałem.

Przedstawiciele wydziału autostrad stanu Wirginia stawili się licznie, podobnie jak policjanci stanowi. Nawet jeśli nic nie mówili, ich mowa ciała zdradzała niecierpliwość i gniew Bree, Sampson i ja podzieliłiśmy się zadaniami. Bree udała się na miejsce zbrodni, żeby sprawdzić fizyczne dowody. Sampson badał, skąd nadszedł zabójca i dokąd uciekł, a obszar miał niemały — od Potomacu aż do Rosslyn w Wirginii. Na miejscu towarzyszył mu zespół policjantów z Arlington.

Ja skupiłem się na samym zabójcy i jego sposobie myślenia w momencie popełniania obu morderstw. W tym celu niezwłocznie potrzebowałem jak najlepszych świadków. W miejscu zbrodni tak rozległym jak to nie mogłem mieć pewności, czy samochody za chwilę nie ruszą. Tymczasem jednak zabójca zatrzymał świat i nikt nie mógł wysiąść, chyba że on na to pozwoli.

Rozdział 4

Szybko przyjrzałem się autom stojącym najbliżej kładki. Szukałem samotnych białych mężczyzn. W tego typu nagłych sytuacjach mocno wierzę w uznane metody określania profilu psychologicznego przestępcy. Im więcej cech wspólnych pomiędzy nim a świadkiem, tym wiarygodniejsze zeznanie można otrzymać — przynajmniej statystycznie. Ja również przy wielu zabójstwach przekonywałem się o prawdziwości tego mechanizmu. Dlatego szukałem białych mężczyzn, najlepiej takich, którzy jechali samotnie.

Wybrałem czarną hondę accord stojącą pięć długości samochodu od kładki. Kierowca, z telefonem przy uchu, siedział bokiem, by nie patrzeć przed siebie. Silnik pracował, a okna były zamknięte.

Mocno zastukałem w szybę.

Przepraszam, policja stołeczna. Proszę pana? Przepraszam!

Wreszcie uniósł palec wskazujący, w ogóle na mnie nie Pęc. Minutkę?!

W tym momencie sam otworzyłem drzwi i pokazałem odznakę.

Chcę z panem rozmawiać. Teraz. Proszę się rozłączyć.

" Muszę kończyć — powiedział do swojego rozmówcy, P° czym wysiadł z auta. Widziałem, że buzuje w nim ener-

135

gia. — Panie władzo, czy pan albo ktokolwiek inny może mi powiedzieć, jak długo jeszcze będziemy tu tkwić?

— Niedługo — odparłem, rezygnując z kazania na temat dwojga nastolatków, którzy właśnie stracili życie. — Ale musi mi pan szczegółowo opowiedzieć, co się stało na kładce.

Mówił szybko, z irytującą nonszalancją, ale jego wersja zgadzała się z naszymi dotychczasowymi ustaleniami. Kierowca hondy zahamował kilka sekund po tym, jak ciało chłopaka spadło na samochody.

— Najpierw nie rozumiałem, o co chodzi. Widziałem tylko, że nagle samochody przede mną stają. Ale potem zobaczyłem martwego chłopaka. — Wskazał na mostek. — No i tę dziewczynę na górze. Z poderżniętym gardłem. Posrana sprawa. Tragedia, prawda? — Zapytał zupełnie tak, jakby sam nie potrafił tego ocenić.

— Prawda. Czy może pan opisać mężczyznę na kładce? Mordercę?

— Nie za bardzo. Miał na głowie gumową maskę. Wie pan, taką na całą głowę. To chyba miał być Richard Nixon. Raczej tak. Czy to się jakoś trzyma kupy?

— Owszem. Dziękuję za pomoc — odparłem. — Za chwilę przyjdzie do pana drugi funkcjonariusz, żeby spisać kilka szczegółowych informacji.

Następnym świadkiem, z którym porozmawiałem, był kierowca limuzyny. Według jego słów zabójca był wyższy i znacznie masywniej szy od dziewczyny. Nosił ciemną wiatrówkę bez żadnych widocznych znaków. Potem kierowca przypomniał sobie coś, co morderca mówił przez megafon.

— Sukinsyn krzyknął: „Wróciłem!”. To były jego pierwsze słowa.

— Czy zauważył pan kamerę albo inne urządzenie nagrywające? — spytałem.

Mężczyzna pokręcił głową.

136

Niestety. Naprawdę nie wiem. W każdym razie nic nie widziałem. Było spore zamieszanie.

Wciąż jest — dodałem i poklepałem faceta po ramie-

nju — ■ Pamięta pan coś jeszcze?

Kierowca znów pokręcił głową.

Przykro mi.

Zanim wznowiono ruch na autostradzie, zdążyłem porozmawiać jeszcze z czterema świadkami. Reszta zeznań musiała poczekać. W ciągu krytycznych pierwszych godzin zdobyłem tyle informacji, że więcej już się nie dało. Miałem nadzieję, że na coś się przydadzą choć nie liczyłem na to. Jak na kogoś, kto organizuje publiczne przedstawienia, zabójca całkiem nieźle zacierał ślady.

Kilka minut później Bree, Sampson i ja spotkaliśmy się na zachodnim krańcu kładki dla pieszych. Jeśli wierzyć kilku świadkom, właśnie tędy uciekł morderca.

— Tamte krzaki są całe podeptane — powiedział Sampson, wskazując w stronę wysokiej trawy niewidocznej z drogi. — Równie dobrze mógł tam mieć schowany motocykl. Na razie nie mamy nic więcej.

Bree przytaknęła.

— Na marginesie, nie zostawił wizytówki.

— Trochę dziwne — powiedziałem. — Czyżby zapominał o swoim znaku charakterystycznym? Od kiedy?

Albo zmienił schemat — wtrącił Sampson. — Znowu: o d kiedy?

Albo — w końcu musiałem powiedzieć to, co od jakiegoś czasu nie dawało mi spokoju — to ktoś inny.

Wtedy zadzwonił telefon Bree. Odebrała i wysłuchała wiadomości z niesamowicie ponurą twarzą.

W końcu spojrzała na nas.

Znowu zaatakował. Popelniono kolejne morderstwo.

Rozdział 4

Tym razem trafi ich jak grom z jasnego nieba. Zabójca dotarł na stadion FedExField w Landover w stanie Maryland około dwóch godzin przed rozpoczęciem pierwszego meczu sezonu futbolowego. Kupił colę i

hot doga, a potem zajął do sklepiku z pamiątkami. Co prawda nie miał zamiaru nic kupować — nie był fanem Redskinsów, to nie jego miasto — ale chciał się zmieszać z resztą kibiców.

Przynajmniej na razie.

A potem chciał się wyróżnić. I to zdecydowanie. Wszystkim się pokazać. Odegrać swoją rolę w czwartej opowieści.

Kątem oka widział rozgrzewających się futbolistów — kopacze wysoko i daleko wybijali piłki oraz trenowali strzały do bramki. Stadion znowu będzie pełen — jak na każdym rozgrywanym u siebie meczu Redskinsów. Na bilety czekało się całe wieki.

O rany, jak on uwielbiał mieć na swoich przedstawieniach komplet widowni.

Kilku szczególnie zaangażowanych fanów, the Hogettes, śpiewało pieśń bojową waszyngtońskiej drużyny wzbogacając o nieprzyzwoite słowa, co było o tyle dziwne, że na trybunach znajdowało się dużo dzieci. Ci tak zwani superkibice mieli na

138

sobie barwne peruki, bluzki w grochy oraz świńskie ryje z plastiku. Niektórzy palili bardzo długie cygara, co pasowało do image'u wieprzy.

Zabójca nie posunął się równie daleko, natomiast włożył czapkę i bluzę Redskinsów oraz pomalował twarz na czerwono i biało, czyli w barwy drużyny. Dzisiaj odgrywał niezadowolonego kibica, Ala Jabłońskiego. Dobra, porządna rola.

Stadion wypełniało dziewięćdziesiąt jeden tysięcy widzów i wszyscy czekali na Ala Jabłońskiego. Tylko jeszcze o tym nie wiedzieli.

Niedługo przed rozpoczęciem meczu na jaskrawozieloną murawę wybiegły cheerleaderki. Fruwały włosy i pompony, błyskała czerwień skąpych bluzek wiązanych na szyi i biel króciutkich spodenek. Kwintesencja amerykańskiej rodzinnej rozrywki, myślał zabójca.

— Gotowi na trochę fut-bolu?! — krzyknął z trybun. — Fut-bolu?!

Kilku kibiców dołączyło się, a inni wybuchli śmiechem, słysząc znajomą kwestię z programu telewizyjnego „Monday Night Football”. Al Jabłoński znał swą publiczność i znał tę grę.

Pokój kontrolny stadionowej tablicy wyników znajdował się dokładnie pod nią. Mężczyzna znał drogę i dotarł tam wtedy, gdy żołnierka piechoty morskiej z bazy w Quantico śpiewała sopranem hymn państwowy.

Al Jabłoński zapukał w metalowe drzwi i powiedział: Mam parę wiadomości z biura pana Snydera. Vanessa je przysłała.

Vanessa to imię jednej z asystentek właściciela drużyny. Łatwo sprawdzić.

Drzwi się otworzyły. W środku siedziało dwóch gości — StarVch przyków, na oko maniaków sportowych statystyk.

Cześć, nazywam się Al Jabłoński.

139

Zastrzelił ich obu, a wystrzały całkiem utonęły we wrzawie po zakończeniu hymnu. Trochę mu to zepsuło efekt.

Usiadł zatem przy komputerze i wyświetlił na wielkim ekranie wiadomość do wszystkich na stadionie.

WRÓCIŁEM! I BARDZO CHCĘ, ŻEBY WSZYSCY MIELI ZABÓJCZĄ NIEDZIELĘ.

GOŚCIE, KTÓRZY ZWYKLE WYŚWIETLAJĄ TE WKURZAJĄCE KOMUNIKATY I REKLAMY, LEŻĄ MARTWI W POKOJU KONTROLNYM. ZATEM CIESZCIE SIĘ MECZEM NIEPRZERYWANYM PRZEZ KIEROWNICTWO ANI SPONSORÓW. PATRZCIE ZA SIEBIE I PRZED SIEBIE TEŻ, BO JESTEM NA STADIONIE. MOGĘ BYĆ WSZĘDZIE I MOGĘ BYĆ KAŻDYM. TO DUŻO LEPSZE NIŻ FUTBOL, NIE SĄDZICIE?

Rozdział 4

Kyle Craig właśnie poznał najnowsze dobre wieści z Waszyngtonu, gdy jego matka powoli otworzyła wysokie na trzy i pół metra drzwi frontowe letniego domu w okolicach Snow-rtass w pobliżu Aspen. Gdy starsza kobieta zobaczyła, kto stoi na progu, zemdląła, zupełnie jakby ktoś wcisnął wyłącznik.

Kyle złapał kochaną mamusię, zanim uderzyła o kamienną posadzkę, i uśmiechnął się pod nosem. Dobrze znów być w domu, prawda?

Kilka chwil później cucił kobietę w olbrzymiej kuchni domu o powierzchni ponad tysiąca metrów kwadratowych.

— Dobrze się czujesz? Miriam? Mamo?

— William? — jęknęła, patrząc na pochylającą się nad nią arsz. — Czy to William?

— Ależ jakim cudem? — spytał Kyle i mocno zmarszczył czoło. — Choć jeden, jedyny raz użyj inteligencji, którą przecież musiałaś otrzymać przy urodzeniu. Generał William, twój mąż, a mój ojciec, od dawna nie żyje. Pomogłem ci go pochować W Alexandrii. Nie pamiętasz tego wspaniałego dnia? Słońce "a niebie, świeży, rześki wiaterek, w powietrzu woń palonych

Sci- Dobry Boże, co się z tobą dzieje, kobieto? Ludzie przysłali kwiatów, by ci pogratulować, że uwolniłaś się od tego

141

zakłamanego tyrana i sukinsyna. — Nagle Kyle złapał się obiema dłońmi za twarz. — O Boże, to moja wina! To wszystko moja wina, mamó. Masko! One są takie cholernie realistyczne. Wyglądam w niej dokładnie tak jak ojciec, prawda? Wreszcie spełniam wyobrażenia staruszka na mój temat.

Matka zaczęła krzyczeć i przez jakiś czas jej w tym nie przeszkadzał. I tak nikt nie usłyszy jej wrzasków. Ojciec Kyle'a za życia nie pozwalał na zatrudnienie pomocy domowej i kobieta wciąż nikogo nie przyjęła. Jakież to typowe! Pieniądzy miała jak lodu, ale nie było ich na co wydawać.

Patrzył, jak żalosna staruszka kręci głową na boki. Jak na ironię jej twarz bardziej niż jego przypominała maskę — maskę rodzinnej tragedii.

— Nie, to tylko ja, Kyle. Znow jestem wolny jak ptak. Oczywiście chciałem cię odwiedzić, mamó, chociaż jest też inny powód wizyty: potrzebuję trochę pieniędzy. Za parę minut sobie pójdę, ale musisz mi podać numery zagranicznych kont.

Kiedy skończył pracę przy komputerze w dawnym gabinecie ojca, poczuł się jak nowo narodzony. Był teraz bogaty, na jego konto w Zurychu trafiły niemal cztery miliony dolarów, ale co ważniejsze, wreszcie czuł się wolny. W tym celu nie wystarczyło wyjść z więzienia. Niektórzy więźniowie nigdy nie odzyskują poczucia wolności, nawet jeśli znow mogą oglądać słońce.

— Ale jestem wolny, nareszcie wolny! — wykrzyknął, zadzierając głowę w stronę wysokiego stropu.
— I mam do zrobienia ważne rzeczy. Muszę dotrzymać tylu obietnic.

Rozdział 4

Kiedy wrócił na dół, żeby pożegnać się z matką, wreszcie zdjął silikonową maskę. Miał ją na sobie przez prawie całą drogę z Florence do Aspen, ale nie należało dłużej ryzykować. To samo dotyczyło się pobytu w domu, chociaż niewiele osób wiedziało, że mieszka tu jego matka, no ale on potrzebował pieniędzy. Były niezbędne do realizacji planu, do urzeczywistnienia wszystkich koszmarów.

Zakradł się do Miriam, którą przywiązał za ręce i nogi do starego rozkładanego fotela ojca w pokoju rodzinnym. Tuż przed wysokim na trzy i pół metra kominkiem. Boże, ileż wspomnień wiązało się z tym miejscem — ojciec generał wrzeszczał na niego, aż mało nie pękły mu żyły, i bił tyle razy, że tracił rachubę. A Miriam nie odzywała się ani słowem, udawała, że nic nie wie o biciu, o wyzwiskach, o długich latach n)euustannego maltretowania.

Mamusiu, a kuku! — zawołał Kyle, wyskakując zza staruszki.

Ciekawe, czy pamiętała, jak robił to w dzieciństwie, kiedy m'ał najwyżej pięć czy sześć lat. Mamusiu, a kuku! Proszę, róć na mnie uwagę.

No, w Kolorado załatwiłem już prawie wszystkie sprawy.

Wiesz, jestem poszukiwany, więc lepiej, jak się stąd zwinę Ojejku, drżysz jak listek. Posłuchaj, skarbie, tu w domu, w tej swojej fortecy, jesteś zupełnie bezpieczna. Wszędzie zamontowane alarmy. Na chodniku i podjeździe masz nawet system topienia śniegu.—Nachylił się do niej; poczuł lawendę i było to jak przypomnienie koszmaru z przeszłości. Tego, co w jego życiu potoczyło się bardzo, bardzo źle.—Na litość boską, przecież nie chcę cię zabić. Tego się boisz? Nie, nie, nie! Chcę, żebyś od tej pory obserwowała, co robię. Jesteś dla mnie ważnym świadkiem. Moim dziełem chcę uhonorować ciebie i tatę. A propos, powiedz mi coś: wiedziałaś, że kiedy byłem mały, prawie codziennie mnie bił? Wiedziałaś? Tylko tyle mi powiedz. To pozostanie między nami. Oprah Winfrey się nie dowie. Ja nie będę pisał pamiętników. Żaden ze mnie James Frey ani Augusten Burroughs.

Jego matka potrzebowała prawie minuty, żeby wykrztusić z siebie kilka słów:

— Kyle... Ja nie, ja nie wiedziałam. O czym ty w ogóle mówisz? Zawsze zmyślałeś.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Ach, od razu mi ulżyło. — Następnie wyciągnął beretę, jeden z pistoletów, które Mason Wainwright zostawił mu w samochodzie. — Zmieniłem zdanie. Przykro mi, mamó. Tak długo chciałem to zrobić. Tak bardzo tego pragnąłem. Teraz patrz. Patrz w małą, czarną dziurkę na końcu lufy. Widzisz? Małutka wieczna otchłań. Patrz w dziurkę, patrz w dziurkę, patrz w otchłań i...

Strzelił matce między oczy. Na wszelki wypadek strzelił jeszcze parę razy. Następnie zostawił kilka tropów dla śledczych, którzy musieli się tu pojawić wcześniej czy później.

Trop nr 1: napoczęta butelka sosu barbecue Arthur Bryants w kuchni.

Trop nr 2: na toaletce w sypialni kartka Hallmarku bez odręcznej wiadomości.

144

Niełatwe do namierzenia, ale jednak tropy. Łowcy będą mieli na czym się oprzeć.

Jeśli są dobrzy.

W każdym razie jeśli jednym z nich będzie Alex Cross.

— Złap mnie, jeśli potrafisz Doktorze Detektywie. Rozwiąż te wszystkie łamigłówki, a morderstwa ustaną. Chociaż wątpię. Mogę się mylić, ale nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł mnie złapać dwa razy.

Rozdział 4

Kiedy w poniedziałek rano Bree Stone przysłała do pracy, telefon na jej biurku już dzwonił. Odstawiła pustą puszkę po slim-faście — po drodze do biura zdążyła opróżnić dwie — i podniosła słuchawkę. Rozmyślała o Aleksie, ale teraz te przyjemne myśli przysły.

— Cześć, Bree, tu Brian Kitzmiller. Słuchaj, chcę ci pokazać coś fajnego.

— „Coś fajnego”? A cóż to takiego, Kitz? Nowa gra na Wii? Niezły z ciebie numer, wiesz o tym? — Z powrotem zarzuciła torbę na ramię. — Mogę być u ciebie za parę minut.

— Nie trzeba. Nie ruszaj się z miejsca. Jesteś może w pobliżu komputera?

— Oczywiście. Kto w dzisiejszych czasach nie jest?

Gdy tylko weszła do Internetu, Kitz skierował ją na serwis

SerialTimes.net. Bree przewróciła oczami. Strona główna okazała się gęstym i niedbałym zbiorem miniaturek fotografii, „nieoficjalnych” wpisów i prawdziwych wiadomości z serwisów informacyjnych. Naprawdę chore, obrzydliwe rzeczy. Mogły się równać z najgorszymi, jakie w życiu widziała.

Najbardziej rzucała się w oczy czerwona ramka z nagłówkiem:

146

Tylko u nas! Nie przegapcie! Wiadomość od ZDW! Kliknij tutaj.

Mam uwierzyć, że to autentyk? — spytała Bree, po czym dodała: — Ale to jest autentyk, prawda?

— Kliknij. Sama się przekonasz.

Następna strona składała się z czarnego tła oraz krótkiej wiadomości białym drukiem. Użyto tego samego kroju, wzorowanego na czcionkach maszyny do pisania, co na blogu mordercy — który podobnie jak sto innych wątków zawiódł Bree donikąd.

Jednakże to nie znajomy wygląd strony potwierdził jej autentyczność, ale dwa obrazki u góry ekranu: mała flaga Iraku oraz jasnozielona litera X, logo serialu Z archiwum X — symbole dwóch pierwszych morderstw. To jakby komunikat: „Zgadza się, to ja”.

— Opinia publiczna nadal nie wie o tych dwóch szczegółach, prawda? — spytał Kitzmiller.

Bree pokręciła głową, zupełnie jakby ją widział, po czym wymamrotała:

— Rzeczywiście nie. Zachowaliśmy je dla siebie.

Już zaczęła czytać umieszczony poniżej komunikat. Coś wstrząsającego.

„Naśladownictwo jest najszczerzym komplementem” — Charles Caleb Colton

Chcę wyjaśnić parę rzeczy wszystkim, których to interesuje albo powinno interesować. Ta główniana robota na George Washington Memoriał Parkway to nie moje dzieło. To ktoś "iny. Przyjmuję komplement, ale nie próbujcie przypinać mi toj łatki, bo się nie zgadzam. „Nixon” po prostu skopiował to,

147

co zrobiłem w Riverwalk! Nawet nie miał odwagi pokazać twarzy. Poza tym to robota amatora. Niegodna mnie ani tych, na których się wzoruję.

Natomiast FedExField to już dzieło niżej podpisanego. Trzeba mieć jaja, żeby tam wejść, a potem się jeszcze wydostać. Wyobraźcie sobie: dokonać zabójstwa na takim zamkniętym, publicznym obiekcie.

Niech będzie jasność. Jest tylko jeden ZDW. Kiedy kogoś zabiję, będziecie wiedzieć, że to ja. Sam wam o tym powiem.

Będę działał z polotem i wyobraźnią. Proszę o odrobinę szacunku. Na tyle sobie chyba zasłużyłem.

Przynajmniej teraz policja ma kogoś, kogo da radę złapać— tego naśladowcę! Prawda, pani detektyw Bree Stone? Bo w mojej sprawie nie zrobiliście nawet najmniejszych postępów, zgadza się? Żyćcie dalej, skurwiele.

ZDW

Przez następne sekundy Bree stała nieruchomo, kręcąc głową. Alex miał rację co do morderstw na autostradzie... i pewnie co do całej reszty.

Rozdział

Poza tym ZDW wymienił jej nazwisko.

Bree wreszcie usiadła i spróbowała przyswoić tę informację. Nie mieściło jej się w głowie, jaki to bezczelny kutas, a na »lodatek równo popieprzony. I przerażający.

— Bree? Jesteś tam? — dopytywał się przez telefon Brian Kitzmiller.

— Tak, jestem. Miałam chwilę depresji gliniarza. Rzeczywiście coś fajnego.

— Wszystko w porządku? Nie licząc oczywistego.

Spojrzała na dłonie, które lekko drżały.

— W porządku, Kitz. Dzięki, że pytasz. Okropne, ale ma sens. On pewnie jest całkowicie uzależniony od relacji na swój temat. Jasne, że o mnie słyszał. I o Aleksie też. Obserwuje nas.

"— W pewnym sensie to dobra wiadomość, prawda? Chcieliśmy mieć pewność, że korzystamy z tego samego strumienia komunikacji co zabójca. Chyba trafiliśmy.

Co ty powiesz? — W głowie Bree kłębiły się dziesiątki Pytań. — Kiedy to opublikowano?

Wczoraj wieczorem o jedenastej dwadzieścia. Teraz ta sPrawa rozpala czaty. Mówi się o tym dosłownie wszędzie.

To by wyjaśniało te telefony. — Bree podniosła plik

różowych karteczek, które zdążyły wylądować na jej biurku. Ta na wierzchu dotyczyła rozmowy z ekipą wiadomości Kanału 7. — Słuchaj, potrzebuję jakiegoś nazwiska. Czegoś konkretnego. Do kogo należy ta strona?

- Wciąż nad tym pracuję. Mam adres IP i sprawdzam ważniejsze rejestry. Przy odrobinie szczęścia niedługo podam ci to nazwisko. Hasło kluczowe: „przy odrobinie szczęścia”.
- Rozumiem. Może być niedługo. Dzięki, Kitz. Twoja pomoc jest naprawdę nieoceniona.
- Zgadzam się. Zastanawiam się, na kim on się „wzoruje”. Masz jakieś przypuszczenia?
- Nie, ale na pewno Alex na coś wpadnie.

Bree zakończyła rozmowę, po czym spróbowała dodzwonić się do Crossa i Sampsona. Za każdym razem połączyła się z pocztą głosową i zostawiła taką samą wiadomość:

- Cześć, to ja. Jest coś nowego. Kolejna wiadomość w Internecie od naszego Zabójcy Dla Widowni, który teraz podpisuje się w skrócie ZDW. Ruszam, jak tylko dostanę adres. Mam nadzieję, że do tej pory któryś z was to odsłucha, ale tymczasem organizuję zespół wsparcia. Zadzwoń jak najszybciej.

Wolałaby pracować z partnerami niż z paroma mundurowymi, ale w chwili gdy padnie nazwisko i adres, ruszy do akcji.

ZDW chciał ją lepiej poznać — no cóż, może wkrótce będzie miał okazję.

Rozdział

Zobaczyłem błyskające światło w mojej komórce, ale podczas sesji terapeutycznych nie odbierałem telefonów. Dlatego tymczasowo je zignorowałem, a potem zacząłem się martwić.

- Kim była ta kobieta, którą minąłem po drodze? — spytał Anthony Demao. Żeby dostosować się do nowego stylu życia, musiałem trochę poprzestawiać plany pacjentów. — Kolejna świruska taka jak ja?

Zareagowałem uśmiechem na typową obcesowość Antho-ny'ego.

- Żadne z was nie jest świrusem. No, może troszeczkę.
- Może i jest „troszeczkę” szalona, ale za to ładna. Uśmiechnęła się do mnie. W każdym razie to chyba był uśmiech. Jest nieśmiała, prawda? To widać.

Mówił o Sandy Quinlan, tej nauczycielce. Sandy była atrakcyjna, miła, może trochę świrnięta, ale kto w dzisiejszych czasach nie jest?

Zmieniłem temat. Anthony na pewno nie przyszedł tutaj po to by rozmawiać o moich pozostałych pacjentach.

— Ostatnio zacząłeś mi opowiadać o tym, jak twoja jed-n°stka ruszyła na Basrę — powiedziałem. — Porozmawiamy o tym dzisiaj?

151

— Jasne. — Wzruszył ramionami. — Po to tu jestem prawda? Pan naprawia świrusów.

Kiedy Anthony Demao opuścił mój gabinet, sprawdziłem pocztę głosową. To Bree. Oddzwoniłem na jej komórkę.

— W samą porę — powiedziała. — Właśnie jadę z Samp-sonem. Wpadniemy po ciebie. Nie zgadniesz: wygląda na to, że znowu miałaś rację. To musi być nudne.

— Na jaki temat?

— Naśladowcy na G.W. Parkway. W każdym razie tak twierdzi ZDW. Napisał, że na FedExField to był on, ale tam na kładce nie.

— No cóż, on powinien to wiedzieć najlepiej.

Spotkałem się z Bree i Sampsonem na Siódmej Ulicy i wsiałem na tylne siedzenie jej toyoty highlander.

— Dokąd jedziemy? — spytałem, gdy ruszyła z kopyta.

W trakcie jazdy wszystko wyjaśniła, ale musiałem jej przerwać w połowie.

— Zaraz. Użył twojego nazwiska? O tobie też wie? Co w tej sprawie zrobimy?

— Na razie nic — odparła. — Ale czuję się wyjątkowa. A ty? Też się czujesz wyróżniony?

Sampson wzruszeniem ramion dał mi znak, że zdążył odbyć z nią tę samą rozmowę, najwyraźniej z jednakowym rezultatem. Bree nie okazywała strachu, a przynajmniej ja nigdy tego nie zauważyłem.

— Na marginesie — powiedziała — zabójca twierdzi, że wzoruje się na innych. Masz pomysł, o kogo może chodzić?

— O Kyle'a Craiga — odparłem odruchowo. — Zastanowię się nad tym.

Kitzmiller podał Bree nazwisko Bradena Thompsona, analityka z firmy Captech Engineering. Zaparkowaliśmy na drugiego przed nieciekawym, nowoczesnym budynkiem Captechu, po czym windą pojechaliśmy na czwarte piętro.

152

Chcemy porozmawiać z Bradenem Thompsonem — powiedziała Bree do recepcjonistki, pokazując odznakę i legitymację policyjną.

Kobieta podniosła słuchawkę, nie spuszczając wzroku z dokumentów Bree.

— Sprawdź, czy jest wolny.

.— Nie, nie. Jest wolny, niech mi pani wierzy. Proszę tylko wskazać drogę. Znajdziemy go. W końcu jesteśmy detektywami.

Szliśmy przez tętniące życiem biuro cicho i spokojnie, ale i tak stanowiliśmy atrakcję. Patrzący za nami sekretarki, otwierały się drzwi, a pracownicy oglądali nas, jakbyśmy przyszli z dostawą jedzenia.

Biała plastikowa tabliczka z nazwiskiem Thompsona wisiała na jego oszklonym gabinecie w północnym krańcu budynku. Bree otworzyła drzwi bez pukania.

— Mogę państwu w czymś pomóc?

Braden Thompson wyglądał dokładnie tak, jak można się było spodziewać po kimś, kto tutaj pracuje. Był białym czter-dziesiętoparolatkiem z brzuszkiem, ubranym w koszulę z krótkim rękawem i krawat, być może przypinany.

— Chcielibyśmy z panem porozmawiać — powiedziała Bree. — Jesteśmy ze stołecznej policji.

Spojrzał na mnie i Sampsona, stojących za jej plecami.

— Wszyscy?

— Zgadza się. — Twarz Bree była nieprzenikniona. Szczerze mówiąc, żadne z nas nie chciało przegapić tej rozmowy. — Jest Pan bardzo ważnym człowiekiem.

Rozdział

— Brady, wszystko w porządku? — za nami rozległ się wysoki żeński głos.

— Tak. Dziękuję, Barbaro, nie potrzebuję pomocy. — Pokazał nam, żebyśmy weszli do środka. — Proszę zamknąć drzwi. — Gdy tylko zostaliśmy z nim sam na sam, natychmiast podniósł głos: — Co wy sobie wyobrażacie? Tu jest moje miejsce pracy.

— Wie pan, dlaczego tu jesteśmy? — spytała Bree.

— Wiem doskonale. Dlatego że wykorzystałem mój przywilej zawarty w pierwszej poprawce do konstytucji. Nie złamałem prawa i chciałbym, żebyście sobie poszli. Natychmiast. Pamiętacie, jak trafić do drzwi?

Sampson zrobił krok naprzód.

— Brady, zgadza się? — Spojrzał na zawartość biurka Thompsona. — Zastanawiam się, jak szefowie zareagują na wiadomość o twojej popapranej stronie. Myślisz, że im się spodoba?

Thompson wycelował w niego palec wskazujący.

— Nie zrobiłem nic złego. Postępuję zgodnie z prawem.

— Jasne — odparł Sampson. — Ale ja nie o to pytałem-Zastanawiałem się tylko, co twój pracodawca pomyślałby o Se-rialTimes.net.

154

Nie macie prawa wykorzystać tej informacji, jeśli nie popełniłem przestępstwa.

Tak się składa, że mamy — wtrąciłem. — Ale liczymy, że to nie będzie konieczne, bo powie nam pan, skąd przyszła ta wiadomość.

.— Po pierwsze, nie mógłbym powiedzieć, nawet gdybym chciał. ZDW nie jest idiotą. Jeszcze do tego sami nie doszliście? A po drugie, nie mam piętnastu lat. Będziecie się musieli bardziej postarać.

— Na przykład zdobyć nakaz zarekwirowania pana domowego komputera? — spytała Bree. — Możemy to zrobić.

Thompson poprawił okulary i wyprostował się w fotelu. Sytuacja zaczynała mu się podobać. Rozumiałem dlaczego. Wcale nie miałem pewności, czy dostalibyśmy ten nakaz, nie wspominając już o nakazie aresztowania.

— W zasadzie to nie. Zakładając, że byliście niecierpliwi i nie macie go ze sobą mogą zadbać o to, żebyście nie znaleźli na moim komputerze niczego poza Fistaszkami. I nie muszę się nawet stąd ruszać.

— Podniósł wzrok i spojrzał na nas z całkowitym spokojem. — Najwyraźniej niewiele wiecie o transferze danych.

— Czy pan ma pojęcie, co się dzieje w prawdziwym świecie? — odezwałem się w końcu. — Czy w ogóle interesuje pana powstrzymanie kogoś takiego jak ten morderca?

— Oczywiście — odwarknął. — Proszę nie obrażać mojej inteligencji i chwilę się zastanowić. Wiecie, jaka jest szersza Perspektywa? Konstytucyjne prawa, i wasze, i moje, opierają S1ę właśnie na takich rzeczach. Mam prawo do wszystkiego, co zrobiłem, i to nie tylko moralne. Waszym zadaniem, policjantów, jest ochrona konstytucji, a naszym, jako obywateli, Jest pilnowanie, żebyście się z niego wywiązali. Rozumiecie, •jak to działa?

A rozumiesz, jak działa to?

155

Sampson rzucił się na Thompsona, ale zdążyliśmy go przy. trzymać. Wszystko po jednej stronie biurka pofrunęło w p0 wietrze.

Brady wstał. Przyjął piorunujące spojrzenie Sampsona z pewną bezczelnością.

— Chyba skończyliśmy rozmowę — powiedział.

Ale Sampson nie skończył.

— Wiesz, co...

— Tak, Brady — przerwała z naciskiem Bree. — Skończyliśmy. Przynajmniej na razie. Wychodzimy.

Kiedy zwróciliśmy się do drzwi, Thompson znów się odezwał, tym razem w bardziej pojednawczym tonie.

— Z pewnością uważacie, że ta wiadomość na mojej stronie jest prawdziwa, inaczej by tu was nie było. Powiedzcie mi tylko, czy to ma jakiś związek z ikonografią?

Ten facet był prawdziwym fanem, autentycznym świrem na tym punkcie. Nie mógł się powstrzymać.

Bree również nie mogła. Stała w półotwartych drzwiach i odwróciła się do Bradena Thompsona. Za plecami miała tłumek pracowników biura.

— Wybacz pan, ale nie mogę tego skomentować. Przynajmniej tymczasowo. Ale pragnę zapewnić, że nikomu poza tym biurem nie wspomnimy o pańskiej stronie internetowej, SerialTimes.net, chyba że będzie to absolutnie konieczne. — Uśmiechnęła się do Thompsona i zniżyła głos. — Żyj dalej, skurwielu.

Rozdział 3

Wkurzeni na cały świat, a w szczególności na Bradena Thompsona, pojawiliśmy się znów w Dały Building. Nie zaszliśmy daleko, kiedy drogę przeciął nam nadinspektor Davies.

— Tutaj — warknął, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem do gabinetu. — Wszyscy troje, natychmiast.

Spojrzeliliśmy po sobie. Nie podobał nam się ten ton.

— Dlaczego mam wrażenie, że będę musiał zostać po lekcjach i nie pójdę na trening futbolu? — mruknął Sampson.

— Aha — przytaknęła Bree. — A ja na ćwiczenia cheer-leaderek. Zaraz, ja przecież nigdy nie byłam cheerleaderką.

Zanim weszliśmy do gabinetu, Bree i ja pozbyliśmy się uśmiezków.

-- Możecie to wyjaśnić? — Davies obrócił w naszą stronę gazetę na biurku.

Tytuł artykułu w dziale lokalnym „Washington Post” brzmiał: „Ujawniono teorię o naśladowcy Zabójcy Dla Widowni”.

Nie zaskoczył mnie ten nagłówek. Przypomniwał tylko, jak Szybko takie wiadomości się roznoszą i docierają do prasy.

Bree odpowiedziała za całą grupę:

— Sami dowiedzieliśmy się o tym dziś rano. Właśnie wracamy z...

— Proszę mi się tu gęsto nie tłumaczyć, detektyw Stone Od tego jeden krok do wymówek. Po prostu coś z tym zróbcie.

Parę razy poruszył szyją, jakby chciał wygonić ból, który wywołaliśmy.

— Przepraszam, panie nadinspektorze — powiedziała Bree. — Takich informacji nie kontrolujemy. W chwili gdy wyjdą...

Davies znów jej przerwał.

— Nie chcę lekcji ograniczania strat. Chcę, żebyście posprząтали ten bałagan. To jest oddział specjalny. Przełożeni nie będą was asekurować. Macie reagować na problemy, zanim ja wam każę zareagować. Rozumiecie?

— Oczywiście, że rozumiemy — powiedziała Bree. — Ja również nie potrzebuję lekcji ograniczania strat. Wygląda na to, że ZDW też nie.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, Davies się uśmiechnął.

— Rozumiecie, dlaczego ją lubię? — zapytał mnie i Samp-sona.

Tak, ja z pewnością rozumiałem.

Rozdział 4

Dziś ZDW nie miał do odegrania żadnej nowej roli, nie zaplanował żadnego makabrycznego morderstwa. Zatem zabójca był sobą. Przed obiadem postanowił ponownie wejść do Internetu. Nie umiał zrezygnować z czytania o sobie. I nie zawiódł się.

Fora dyskusyjne huczały od rozmów o ZDW! Owszem, w większości powtarzano wymysły brukowców i snuto fantastyczne wizje, ale to bez znaczenia. Najważniejsze, że o nim mówili.

Na SerialTimes nic nowego. Na Sicknet i SKcentral też nie. Logiczne. Fani czekali na jego następny ruch.

W końcu wszedł na kilka czatów. Pod koniec długiego dnia dobrze znaleźć się wśród „swoich ludzi”. Użył nawet prawdziwego imienia, to taki „prezent” dla nich. Oczywiście nikt się nie zorientuje, ale dzięki temu ten kontakt miał bardziej osobisty charakter. Poza tym musiał przecież zostawiać tropy.

Oczywiście wszystko na jego cześć.

AARON-AARON: Co nowego, wielbiciele ZDW?

GINSOAKED: Jak to co? Naśladowca. Gdzieś ty był?

AARON-AARON: No co ty powiesz? Ale może coś poza tym?

Cokolwiek? Ktoś coś wie?

159

REDRUM5: Cisza. W weekend się dużo działo. Facet zasługuje na odpoczynek, nie? Zobaczycie, co teraz zrobi!!! FAN-ZDW: Skąd ty tyle wiesz?

REDRUM5: Nie wiem. To tylko moja teoria. Taką mam opinię. Odpowiada?

AARON-AARON: Może już dziś wzięć się do roboty? FAN-ZDW: Do roboty? Na przykład?

Zabójca popił białego wina, które sobie nalał — smacznego chardonnay. Zasłużył. Nie lubił się przechwalać, ale z drugiej strony wcale nie o to tutaj chodziło. Raczej o to, żeby stanąć w świetle jupiterów. Albo wyjść przed kurtynę po genialnym przedstawieniu.

AARON-AARON: Dobra, a jak on sam siebie naśladował?

Pomyślcie chwilę. GINSOAKED: Że niby i na autostradzie, i na FedExField to

był on, czemu potem sam zaprzeczył? AARON-AARON: Właśnie. Może to właśnie tak było? GINSOAKED: Genialne, kurde. ADAMENE: Ja też myślę, że super. REDRUM5: Na pewno nie. Czytaliście komunikat policji? AARON-AARON: I co z tego? To by do niego pasowało. Gościu to mistrz pieprzenia ludziom w głowach. Na pewno nie zgadniemy, co teraz planuje. A właśnie, co sądzicie o tym, że ten koleś, Kyle Craig, wcześniej wyszedł z kicia? FAN-ZDW: Człowieku, K.C. to stara historia. Nikogo nie obchodzi.

Zabójca odwrócił wzrok od monitora. Wołano go. — Obiad gotowy! Chodź albo wyrzucę.

Rozdział

Konferencja prasowa zaplanowana na popołudnie była dla Bree wyjątkowa. Po raz pierwszy prowadziła dochodzenie w sprawie tak głośnego morderstwa. Wiele razy rozmawiała z dziennikarzami, ale nigdy w pomieszczeniu pełnym reprezentantów wszystkich możliwych mediów w mieście, a także kilku ogólnokrajowych — a właśnie ich się dziś spodziewaliśmy. Co najmniej.

— Wyjdiesz tam ze mną? — zapytała. Byliśmy w jej gabinecie i pracowaliśmy nad tekstem oświadczenia. — Prasa cię zna, a opinia publiczna już dostrzegła. To będzie dobry sygnał, uspokoi sytuację.

Podniosłem wzrok znad brudnopisu.

— Jasne. Jeśli chcesz.

— Tak, chcę. Dobra, denerwuję się. — Zaskoczyła mnie wyznaniem.

Świetnie ci pójdzie — powiedziałem, bo naprawdę tak uważałem. — Przedstaw mnie na początku, wtedy płynnie Przekażesz mi głos, jeśli uznasz, że powinienem odpowiedzieć na jakieś pytanie. Będę tam tylko jako wsparcie.

Bree wreszcie się uśmiechnęła.

Dzięki. Jesteś najlepszy.

161

Pewnie, i to mnie wplątało w całe to bagno.

Ale potem mocno mnie przytuliła i szepnęła:

— Kocham cię. I nie mogę się doczekać, kiedy spłacę dług. Naprawdę nie mogę się doczekać.

Weszliśmy do naszej prowizorycznej sali prasowej o wpół do piątej. Mnóstwo czasu, żeby zdążyć na wiadomości o szóstej, a właśnie taki zamysł nam przyświecał. Wszystkie miejsca były już zajęte, a reporterzy i kamerzyści ustawili się w półkole.

— Panie doktorze! Pani detektyw! — wołali za nami fotoreporterzy, usiłując zrobić dobre zdjęcie.

— Nigdy nie pokazuj, że się pocisz—powiedziałem do Bree.

— Za późno.

Podeszła do mównicy, przedstawiła mnie i zaczęła wygłaszać oświadczenie, nie korzystając z kartki. Gładko jej idzie, dobra jest, pomyślałem. Opanowana i pewna siebie. Dziennikarze też ją polubili. Natychmiast to zauważyłem.

Kiedy zaczęły się pytania, stałem z boku, na tyle blisko, żeby Bree widziała mnie kątem oka.

Początkowe były bardzo łagodne i poradziła sobie z łatwością. Żadnych trafień, żadnych błędów.

Pierwszą trudną piłkę posłał Tim Pullman z Kanału 4.

— Pani detektyw, czy potwierdza pani istnienie mordercy--naśladowcy? Czy może są to tylko domysły?

Zastanawiałem się, czy w ogóle słuchał oświadczenia początkowego, ale Bree cierpliwie powtórzyła nasze stanowisko.

— Dowody sugerują jego istnienie, ale nie możemy niczego jednoznacznie stwierdzić ani wykluczyć. Oczekujemy na dalszą analizę wysłanej wiadomości. Pracujemy nad tym wspólnie z FBI. Proszę mi wierzyć, wszyscy wyrabiamy nadgodziny.

— Wspomniała pani o wiadomości! — zawołał ktoś z tyłu sali. — Czy ma pani na myśli publikację na stronie SerialTimes?

— Zgadza się. Mówiłam o tym minutę temu. Słuchał mnie pan?

162

Ten sam dziennikarz nie dawał za wygraną, niespeszony Zgodnym przytykiem. Był to niski, rudowłosy mężczyzna, którego kojarzyłem z któregoś kanału kablówki.

Proszę wyjaśnić, dlaczego ta strona internetowa wciąż działa pomimo silnych sprzeciwów ze strony rodzin ofiar? O co w tym chodzi?

Nie poinformowano nas o reakcji rodzin, więc uważnie przyglądałem się Bree, gotów wejść do akcji na jej pierwszy znak. Sama musiała o tym zdecydować.

— Chcemy pozostawić możliwość dialogu ze wszystkimi podejrzanymi. Z zadowoleniem przyjmujemy nawiązanie przez nich bezpośredniego kontaktu, więc celem jak najszybszego rozwiązania sprawy postanowiliśmy nie likwidować żadnego z istniejących już kanałów. Włącznie ze wspomnianą stroną.

— Niby dlaczego nie? Dlaczego jej natychmiast nie zamkniecie?!

Z tyłu sali rozległ się gniewny krzyk. Wszyscy obrócili w tę stronę głowy i kamery. Dostrzegłem młodą kobietę, Alberta Ramirez. O rany. To jego córka Lydia zginęła na autostradzie.

Rozdział

Zrozpaczony ojciec mówił przez ściśnięte gardło, ale jego głos był stanowczy.

— A dobro mojej córki? A jej matki? Jej trzech sióstr? Dlaczego musimy znosić to plugastwo po wszystkim, co spotkało naszą rodzinę? Czy wy jesteście normalni?

Żaden dziennikarz nie zadał kolejnego pytania, póki ojciec dziewczyny miał głos. Ta sytuacja, zła dla policji, dla mediów była korzystna.

— Panie Ramirez — zaczęła Bree. To dobrze, że go poznała i użyła jego nazwiska. — Wszyscy łączymy się z panem w żalu po utracie córki. Chciałabym spotkać się z panem zaraz po konferencji i jak najszybciej przedyskutować sprawę...

W tym momencie pękła jakaś niewidzialna bariera powściągliwości i protokołu. Bree ze wszystkich stron zalała powódź pytań.

— Czy ignorowanie wkładu społeczności to element polityki stołecznej komendy policji? — spytał jakiś młody cwaniaczek z „Washington Post”.

— Jak zamierzacie uniknąć pojawienia się kolejnych naśladowców?

— Czy mieszkańcy Waszyngtonu są w tej chwili bezpieczni-A jeśli nie, to dlaczego?

164

Uznałem, że wiem, co teraz zrobić. Nachyliłem się do Bree i nieco przesadnym gestem wskazałem zegarek.

Koniec czasu — szepnąłem. — Pora karmienia w zoo

się skończyła.

Kiwnęła głową, po czym uniosła dłonie.

Panie i panowie, w tej chwili nie mogę odpowiedzieć na

więcej pytań. Będziemy informować jak najczęściej i jak najob-szerniej. Z góry dziękuję za cierpliwość.

— Moja córka nie żyje! — krzyczał Alberto Ramirez z tyłu sali. — Zginęła przez waszą nieudolność! Moja Lydia nie żyje!

To było ciężkie oskarżenie i widziałem, że brzmiało wiarygodnie, w każdym razie dla prasy. Większość dziennikarzy wiedziała, że szukamy igły w stogu siana, rozumiała, jak trudne było to polowanie, ale nie mieli zamiaru donosić o nim w tym stylu. Woleli własną ściemę, głupią i świętoszkowatą.

Rozdział

Kyle Craig znów był w drodze. Ekscytowała go ta podróż przez czas, przestrzeń i własne fantazje. Jechał na wschód, za oknem przemykały jednakowe farmy i pola, a on pozwalał, by ten jednostajny widok go uspokoił. W końcu dotarł do otoczonego lasami i łagodnymi pagórkami Iowa City, które znał jako malownicze miasto uniwersyteckie. Dokładnie tego potrzebował do realizacji następnego etapu planu, czyli „planu naprawczego”, jak lubił go nazywać.

Kolejne pół godziny zajęło mu odnalezienie głównego budynku biblioteki uniwersyteckiej, który znajdował się na Madison Street, na wschód od rzeki Iowa. Musiał pokazać jeden z kilku swoich dowodów tożsamości, po czym znalazł komputer, z którego mógł przez jakiś czas korzystać. Miła, cicha czytelnia była dla jego potrzeb idealna.

Obecnie Kyle wyobrażał sobie dwa sposoby skontaktowania się z ZDW. Ten bardziej skomplikowany wymagał zastosowania steganografii, czyli zakodowania ukrytej wiadomości w pliku graficznym lub dźwiękowym. Sądził jednak, że chwilowo nie musi się aż tak trudzić. Na razie nikt nie wiedział o jego związku z zabójcą w Waszyngtonie. A raczej — jak było rnu wiadomo — z zabójcami.

166

Wybrał zatem szybszą, mniej wyszukaną metodę. Od Masona Wainwrighta, swego adwokata i wiernego fana, wiedział, jak odnaleźć ZDW. Do przeglądarki wstukał adres www.myspace.com, a następnie kliknął jedno z imion w zakładce „ludzie”. To było aż takie proste.

Wpisał wiadomość do ZDW. Pragnął, żeby była we właściwym tonie.

Dobrze znów być wolnym. Wolnym w taki sposób, który rozumiemy tylko ja i Ty. Teraz możliwości są nieskończone, nieprawdaż? Jestem pod wrażeniem Twojej sztuki i fantastycznie złożonego umysłu. Uważnie śledziłem wszystkie wydarzenia — to znaczy na tyle uważnie, na ile to możliwe w tych okolicznościach. Teraz gdy sobie swobodnie brykam, chciałbym spotkać się z Tobą. Zostaw mi wiadomość, jeśli podobnie jak ja uważasz to za wskazane. Wierzę, że wspólnie możemy dokonać wielkich rzeczy.

Kyle Craig zataił natomiast swoje prawdziwe odczucia względem ZDW. Słowem, które chciał wysłać zabójcy, było „amator”.

Albo może „naśladowca”, gdyby chciał być miły.

Rozdział

Nikt, kto nie przebywał w więzieniu o najwyższym stopniu nadzoru, nie zrozumiałby, co on teraz czuł. Tego wieczoru Kyle Craig krążył w Iowa City w kolejnej masce, delektował się widokami i rozkoszował samą obecnością w tym miejscu.

Spenetrował kampus, który rozciągał się po obu stronach rzeki. Uczelnia ładnie wtapiała się w okolice centrum. Znajdowało się tam wiele urokliwych sklepów z odzieżą, biżuterią i księgarń, a także niewiarygodna liczba lokali, gdzie można było coś zjeść i wypić. Natknął się na coś ciekawego: szlak pisarzy na Iowa Avenue. Na chodniku umieszczono cytaty z dzieł autorów związanych ze stanem Iowa: Tennessee Williamsa, Kurta Vonneguta, a nawet Flannery O'Connor, która należała do jego ulubionych autorek, ponieważ była taka cudownie pomyłona.

Tuż po dziewiątej wieczorem wstąpił do baru o nazwie Sanctuary. Robił wrażenie lokalu, w którym bywali nie tylko studenci, lecz również dorośli, więc Kyle nie powinien się zbyt wyróżniać. Wnętrze wybito boazerią, a boksy przypoły minąły ławy kościelne. I rzeczywiście klienci byli starsi.

— Słucham pana, co podać? — usłyszał, gdy tylko usiadł przy barze.

168

Barman wcześniej był chyba studentem, który postanowił zostać w mieście, co wydawało się rozsądną decyzją. Miał krótko przycięte, bardzo jasne włosy z modną grzywką na przodzie. Wyglądał na dwadzieścia parę lat. Sądząc ze spojrzenia oraz szerokiego, życzliwego uśmiechu, musiał być przygnębiająco nudny.

Jak leci, kolego? — powiedział Craig. Ni mniej, ni więcej,

tylko serdeczne powitanie.

Następnie zapytał o wina i zamówił brunello di montalcino, które najwyraźniej górowało jakością nad pozostałymi czerwonymi winami serwowanymi w restauracji.

- Brunello oferujemy tylko w butelkach, proszę pana. Nie wiem, czy wyraziłem się jasno.
- Żaden problem. Po wyjściu od was nie planuję siadać za kółko — odparł Kyle Craig i zachichotał porozumiewawczo. — Wezmę butelkę. Proszę mi ją otworzyć, niech trochę pooddycha. I poproszę przystawkę z brie i jabłkiem. Mogę prosić o pokrojenie świeżego jabłka?
- Jeśli pan chce, mogę panu pomóc z tym brunello — z prawej strony zabrzmiał damski głos.

Gdy Kyle się obrócił, zobaczył kobietę siedzącą kilka stołków dalej. Była sama. Uśmiechała się do niego miło. Policja? — pomyślał. A potem: Nie. A potem: Chyba że jest bardzo dobra w swojej robocie.

— Nazywam się Camille Pogue — powiedziała, rzucając mu uśmiech jednocześnie nieśmiały i nieco filuterny. Miała ciemne włosy, drobną sylwetkę i niewiele ponad metr Pięćdziesiąt wzrostu. Przypuszczał, że dobiega czterdziestki. Najwyraźniej była samotna, co dziwne, biorąc pod uwagę jej urodę. Odrobinę go to zaintrygowało. Pociągali go ludzie nieco skomplikowani, przynajmniej dopóki ich nie rozpracował.

Towarzystwo dobrze mi zrobi — powiedział Kyle i rów-

169

nie postać jej uśmiech. Nic agresywnego. — Nazywam się Alex... Cross. Miło cię poznać.

— Witaj, Alex.

Kyle przesunął się wzdłuż baru i usiadł obok Camille. Przez następne pół godziny rozmawiali dość swobodnie. Okazała się bystra i z pozoru tylko odrobinę neurotyczna. Wykładała historię sztuki na uniwersytecie, specjalizowała się we włoskim renesansie. Wcześniej mieszkała w Rzymie, Florencji i Wenecji, a teraz wróciła do Stanów, choć nie była pewna, czy chce tu zostać. To znaczy w Ameryce, nie w Iowa City.

— Dlatego że Ameryka jest inna, niż zapamiętałaś, czy raczej wręcz przeciwnie? — spytał Kyle.

Roześmiała się.

— Chyba po trochu jedno i drugie. Czasami polityczna naiwność i obojętność Amerykanów doprowadza mnie do szału. Ale najbardziej przeszkadza mi konformizm. Jest jak rozprzestrzeniający się rak, zwłaszcza w mediach. Zupełnie jakby wszyscy bali się mieć własne zdanie.

Kyle pokiwał głową.

— Może mnie też oskarżysz o konformizm, bo w pełni się z tobą zgadzam.

Nachyliła się do niego, ale nie w sposób agresywny czy odpychający.

— Więc ty jesteś inny? — zapytała.

— Myślę, że tak. Ba, jestem tego pewien. Oczywiście inny w dobry sposób.

— Oczywiście.

Kiedy opróżnili butelkę wina, poszli na spacer wokół głównego placu. Następnie zaprosiła go do siebie — do ładnego szaro-białego domu w stylu kolonialnym w bocznej uliczce odchodzącej od Clinton Street. Skrzynki w oknach były pełne kwiatów. Nauczycielka zajmowała cały parter. Pokoje wypełniały europejskie meble i dzieła sztuki. Jej mieszkanie okazało

170

się przestronne, otwarte i przyjazne. W ten sposób objawiła się kolejna strona jej natury, i to całkiem miła. Domowniczka? Domatorka?

Jadłeś coś? Poza jabłkiem i serem. Świeżo krojonym

jabłkiem — zapytała, przysuwając się do niego.

We własnym domu była nieco bardziej pewna siebie. Miała miękkie piersi, ale reszta zdawała się jędrna. Bardzo miła i budząca pożądanie. Nagle Kyle wiedział dokładnie, w jaki sposób chce ją mieć. Poczł niewiarygodny przyływ chuci.

Najpierw jednak ściągnął maskę. Oczy kobiety rozwarły się szeroko ze strachu i zaskoczenia.

— O Boże! — krzyknęła.

Nie chcąc tracić więcej czasu, Kyle pchnął ją szpikulcem do lodu, który chował w prawej dłoni. Szpic przebił gardło Camille i wyszedł przez kark. Jej niebieskie oczy zrobiły się wielkie jak srebrne dolarówki, po czym jakby zapadły się w głąb czaszki. Następnie wyzionęła ducha i opadła w jego oczekujące ramiona.

— Może być. A teraz się kochajmy, dobrze? — powiedział Kyle do martwej nauczycielki. — Przecież mówiłem, że jestem inny, prawda?

Przed wyjściem z mieszkania Camille Pogue zostawił kolejny trop dla kogoś, kto przyjdzie po ciało. Była nim malutka figurka przedstawiająca znaną na Środkowym Zachodzie rzeźbę „Zwiadowcy”. Nie pasowała w mieszkaniu wykładowczyni historii sztuki, choć Kyle wątpił, czy ktoś to zrozumie.

To mu nie przeszkadzało — najważniejsze, że on rozumiał. Jak elokwentnie rzekł Kevin Bacon we wspomniałym filmie Di"er, to był „uśmiech”.

Rozdział

Następny dzień przyniósł mi dwie paskudne niespodzianki, jak to bardzo często z niespodziankami bywa. Pierwszą była wiadomość, że Kyle Craig zamordował matkę w Kolorado. Zostawił nam kartkę Hallmarku — niepodpisaną. To oznaczało, że albo ktoś w policji przekazuje mu poufne wiadomości, albo ma kontakt z ZDW. Czy to możliwe? A jeśli tak, to jaki, u diabła, był charakter ich relacji?

Wiedziałem, że to nie pierwszy raz, gdy Kyle nawiązuje kontakt z innymi zabójcami. Wcześniej byli Casanova i Dzentelmen, a może również pan Smith. A teraz ZDW? Może nawet ten prawnik z Kolorado był mordercą. Choć przypuszczalnie tylko uczniem. Wyznawcą?

Później doznałem drugiego szoku, a informację przekazał mi Brian Kitzmiller. Zadzwoił i poprosił, żebym przeczytał coś w Internecie. Podał mi adres strony. Świetnie — ktoś założył mi błoga. Zacząłem czytać i zrobiło mi się niedobrze.

Nazywasz siebie Pogromcą Smoków? Co to ma być? Fabularna gra fantasy? Jesteś graczem, Cross? Co cię podnieca? Co cię napędza? Pobudziłeś moją ciekawość. Bądź co bądź, to właśnie ty złapałeś wielkiego Kyle'a Craiga.

172

Powiedzmy, że ostatnio bardzo uważnie przyglądam się tobie i twojej rodzinie. Zauważyłem, że nocą bardzo dużo czasu spędzasz „sam na sam” w sypialni małego Alego. Mylę się? Wątpię, ale proszę bardzo, broń się przed pogłoskami i oskarżeniami.

A Bree Stone — co mamy o niej myśleć? Kim była ostatnia kobieta, z którą potrafiłeś spotykać się przez dłuższy czas?

Cierpisz na bezsenność, prawda? Oczywiście, że tak. No, zobaczysz, co cię wkrótce czeka. A potem następnego dnia. I następnego.

Słodkich snów, doktorze detektywie Cross.

Poniżej znajdowały się zdjęcia.

Domu na Piątej Ulicy.

Samochodów na podjeździe.

Nany Mamy, jak wychodzi z domu z Alim.

Bree, Sampsona i mnie na FedExField, gdy nas tam wezwano.

Przyglądał nam się — to my byliśmy pod obserwacją.

Rozdział

Nikt za dobrze nie wie, dlaczego Sampson i ja lubimy knajpę Zinny's, nawet my sami, i chyba między innymi dlatego nas tam ciągnie. To podłużna, czarna knajpa w Southeast, tylko bar i kilka boksów, a podłoga nigdy nie bywa nawet z grubsza czysta. Tego dnia późnym wieczorem Sampson, Bree i ja zaciągnęliśmy tam Briana Kitzmillera w ramach małej lokalnej inicjacji, ale przede wszystkim dlatego, że żadne z nas nie mogło przestać myśleć o śledztwie.

Sprawy przybierały coraz bardziej szalony obrót. Istniała możliwość, że w jakiś dziwny sposób we wszystko zamieszany jest Kyle Craig, a ZDW zapewne nas obserwuje. Czy również teraz?

Niektóre fragmenty układanki zaczynały do siebie pasować. Tess Olsen pisała o Craigu książkę pod tytułem Supermózg-Czy za częścią wydarzeń stał sam Kyle? Czy może za wszystkimi? To pasowało do jego metod. W przeszłości kontaktował się już z mordercami — i wykorzystywał ich. Jeśli to on był mózgiem, jaką rolę odgrywali ZDW oraz prawnik, Mason Wainwright? I czy w tej grze brał udział ktoś jeszcze?

Bree przyniosła pierwszą kolejkę.

— Chłopaki, ja stawiam. Dziękuję wam za wszystko. Jestem

174

waszą dłużniczką. Zwłaszcza twoją—powiedziała i pocałowała mnie w skroń.

Nie mam pojęcia dlaczego, ale to mnie natychmiast podnieciło. Żałowałem, że nie jesteśmy teraz sami. W jej mieszkaniu, w samochodzie, gdziekolwiek.

Usiadła obok mnie i uniosła wysoko szklankę.

Za te ostatnie gówniane parę dni. Wróciłabym do domu,

ale wiem, że w snach też będę widzieć pana Ramireza. Jego martwą córkę też. I jej trzy siostry. I panią Olsen.

— Bywa. Po mieście krąży szaleniec, może nawet kilku — powiedział Sampson. — To nie twoja wina, Bree. Współczuję Ramirezowi, ale przesadził.

— Słuchajcie — odezwał się Kitz — mam pomysł. Może trochę szalony, ale to znaczy, że dobry, no nie? Słyszeliście kiedyś o Unhinged Tour?

Odstawiłem piwo.

— Czytałem coś w Internecie. A co? Skoro już mowa o szaleńcach...

— To wędrowny show poświęcony seryjnym mordercom. Rzecz w tym, że za parę dni odbędzie się w Baltimore.

— Show? — spytał Sampson. — Taki sceniczny?

— Raczej konwent — odparł Kitz. — Nazywają to „spotkaniem osób zainteresowanych psychologią kryminalistyczną”.

— Innymi słowy ludzi, którzy mają świra na punkcie seryjnych zabójców — rzekł Sampson. — I niech zgadnę: maniaków komiksów też?

Kitz kiwnął głową uśmiechnął się i wypił łyk piwa.

— Zgadza się. Właśnie taka publika. Musielibyśmy trochę Pokombinować, ale wątpię, żeby odmówili wysłuchania epokowego wykładu na temat toczonego się dochodzenia w sprawie seryjnych zabójców, szczególnie tego konkretnego. Doktor Alex Cross, gdyby tylko chciał, mógłby zostać gwiazdą wieczoru. najgorszym razie będziemy mieli salę pełną potencjalnych

175

źródeł informacji. To wystarczy, żeby rozszerzyć śledztwo. Może otworzyć kilka nowych kanałów.

Bree się roześmiała.

— Rzeczywiście jesteś szalony, Kitz. Ale nie zaszkodzi spróbować. A jeśli będziemy mieli naprawdę dużo szczęścia, ściągniemy samego ZDW. W końcu mówił, że lubi nas obserwować.

Kitz kiwnął głową i uśmiechnął się szelmowsko.

— Kto tam, u diabła, wie, jak działa jego mózg? Możliwe, że nie potrafi się oprzeć podobnej okazji. On albo jego naśladowca. Co wy na to?

Spojrzelśmy po sobie, szukając dobrego powodu, by nie skorzystać z jego pomysłu.

— To niezbyt podchodzi pod informatykę kryminalistyczną prawda? — powiedziała w końcu Bree.
— Skąd masz tak dużo wiedzy na ten temat?

— Oj, wiesz. Wieści się rozchodzą. — Głos Kitza brzmiał niemal radośnie.

Sampson się rozpromienił. Klepnął w stół i wycełował palcem w Kitzmillera.

— Chodzisz na te spotkania świrów, prawda? Prywatnie.

— Nie, nie. — Kitz znów podniósł szklankę, a potem dodał cicho: — Już nie.

Wszyscy troje wybuchnęliśmy śmiechem. Ta okazja do odreagowania bardzo dobrze nam zrobiła.

Bree nachyliła się do Kitzmillera i zamruczała:

— Oj, Kitzy, stuprocentowy z ciebie maniak, prawda?

— I do tego ładnie po sobie zmywa — powiedziałem.

— A wy to co? — odparł Kitz. — Nikt wam ostatnio nie przypominał, jak zarabiacie na chleb? To, że nie chodzicie na publiczne imprezy, nie oznacza, że jesteście ulepieni z innej gliny niż ci, którzy chodzą.

Przez pięć sekund milczeliśmy z szacunkiem, po czym zfiów się roześmialiśmy.

176

Potem jednak dodałem:

Moi drodzy, myślę, że czeka nas przeprowadzenie operacji.

Ale nie dziś — powiedziała Bree. Wzięła mnie pod ramię

i wyprowadziła z knajpy. — To całe gadanie — szepnęła mi na ucho — strasznie mnie podnieciło. Poza tym już mówiłam, że jestem twoją dłużniczką. — A ja zamierzam się upomnieć o zwrot. — Z odsetkami, mam nadzieję.

Dotrwaliśmy aż do jej mieszkania, choć z trudem, ale do sypialni już nie.

Rozdział

Znowu coś. Następnego dnia rano moje dość krótkie życie zawodowe związane z prywatną praktyką uległo wstrząsowi, a ja nawet nie zdążyłem jeszcze wypić kawy. Ponieważ pierwszy pacjent odwołał wizytę, dotarłem do gabinetu nieco później niż zwykle, tuż po wpół do ósmej. Wchodząc do budynku, sączyłem kawę ze Starbucksa i wciąż rozmyślałem o Bree oraz ostatniej nocy, która, jak miałem nadzieję, była pierwszą z wielu.

O ósmej zaczynałem sesję z Sandy Quinlan, a potem z An-thonym Demao, weteranem Pustynnej Burzy. Kolejną pacjentką była Tanya Pitts, pracowniczka Pentagonu. Miała powracające myśli samobójcze i powinna odwiedzać mnie pięć razy w tygodniu, a może nawet siedem, ale stać ją było tylko na jedną sesję, więc drugą dorzucałem gratis.

Skręciłem z korytarza do poczekalni i z zaskoczeniem stwierdziłem, że Sandy Quinlan już tam jest.

Anthony także. Miał na sobie czarną koszulkę bez rękawów, a na jego kolanach leżała koszula z długim rękawem.

Co tu się, u diabła, dzieje?

Przez pierwsze kilka sekund, zanim zorientowali się, że tu stoję, ręka Sandy poruszała się pod koszulą na kolanach An-thony'ego.

178

Ona mu waliła konia w mojej poczekalni!

Ej! — zawołałem. — Ej, ej! Wystarczy. Co wy sobie wyobrażacie?

O Boże! — Sandy podskoczyła i zakryła twarz dłoń-
mj przepraszam. Tak mi wstyd. Muszę iść. Muszę już iść,

panie doktorze.

Nie. Zostań tutaj — powiedziałem. — Ty też, Anthony. Niech nikt się stąd nie rusza. Musimy porozmawiać.

Wyraz twarzy Anthony'ego stanowił mieszaną obojętności i — z braku lepszego określenia — miny człowieka, komu przerwano coś w najmniej spodziewanym momencie. Nie podniósł wzroku, żeby na mnie spojrzeć.

— Przepraszam — wymamrotał w brodę.

— Sandy, proszę do gabinetu — powiedziałem. — Anthony, z tobą rozmawiam, kiedy skończę z Sandy.

— Tak, jasne — odparł. — Rozumiem.

W gabinecie minęło kilka chwil, zanim doszliśmy do siebie.

— Sandy, nie wiem nawet, co powiedzieć — odezwałem się w końcu. — Przecież wiedzieliście, że przyjdę i was przy-tapię, prawda?

— Wiem. Oczywiście. Tak mi przykro, panie doktorze — cedziła słowa drżącym głosem.

Prawie mi jej było żal, ale nie do końca.

— Dlaczego, twoim zdaniem, do tego doszło? — ciągnąłem. — To nie w twoim stylu, prawda?

— Zupełnie nie w moim stylu. — Sandy przewróciła oczami. — Wiem, jak to zabrzmie, ale on jest... fajny. Mówiłam Panu, że jestem sfrustrowana seksualnie. O Boże. — Do oczu zaczynały jej napływać łzy. — Ale ja jestem głupia. Jak zwykle. Zachowuję się jak idiotka, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Postanowiłem zastosować inną taktykę. Wstałem, by dopić

Odpowiedz mi na takie pytanie: co ty z tego miałaś?

z drugiego kubka w torbie.

179

— Jak to?

— Domyślam się, jaką korzyść z tego, co zaszło, miał Anthony. — Znowm usiadłem. — A ty?

Sandy jednocześnie spuściła oczy i odwróciła wzrok. Może pytanie okazało się dla niej zbyt intymne. Dość ciekawe, że mogła Anthony'emu walić konia w poczekalni, ale teraz wstydziła się o tym mówić.

— Nie musisz odpowiadać, ale nie musisz także się wstydzić.

— Nie — powiedziała. — Nic nie szkodzi. Po prostu dał mi pan do myślenia. W pana ustach to się wydaje oczywiste, ale... chyba nie pomyślałam o tym w ten sposób.

Nieco się wyprostowała i nawet uśmiechnęła. Dziwne, pomyślałam. Zupełnie nie przypomina Sandy, jaką znam.

Bardziej martwiłem się o to, dokąd tych dwoje zabrną. Miałem wrażenie, że zupełnie do siebie nie pasują ale to nie oznaczało, że mogę czemukolwiek zapobiec.

Ledwie dziesięć po ósmej rano, a już miałem zły dzień.

O dziewiątej jeszcze się pogorszył.

Anthony'ego nie było w poczekalni. Dał nogę. Zastanawia łem się, czy jeszcze w ogóle go zobaczę.

Rozdział

Krótko po dziewiątej Sandy Quinlan i Anthony Demao spotkali się w kawiarni na Szóstej Ulicy. Umówili się na to spotkanie już wcześniej. Wiedzieli, że doktor Cross ich przyłapie, ponieważ wszystko zaplanowali.

Anthony pił latte i jadł drożdżówkę w oczekiwaniu na Sandy, która najpierw zlizwała bitą śmietaną, a dopiero potem się odezwała.

— Nawet mi nie zaproponował swojej kawy — powiedziała, marszcząc czoło. — A miał aż dwie.

— Był zły, że zbecześciłaś jego przestrzeń. Opowiadaj. Co mówił? Chcę poznać wszystkie żałosne szczegóły.

Sandy zamlaskała i oblizwała usta.

— No, doktor Cross jak zwykle wykazał się dużą empatią, a może nawet współczuciem. Dla mnie, nie dla ciebie, łajdaku. I chyba można powiedzieć, że był szczerzy. W końcu przyznał, że na mnie leci. Nic dziwnego, kto y nie leciał? Ale oto prawdziwa niespodzianka: chciałby ci zrobić laskę!

Oboje się roześmiali, wypili kilka łyków gorącego napoju, Po czym znów wybuchnęli śmiechem. W końcu Anthony naglił się do Sandy.

181

— Nie on jeden, prawda? Słuchaj, podejrzewasz, że domyśla się, co planujemy? O co w tym wszystkim chodzi?

Sandy pokręciła głową.

— Nie ma zie-lo-ne-go pojęcia. Jestem przekonana.

— Przekonana? A to dlaczego?

— Jesteśmy w tym za dobrzy. Tacy z nas genialni aktorzy. Oczywiście ty już o tym wiesz. Ja też. Poza tym mamy kapitalny scenariusz.

Anthony się uśmiechnął.

— Rzeczywiście jesteśmy dobrzy, no nie? Każdego byśmy oszukali.

— Każdy by uwierzył, w co tylko chcemy. Patrz.

Sandy wstała i usiadła Anthony'emu na kolanach, twarzą do

niego. Zaczęli się całować, wsuwając sobie nawzajem języki głęboko w usta. Ich dłonie błądziły po całym ciele, a w końcu Sandy zaczęła ocierać się o krocze Anthony'ego.

— Znajdźcie sobie pokój — odezwała się poważnie wyglądająca kobieta w średnim wieku, która korzystała z komputera kilka stolików dalej. — Proszę. Nie mam ochoty tego z rana oglądać.

— Zgadzam się — poparł ktoś inny. — Na litość boską zachowujcie się, jak przystało na dorosłych ludzi.

— Widzisz? — Sandy szepnęła Anthony'emu do ucha. — Myślą że wciąż jesteśmy kochankami.

Następnie wstała i pociągnęła go za sobą.

— Bez nerwów! — odezwała się głośno. — Na litość boską przecież to mój brat!

Ciągle roześmiani wyszli z kawiarni.

— To było super, świetna zabawa! — zawyła Sandy i wykonała mały taniec triumfu. Następnie pomachała do osób w środku, które wciąż obserwowały przez okna.

— Kupa radochy! — przyznał Anthony. Potem spowaźniał. — Dostałem wiadomość od Kyle'a Craiga. Píše, że nie może się doczekać spotkania z ZDW.

182

No cóż — powiedziała Sandy. — A ja nie mogę się

doczekać, kiedy poznam mistrzunia.

Znów się roześmiali, po czym na użytek publiczności w kawiarni jeszcze raz pocałowali się z języczkiem. Ale my jesteśmy paskudni — zachichotała Sandy.

Rozdział 3

Może tego wieczoru wreszcie czekał nas jakiś przełom, bo jak Boga kocham, przydałby się. Zgodnie z przewidywaniami Kitza kierownictwo imprezy z wielkim entuzjazmem przyjęło prośbę o umieszczenie w

harmonogramie wystąpienia psychologa kryminalistycznego, doktora Alexa Crossa. Nie mogłem się natomiast spodziewać, z jakim powitaniem spotkam się na miejscu.

Imprezę zorganizowano w zniszczonym, ledwie nadającym się do użytku hotelu Best Western w południowo-wschodnim rewirze policyjnym Baltimore, tuż przy autostradzie 1-95 i — całkiem stosownie — naprzeciwko cementarza. Zaparkowaliśmy na tyłach hotelu, niedaleko wejścia do centrum konferencyjnego, a następnie razem weszliśmy do środka.

— W grupie bezpieczniej — powiedziała Bree i zaśmiała się głucho.

Przy recepcji kłębił się hałaśliwy tłumek rodem z wesołego miasteczka. Pomyślałem, że większość obecnych wygląda w miarę normalnie, może odrobinę prostacko. Pozostali, ubrani na czarno i wytatuowani, robili wrażenie, jakby urwali się z przedstawienia, na które przyszła cała reszta.

Sprzedawcy przy stolikach wzdłuż ściany oferowali wszystko

184

Od kubków z fotografiami z policyjnych kartotek poprzez autentyczne pamiątki z miejsc zbrodni aż po płyty zespołów takich jak What's for Lunch? i Death Angel.

Ledwie zdążyliśmy przekroczyć próg, kiedy ktoś postukał mnie w ramię. Moja dłoń zsunęła się w stronę glocka.

Kiedy się odwróciłem, facet za mną, z wielkimi bokobrodami i kupą tatuaży, wyszczerzył zęby i szturchnął łokciem swoją dziewczynę.

— Widzisz? Mówiłem, że to on. — Parę łączył ciężki łańcuch rozpięty pomiędzy czarnymi obrożami ze skóry, które nosili na szyjach. — Alex Cross, no nie? — Ucisnął mi dłoń i natychmiast poczułem, że Bree i Sampson nie puszczą mi tego płazem. — Na plakacie jest twoje zdjęcie...

— Na plakacie? — zapytałem.

— Aleja dwa razy czytałem twoją książkę, stary. Już wcześniej wiedziałem, jak wyglądasz.

— Tyle że na żywo jesteś starszy — dodała dziewczyna. — Ale i tak jesteś do siebie podobny.

Sampson parsknął śmiechem, choć bardzo starał się powstrzymać.

— Miło mi was poznać — powiedziałem.

Spróbowałem się odwrócić, ale mężczyzna, który mnie zaczepił, mocno złapał mnie za ramię.

— Alex! — zawołał do kogoś w drugim końcu sali. — Wiesz, kto to jest? — Następnie znowu zwrócił się do mnie. — On też nazywa się Alex. Szalone, co?

— Kompletnie — odparłem.

Ten drugi Alex, ubrany w T-shirt z podobizną Johna Way-ne'a Gacy'ego w pełnym makijażu klauna, zbliżył się, by na mnie spojrzeć. Wkrótce wokół nas, a raczej wokół mnie, zaczął się zbierać tłumek. Prędko robiło się to całkiem niedorzeczne. Absolutnie nie cieszyłem się z nowo uzyskanego statusu gwiazdy.

185

- Ty jesteś ten od profili, no nie? Ale odjazd. Mogę zadać poważne pytanie?
- Pójdziemy się zameldować — powiedziała mi do ucha Bree. — Zostawiamy cię fanom.
- Jakie było najbardziej obrzydliwe miejsce zbrodni, które kiedykolwiek widziałeś?
- Nie, czekaj...

Próbowałem złapać Bree za łokieć, ale dłoń z pomalowanymi na czarno paznokciami ścisnęła mnie za nadgarstek i nie puściła. Należała do wątej młodej dziewczyny i wyglądała tak, jakby ją zanurzono w bladożółtym wosku.

- Alex Cross, prawda? Pan to on, prawda? Mogę sobie z panem zrobić zdjęcie? Moja mama będzie bardzo szczęśliwa.

Rozdział 4

W końcu dogoniłem Bree i Sampsona w przytulnym miejscu oznaczonym jako „Główna Sala Balowa nr 1”. To tam około dziewiętnastej trzydzieści miałem wystąpić. Zgodnie uznaliśmy, że moje nazwisko będzie największym magnesem i wywoła najwięcej szumu w Internecie, i chyba wreszcie w jakiejś kwestii mieliśmy rację.

Kitz i jego ludzie pomagali rozreklamować imprezę w sieci — że tak powiem, zarzucali przynętę. Pozostawało pytanie, czy ZDW ją połknie. Złapała się na nią za to masa innych świrów.

Sala balowa miała kształt podłużnego prostokąta, który w razie potrzeby harmonijkowymi drzwiami można było podzielić na trzy mniejsze. Na końcu pomieszczenia ustawiono scenę

1 mównicę. Pośrodku znajdowało się kilka rzędów krzesel.

Bree i Sampson stali w pobliżu sceny z niskim, brzuchatym mężczyzną. Był ubrany w zwyczajny, ciemny garnitur, ale na nosie miał okulary w czerwonych oprawkach, które przywodziły na myśl Eltopa Johna. Z tyłu krótko przyciętych, przyprószo-nych siwizną włosów ?ivisał długi, cienki warkocz. Na koszulę

2 długim rękawem mężczyzna miał naciągnięty T-shirt Unhin-šed Tour. Dziwak pełną gębą, pomyślałem.

187

— Alex, to jest Wally Walewski — powiedziała Bree z szelmowskim uśmiechem. — Właśnie zapoznaje nas z planem dzisiejszego wieczoru. Tylko słuchaj.

— Nadzwyczaj miło mi pana poznać — powiedział Wally Walewski, który wzrostem sięgał mi ledwie powyżej ramienia. — Do rzeczy. Pana slajdy: są. Odfajkowane. Pilot: jest. Odfajkowany. Wskaźnik laserowy na mównicy: jest. Odfaj-kowany. Coś jeszcze? Trochę wody? Cokolwiek będzie potrzebne, natychmiast o to zadbam. Tą sprawą zajmuję się ja.

— Na ile osób jest ta sala? — spytała Bree.

— Zgodnie z prawem może tu wejść dwieście osiemdziesiąt osób, a bilety na pewno będą wyprzedane.

— Na pewno — specjalnie dla mnie powtórzył Sampson. Poczekaliśmy, aż Wally Walewski i jego warkoczyk się

oddalą a następnie przeszliśmy do omawiania naszych przygotowań. Odfajkowane.

— Gdzie są teraz nasi ludzie? — spytałem Bree. Organizatorzy imprezy nie wiedzieli bowiem, że mamy tu

zespół funkcjonariuszy w cywilu. Komenda policji w Baltimore przydzieliła nam czterech miejscowych detektywów, którzy udawali uczestników konferencji. Dwóch policjantów, którzy przyjechali z nami z Waszyngtonu, wcieliło się w członków hotelowego personelu. Bree przejrzała program.

— W tej chwili chłopcy z Baltimore są albo na seminarium na temat odcisków palców, albo... zobaczymy... na sesji „ucieczki seryjnych morderców”, cokolwiek to jest. Później będą tu-i tu. — Wskazała na boki sali. — Vince i Chesney będą krążyć-Aha, Sampson, myślę, że my dwoje powinniśmy się trzymać razem. Zgadzasz się?

— Brzmi dobrze. Zresztą nie chciałbym tu zostać sam. Reszta sił policyjnych Baltimore była w gotowości. Przez

cały czas w okolicach hotelu miał krążyć jeden dodatkowy

188

radiowóz. O wszystkim poinformowano hotelową ochronę, która miała nie wykonywać żadnych niespodziewanych posunięć i przy odrobinie szczęścia powinna zejść nam z drogi, gdy przyjdzie co do czego.

To miała być cicha operacja. Jasne, trochę desperacka i mogła zakończyć się jedynie zebraniem informacji. Gdyby jednak morderca się pojawił, byliśmy gotowi go schwytać. Na świecie zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Ba, również mnie się przytrafiały.

Zresztą wiedzieliśmy już, że ZDW lubi nas obserwować.

Rozdział

— Moja publiczność jest tu — zacząłem.

Tym łatwym sposobem wywołałem śmiech tłumu dziwaków zgromadzonych w sali. Opowiedziałem o znanych nam morderstwach popełnionych przez ZDW, ale wspomniałem wyłącznie o tym, o czym już wcześniej informowaliśmy prasę. Potem spróbowałem nieco ograniczyć szkody związane z szerzeniem się teorii o naśladowcy i pokazałem kilka zdjęć z miejsc zbrodni. Publiczności bardzo się spodobały. Przedstawiłem również coś, co organizatorzy imprezy nazwali „spojrzeniem zawodowca” na profil psychologiczny podejrzanego. Mogłem go wyrecytować przez sen i pewnie już mi się to zdarzyło. Nawet gdyby nie udało nam się dziś osiągnąć nic więcej, szczegóły mojej prezentacji musiały trafić do Internetu i prawdopodobnie dotrzeć do kogoś, kto coś wiedział o zabójcy.

— To człowiek na granicy choroby umysłowej, którego cechuje głęboko zakorzeniona potrzeba aprobaty na wielką skalę—wyjaśniłem. — W jego świecie chęć wyrażania tej potrzeby w ekstremalny, socjopatyczny sposób przyćmiewa wszystko inne. Kiedy rano wstaje, o ile w ogóle sypia, nie ma wyboru: musi szukać nowej publiczności i obsesyjnie planować kolejne morderstwo. Jego działania mogą ulec dalszej eskalacji. —Na-

190

chyliłem się nad mównicą, by przyjrzeć się twarzom możliwie ak największej liczby osób. Niesamowicie, z jaką napiętą uwagą wszyscy mnie słuchali. — Jest jednak coś, z czego ten maniak nie zdaje sobie jeszcze sprawy, czego nie chce przyjąć do wiadomości: nigdy nie osiągnie tego, czego szuka. I właśnie to się na nim zemści. Jeśli my go wcześniej nie pokonamy, sam zrobi to za nas. Podąży ku autodestrukcji, tym samym ułatwiając nam schwytanie go. I nie potrafi się powstrzymać.

W zasadzie wszystko, co powiedziałem, było prawdą—tylko nieco tendencyjnie przedstawioną. Jeśli zabójca był na sali, chciałem, by poczuł jak największy dyskomfort. Ba, chciałem, żeby się poccił jak prosię na różnie.

Wśród publiczności dostrzegłem kilka osób, które na podstawie tego, co wiedzieliśmy, można by uznać za podobne do ZDW: wysokich, mocno zbudowanych mężczyzn. Żaden nie dawał mi jednak powodu do reakcji lub przekazania sygnału Bree i Sampsonowi. Martwiłem się, że nasz plan może nie wypalić, ale zupełnie mnie to nie dziwiło. W zasadzie skończyły mi się tematy wystąpienia, a nikt nie spróbował odebrać mi publiczności, przyćmić mojego występu na tym „konwencji kryminalnym”.

Oglądasz mnie, sukinsynu?

Pewnie nie.

Jesteś zbyt mądry, prawda? Dużo mądrzejszy od nas.

Rozdział

Po wystąpieniu, krótkiej sesji pytań oraz zaskakująco entuzjastycznych oklaskach Wally Walewski posadził mnie w recepcji za chybottliwym stolikiem do kart. Odfajkowane.

Każdy mógł tam do mnie podejść, porozmawiać, dostać autograf i tak dalej. Przez pierwsze dwadzieścia minut uściśnąłem wiele rąk, sympatycznie gawędziłem i podpisywałem wszystko — od książek aż po dłoń pewnej kobiety. Prawie wszyscy okazali się mili. I uprzejmi. Nikt nie pasował mi na seryjnego mordercę.

Odmówiłem jedynie podpisania T-shirtu z napisem „ZDW” z przodu i „Życie dalej, skurwiele” na plecach.

— Jak ci idzie? — usłyszałem w końcu w słuchawce.

Spojrzałem wzdłuż kolejki. Bree stała wśród dziesiątek fanów, którzy wciąż cierpliwie czekali na swoją kolej, rozmawiając między sobą.

— Na razie cicho — powiedziałem. — Ci ludzie są dziwni, ale mili. Niestety.

Bree odwróciła się plecami do kolejki i zniżyła głos.

— Do kitu. No dobrze... Sampson, zrobię jeszcze jedną rundkę wśród ludzi. Spotkamy się przy drzwiach frontowych. Oby ktoś tutaj był mniej miły.

192

W uchu usłyszałem odpowiedź Johna.

W porządku. Alex, wracasz z nami? Czy liczysz, że ci

się poszczęści z jakąś fanką?

Nie odpowiedziałem, tylko uśmiechnąłem się do kolejnej osoby w kolejce.

Niedługo wrócę — powiedziała Bree i zniknęła w tłumie. — Bądź grzeczny.

— Postaram się.

Kilka minut później, gdy podpisywałem kolejną książkę, poczułem za plecami czyjąś obecność.

Kiedy podniosłem wzrok, nie zobaczyłem jednak nikogo, choć miałem pewność, że przed chwilą ktoś tam był.

— Zostawiła panu kartkę.

Kobieta po drugiej stronie mojego stolika wskazała palcem papier leżący obok mojego łokcia. Rozłożyłem go. Był to wydruk ze strony internetowej.

Czarne tło, grube białe litery. Przeczytałem wiadomość.

Zgaduj dalej, mądralo. Nie jestem chory psychicznie! I nie

jestem głupi!

Do zobaczenia w Waszyngtonie, gdzie wszystko się odbywa.

W zasadzie to właśnie tracisz przedstawienie.

Rozdział 67

Jakie przedstawienie tracę? — zastanawiałem się. Poderwałem się od stolika, serce już mi łomotało.

— Kto to zostawił? — zapytałem ludzi w kolejce. — Czy ktoś widział osobę, która zostawiła tę kartkę?

Właścicielka książki, którą właśnie podpisałem, wskazała za siebie, w stronę tłumu.

— Tamtędy poszła, szeryfie!

— Jak wyglądała? — zapytałem. — To na pewno była kobieta?

— No... długie, ciemne włosy. Czarna koszulka. Chyba džinsy. Tak jak wszyscy tutaj. Wyglądała na kobietę.

— I jeszcze okulary! — dodał ktoś inny. — Miała niebieski plecak!

— Alex — usłyszałem w uchu głos Bree — co tam się dzieje? Coś się stało? Co się stało, do cholery?

— Bree, szukamy kobiety. Na pewno kobiety. Czarna koszulka, džinsy, okulary, niebieski plecak. Ty i Sampson musicie obstawić wyjścia. Dajcie znać tutejszej policji, co się dzieje. Zostawiła mi kartkę od ZDW.

— Już się robi!

Kiedy zacząłem się przeciskać przez gęstniejący tłum, wśród

194

ludzi przeszedł pomruk podniecenia. Co więcej, nie każdy chciał mnie przepuścić. Niektórzy zastępowali mi drogę, żeby zapytać, co się stało i dokąd idę. Zadawali mi pytania, na które nie miałem czasu odpowiedzieć.

Rozganiałem ich, na ile umiałem.

To już nie zabawa! Czy przechodziła tędy kobieta w czarnej koszulce i okularach?

Chłopak, od którego biła woń marihuany, zachichotał.

— Stary, tutaj tak wygląda połowa ludzi.

Tłum znów się poruszył i chyba ją zobaczyłem — na końcu holu. Odepchnąłem z drogi chłopaka i parę innych osób.

— Przepuście mnie! — Puściłem się biegiem. — Bree! Widzę ją. Jest wysoka. Biała. Ma niebieski plecak.

— I to na pewno kobieta?

— Chyba tak. Chociaż może ma przebranie.

Kiedy dotarłem do następnego załomu, podejrzana pokonała już ponad połowę długiego korytarza i biegła do wyjścia na przeciwległym końcu.

— Stać! Policja! Zatrzymać się natychmiast! — krzyknąłem, wyciągając broń.

Kimkolwiek była, wypadła przez drzwi, nawet się nie oglądając. Trzasnęły za nią mocno, a szyba przeobraziła się w nieprzezroczystą pajęczynę spękanego szkła.

— Wschodni parking! — poinformowałem Bree i Sampso-°a. — Podejrzana jest na zewnątrz! Biegnie! To na pewno kobieta!

Rozdział 6

I to silna kobieta! Opuszczając budynek, kompletnie roztrzaskała szybę w drzwiach. Kto to taki? Mocno wkurzona babka? Szalona damulka? Współpracowniczka ZDW czy kolejna naśladowczyni?

Kiedy przebijałem się przez drzwi wyjściowe, wokół mnie sypało się szkło. Gdzie ona się podziała, do cholery? Na dworze nikogo nie widziałem. Nikt nie biegł.

Świeciło się tylko kilka lamp, więc na wąskim parkingu zalegały duże plamy cienia. Wśród rzędów aut przede mną nie dostrzegłem jednak śladów życia.

Po mojej lewej ręce chodnik kończył się gwałtownie i przechodził w pusty trawnik.

Wtedy usłyszałem dźwięk uruchamianego silnika sportowego wozu. Dobiegał z prawej strony.

Wytężyłem wzrok, wpatrując się w półmrok.

Zapłonęły reflektory i zaraz potem dwoje lśniących oczu ruszyło wprost na mnie. Szybko!

W dłoni wciąż trzymałem glocka i uznałem, że zdążę oddać jeden strzał. Nacisnąłem spust. Kula z puknięciem przebiła przednią szybę auta. Wóz wciąż pędził naprzód. Wprost na mnie! Odskoczyłem, uderzyłem o ścianę hotelu i poturlałem się po asfalcie. Porządnie sobie potłukłem ramię i brodę.

196

Oddałem kolejny strzał. Rozprysło się tylne światło. Teraz widziałem, że samochód to niewielkie coupe. Granatowa mazda MX-5- Mój sąsiad taką miał, dlatego rozpoznałem po wielkości i kształcie.

Rozpędzony wóz podskoczył na krawężniku i wypadł na jezdnię.

Wtedy gwałtownie się zatrzymał! Zapiszczały gumy jakiejś taksówki. Ledwie minęła coupe. Centymetry od całkowitego zniszczenia. 1 pojmania podejrzaney!

Kiedy się podniosłem i puściłem biegiem, niebieskie auto znów ruszyło.

Wyjąłem odznakę i gwałtownie otworzyłem drzwi taksówki od strony kierowcy.

— Policja! Potrzebuję tego wozu.

Taksówkarz zdążył tylko zobaczyć moją broń, ale chyba to mu wystarczyło. Natychmiast wysiadł i uniósł ręce.

— Bierz go pan!

Taksówka miała silnik V6. Dobrze, zapewne będę potrzebował całej mocy. Żeby jej nie marnować, wyłączyłem radio i klimatyzację.

— Alex? Gdzie ty, do cholery, jesteś? — w moim uchu rozległ się głos Bree, ledwie słyszalny przez ryk nadwerężonego silnika.

— Rozpaczynam pościg. Oby. Jadę O'Donnell Street na zachód — odpowiedziałem. — Gonię granatową mazdę MX-5. Rejestracja z Marylandu. Jedno tylne światło rozbite. Mam samochód w zasięgu wzroku. Kierowca to kobieta, chociaż z postury mogłaby być mężczyzną. Z siły też.

■— Może to mężczyzna w damskim ubraniu. Nasz zabójca lubi odgrywać role.

— To prawda. Ale tym razem chyba naprawdę kobieta. Musimy ją dopaść!

Mazda przemknęła obok wjazdu na autostradę i przecięła

197

kolejne skrzyżowanie. Jechała z prędkością co najmniej stu dziesięciu kilometrów na godzinę i wciąż przyspieszała.

— Bree, jeśli mnie słyszysz, oboje jedziemy O'Donnell Street na zachód. Odbiór!

— Dobrze, Alex. Słyszę cię. Już ruszamy. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

— Cholera! — wrzasnąłem. — Cholera!

— Co jest?! — odrzyknęła Bree.

Gwałtownie skręciłem, by ominąć żółtego volkswagena garbusa, który próbował skręcić w lewo. Idiota.

— Potrzebuję syreny. Albo wsparcia — wyjaśniłem.

— Medalion 5C742, podaj swoje położenie. — Nagle zatrzeszczał głos dyspozytorki taksówek. Tylko jej teraz brakowało. — Słyszysz mnie? Odbiór.

— Alex, co się dzieje? — pytała Bree. — Wszystko w porządku? Alex?

Sportowy wóz, ledwie zwalniając, wyprzedził ciężarówkę UPS, wyjeżdżając wprost pod nadjeżdżającą z przeciwka samochody. Uskakiwały na pobocze, by uniknąć kolizji z napierającą mazdą. Wcisnąłem gaz do dechy i ruszyłem w ślad za nią.

— Maryland 451JZW — podałem Bree numer rejestracyjny auta. — Nic mi nie jest. W każdym razie do tej pory. Kontynuuję pościg.

Nie zdejmowałem nogi z gazu — i zdołałem trącić tylny zderzak mazdy. Sportowy wóz zadrżał, lecz zaraz znów wyrwał do przodu.

— Bree? Zapisałaś numer rejestracyjny? Bree? Bree, gdzie jesteś?

Nie odpowiadała. Może wyjechałem poza zasięg. Teraz w uszach słyszałem już tylko własny puls oraz ryk silnika taksówki.

Rozdział 69

Wiedziałem, że sportowe coupe jest w stanie uciec mi na długiej prostej, ale na szczęście prowadząca auto nie dysponowała tą przewagą. Co więcej, mógłbym przysiąc, że pozwala mi się zbliżyć. Czy to się działo naprawdę? Czy to pułapka? O co tu chodziło? O to, żeby mnie wywabić, a potem napaść? Czy byłem celem? Kyle Craig mógłby na coś takiego wpaść. Czy on tu był? Czy brał w tym udział?

Wtedy zobaczyłem, co tak naprawdę było grane. Bez ostrzeżenia, bez świateł hamowania, mazda wystrzeliła w lewo, w wąską uliczkę. Dwa razy zarzuciło ją na boki, ale zaraz pomknęła naprzód jak rakietka.

Minąłem skrzyżowanie. Nie miałem szans w porę wykonać skrętu. Szybko zbliżała się kolejna przecznica, więc wjechałem w nią, licząc, że gdzieś dalej trafię na prostopadłą drogę.

Po obu stronach wznosiły się wysokie bloki mieszkalne, więc nie widziałem równoległej ulicy. Zbliżałem się do skrzyżowania w kształcie litery T z inną większą drogą. Boston Street, pomyślałem. Wiedziałem, że dalej jest port. To eliminowało kilka możliwości. Nieco ułatwiało mi zadanie. Oby.

199

Mogę ją dogonić — i aresztować, myślałem. To byłby największy jak dotąd przełom w śledztwie.

Gdy zbliżałem się do skrzyżowania, coupe śmignęło mi przed nosem. Dodałem gazu i wszedłem w zakręt na ślepo. To mogło być to. Tak czy inaczej.

Znajdowaliśmy się teraz na dwóch pasach ruchu i jechaliśmy w stronę miasta. Sportowe auto zwinnie manewrowało między samochodami, wyprzedzało po obu stronach, ale nie dawało rady mi uciec. Jak dotąd dotrzymywałem mu tempa. Znow wyjąłem glocka.

Kiedy kobieta za kierownicą mazdy ponownie spróbowała mnie zaskoczyć skrętem w prawo, tym razem byłem gotowy. Koła mojej taksówki ledwie trzymały się podłoża, ale zdołałem wykonać manewr z kilkucentymetrowym zapasem.

Przed nami wyrosło obsadzone drzewami osiedle mieszkalne. Dostrzegłem pieszych.

Ścisnęło mnie w piersiach. W taki ładny wieczór dzieci na pewno wyszły na dwór. Coupe nie zwalniało. Pruło naprzód, a nawet przyśpieszało.

Wcisnąłem klakson! Może w ten sposób odgonię ludzi od jezdni. Mazda przemknęła przez kilka przecznic, a ja mogłem jedynie podążać za nią w niewielkiej odległości. „Jeżeli nie jesteś pierwszy, to jesteś ostatni”. Ricky Bobby — demon prędkości.

Następna ulica, w którą skręciła kobieta, była zbyt wąska na tę prędkość. Mazda gwałtownie zwolniła, a ja w mig ją dopadłem.

Znowu uderzyłem w tylny zderzak, tym razem nie do końca umyślnie. Wiedziałem, że mocno potłukłem taksówkę.

Mazda z poślizgiem weszła w zakręt, wpadła na chodnik, a potem na czyjś trawnik. W ciemności usłyszałem kobiecy krzyk. Dwoje ludzi uskoczyło z drogi.

Koncentrowałem się do granic możliwości. Przed sobą z'''

200

baczyłem hotel Best Western. Co do cholery? Jakby wszystkiego było mało, właśnie zostałem przewieziony w kółko po Baltimore i rejonie portu.

Dopiero gdy przed nami ujrzałem autostradę, dotarło do mnie, o co chodzi. Kobieta w mazdzie wymyśliła sposób, by mi uciec.

A ja nie mogłem jej na to pozwolić!

Rozdział 7

W słuchawce znow rozbrzmiał głos Bree.

— Zabezpieczyć wszystkie wyjścia. Powtarzam: zabezpieczyć wszystkie wyjścia! — Najwyraźniej kontrolowała sytuację. Szkoda, że nie mogłem tego powiedzieć o sobie. — Alex? Alex? Słyszysz mnie? Alex?

— Bree! Jestem tutaj!

— Co się dzieje? Mów coś. Co to znaczy „tutaj”? Nic ci nie jest?

Mazda skręciła dokładnie tak, jak sądziłem. Jechała wzdłuż drogi szybkiego ruchu w kierunku 1-95. Znajdowaliśmy się zaledwie przecznicę od hotelu, czyli naszego punktu wyjścia. Ta cała jazda to była kolejna gra, prawda?

— Jedzie w stronę autostrady! Mazda jedzie na 1-95! Może ją jeszcze zatrzymam.

— Gdzie, Alex? Który wjazd?

— Ten przy hotelu, do cholery!

Ścisnąłem kierownicę, gotowy skrócić do wjazdu na autostradę, ale coupe minęło go na pełnej prędkości! Sekundę później minąłem go także ja.

I co teraz?

Niemalże w tym samym momencie zabłyśły światła hamo-

202

vania mazdy. Usłyszałem pisk opon i zobaczyłem, że auto wykonało obrót o prawie sto osiemdziesiąt stopni.

Kiedy ja wdepnąłem hamulec, sportowy samochód już przyśpieszał w moją stronę. Wyminął mnie i zanim zdążyłem zawrócić, wpadł na rampę wjazdową, wciąż nabierając prędkości. Zniknął w obłoku kurzu.

— 1-95 na północ! — wrzasnąłem do Bree. — Wciąż ją ścigam! Na razie.

Wpadłem na autostradę i przez kilka zjazdów wyciskałem z taksówki maksimum mocy, pędząc blisko sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. W końcu zdjąłem nogę z gazu i walnąłem pięścią w fotel pasażera.

Zawróciłem na następnym zjeździe.

Bree i Sampson czekali przed hotelem, a wraz z nimi kilka radiowozów lokalnej policji. Koguty błyskały w ciemności. Na dwór wyległa także większość uczestników konferencji i absolutnie rozkoszowała się całym tym chaosem i szaleństwem.

Na parkingu dopadł mnie stuczterdziestokilogramowy harleyowiec z siwą brodą.

— Ej, stary, co tam się, kurna, stało?

— Zjeżdżaj — powiedziałem, nie zatrzymując się.

Harleyowiec znów przeciął mi drogę. Miał na sobie chyba

stuletnią koszulkę Grateful Dead.

— Powiedz mi tylko...

Doskoczyłem do niego. Miałem ochotę kogoś walnąć. Może bym to zrobił, gdyby Sampson nie złapał mnie od tyłu.

— Hej, hej, spokojnie! — krzyczał. Na mnie.

Po chwili przybiegła Bree.

— Jezu, Alex, nic ci nie jest? — zapytała.

— Nie — odpowiedziałem, usiłując uspokoić oddech. — Słuchaj, to mógł być ZDW. Jego kolejny...

— To nie on — przerwała mi Bree, kręcąc głową. — A my natychmiast musimy jechać.

203

— O czym ty mówisz? — zapytałem, podczas gdy odciągała mnie od gapiów i ich dziwacznych pytań.

— Właśnie dzwonił Davies. W Krajowym Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej w Waszyngtonie doszło do morderstwa. Ofiarę zadźgano na oczach tłumu ludzi. Alex, on nas wrobił. Tym razem naprawdę nieźle nas załatwił. To wszystko było zaplanowane.

L

Rozdział 7

W przeszłości wielokrotnie odwiedzałem Krajowe Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej z dziećmi, ale nigdy nie widziałem czegoś takiego. Gdy przybyliśmy na miejsce, budynek — z wyjątkiem oszklonego atrium bufetu — z zewnątrz wyglądał mrocznie i złowroźnie. Po wejściu do środka ujrzeliśmy przy stolikach dziesiątki wstrząśniętych ludzi, którzy czekali na możliwość powrotu do domu. Wiedziałem, że to świadkowie. Wszyscy przeżyli dziś koszarne wydarzenie. Co gorsza, niemal w połowie były to dzieci, niektóre w wieku zaledwie dwóch lub trzech lat.

Rosnącą armię dziennikarzy i fotoreporterów otoczono kordonem na Siódmej Ulicy przy Muzeum Hirshhorna. Przynajmniej łatwiej mogliśmy uniknąć tych sępów.

Sampson, Bree i ja weszliśmy wprost z Independence Avenue. Gil Cook, jeden z naszych śledczych, czekał na nas przy wejściu do bufetu. W biegu dopadł do Bree, machając ręką nad głową.

— Detektyw Stone, dyrektor muzeum chce z panią porozmawiać przed...

— Po — odparła Bree i poszła dalej.

Teraz była w akcji i nikomu nie pozwalała ze sobą pogrywać.

207

Podobał mi się jej styl pracy oraz sposób, w jaki panowała nad miejscem zbrodni.

Gil Cook ruszył za nią jak skarcony szczeniak, który szuka odpadków ze stołu.

— Kazał powiedzieć, że idzie porozmawiać z prasą.

Bree zatrzymała się i obróciła do policjanta.

— Na litość boską, Gil, gdzie on jest?

Cook skierował ją we właściwą stronę, po czym ruszył za mną i Sampsonem. Minęliśmy pogrążoną w ciemnościach wystawę „Kamieni milowych lotnictwa”, gdzie z sufitu niczym ogromne zabawki zwisały samoloty naturalnej wielkości. Bardzo to filmowe — dokładnie w stylu naszego mordercy. Jego działanie coraz bardziej zaczynało mi przypominać postępowanie Kyle'a Craiga. Ta teatralność, ta zapalczywość. Czy ZDW studiował zbrodnię Kyle'a?

— Ofiara nazywała się Abby Courlevais. Lat trzydzieści dwa. Biała turystka z Francji. Najgorsze, że była w piątym lub szóstym miesiącu ciąży — powiedział nam Cook.

Do morderstwa doszło w kinie IMAX Lockheed Martin, gdzie w ciągu dnia pokazywano materiały muzeum, lecz wieczorem czasami puszczano hollywoodzkie hity. Zabójstwa dokonano dokładnie wtedy, kiedy ja wygłaszałem prelekcję w Baltimore. I wtedy dostałem liścik: „Zgaduj dalej, mądralo. Nie jestem chory psychicznie!... Do zobaczenia w Waszyngtonie, gdzie wszystko się odbywa...”.

Naprawdę robił, co mógł, żeby z nas zakpić — mocno się w to wczuwał. Każdym kolejnym czynem przyćmiewał poprzednie. Kim była ta kobieta w Baltimore? Ten kierowca rajdowy, który przewiózł mnie jak wariata tylko po to, by uciec na autostradzie?

Ciężarna ofiara, gość z innego kraju — i to bardziej „cywilizowanego” — skupi uwagę mediów w całkiem nowy sposób, a to jeszcze nie wszystko. Zabójca dokonał kolejnej

208

bardzo publicznej egzekucji w państwowym budynku. W świecie po jedenastym września oznaczało to intensyfikację wszystkiego — raportów prasowych, społecznej paranoi, presji wywieranej na policję, by zapanowała nad sytuacją i zakończyła sprawę, zanim zginą kolejni ludzie. Nikogo nie będzie obchodzić, że zadanie jest prawie niewykonalne. Ile lat zajęło schwytywanie Zabójcy znad Green River? Czy kiedykolwiek pojmano Zodiaka?

Jeśli chodziło o następny krok ZDW, nie chciałem nawet spekulować na ten temat.

Teraz musiałem zobaczyć ciało.

Właściwie dwa ciała.

Matki i dziecka.

Rozdział 7

— Niech go szlag! — powiedział Sampson rozjuszonym tonem, ale zdołał nie podnieść głosu. — To sukinsyn! Żałosny skurwiel!

Widzieliśmy różne miejsca zbrodni, ale to było szczególnie obrzydliwe i niepokojące. Przecież tutaj przychodziły rodziny w poszukiwaniu rozrywki. Kino IMAX miało wysokie ściany, oznaczone jedynie kierunkowymi reflektorami. Rzędy foteli z wysokimi oparciami wznosiły się stromo, wygięte we wklęsły łuk na podobieństwo współczesnej wersji dawnej sali wykładowej w akademii medycznej; włącznie ze zwłokami, prawda?

Ofiara podobno zginęła u podstawy wysokiego na pięć pięter ekranu. Wydawało mi się to dziwne, ale taką informację podał nam Gil Cook i jak dotąd nikt jej nie kwestionował. Ja chyba też nie powinienem. Na razie.

Ciało biednej kobiety leżało teraz twarzą do góry. Ręce miała spętane za plecami i nawet z daleka dostrzegłem srebrną taśmę izolacyjną która oklejała jej usta. Zupełnie tak jak w Riverwalk. Na palcu ofiary zauważyłem obrączkę.

Taśma miała ciemne ślady wokół ust w miejscach, gdzie krew nie znalazła ujścia. Zapewne wskutek urazów wewnętrz-

210

nych. Sukienka pani Courlevais była brudna i rdzawobrunatna. Vidać, że kobieta została dźgnięta nożem... wiele razy.

Obok okaleczonego ciała leżał duży płócienny worek. U góry miał metalowe oczka i był spleciony grubym sznurem.

Następny prezent od ZDW? Następny trop donikąd? Kolejne plamy krwi oraz kilka otworów w płótnie dowiodły tego, co wcześniej instynktownie przeczuwałem: ofiara została zadźgana wewnątrz worka. Okrutny morderca zostawił w nim Abby martwą lub umierającą. Sanitariusze wyciągnęli ją podczas próby reanimacji, ale było już za późno.

Uniosłem pusty worek, by się mu przyjrzeć. Z boku widniał wyblakły czarny napis POCZTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH oraz długi ciąg cyfr.

Czy to jego najnowsza wizytówka? Na pewno. Ale co miała oznaczać? Co tym razem mówił nam ZDW? I czy tego morderstwa dokonał on, czy jego naśladowca?

Świadkowie opisywali go jako mężczyznę w niebieskim uniformie i w czapce. Może kostium listonosza i ten worek to jakaś kpina?

Przeszedłem na drugi koniec sali w stronę drzwi, którymi wszedł morderca. Stojąc tam, spróbowałem sobie wyobrazić wydarzenia opisane przez detektywa Cooka. Zabójca musiał zaskoczyć panią Courlevais

— by mieć dość czasu na spętanie jej rąk, zaklejenie ust i założenie worka na głowę. Zasnęta krew we włosach wskazywała na uraz zadany tępym narzędziem, ale prawdopodobnie nie dość silny, by pozbawić ją Przytomności. Zresztą ZDW wolałby, żeby była przytomna. To zapewniło efektowniejsze przedstawienie.

Poza tym świadkowie zeznawali, że worek ruszał się, gdy morderca wciągnął go do sali.

Wróciłem do zwłok kobiety i rozejrzałem się po pustej Widowni. Tym razem publiczność znajdowała się bliżej niż Podczas poprzednich zabójstw, więc sprawca musiał działać

211

szybko. Nie miał czasu na długie przemowy ani tradycyjne obrzydliwe popisy. Dziś jego gwiazda nie mogła zalśniść pełnym blaskiem. Więc co czyniło tak atrakcyjnym to właśnie miejsce, tę publiczność, tę Francuzkę?

Oparł się przede wszystkim na efekcie wizualnym. Krzyknął: „Specjalna przesyłka!”, po czym natychmiast przeszedł do czynu — zadał sześć gwałtownych pchnięć nożem na tyle dużym, by dostrzegli go widzowie w ostatnich rzędach.

Spojrzałem na panią Courlevais, a potem na pusty worek obok niej.

Nagle przyszła mi do głowy nowa myśl. Co jeszcze mogło tam być schowane? Czy w worku na listy jest coś więcej?

Otworzyłem go, lękając się tego, co mogę znaleźć. W końcu dotknąłem płaskiego kawałka plastiku. Coś tam na pewno było. Ale co?

Wyciągnąłem ten przedmiot. Co, do cholery? Był to identyfikator pracownika pocztowego. Na oryginalne zdjęcie naklejono inne. Zmieniono też nazwisko. Teraz brzmiało: Stanley Chasen.

Osoba na fotografii odpowiadała wstępnemu rysopisowi sprawcy: starszy mężczyzna, zapewne po siedemdziesiątce, biały, siwy. Miał bulwiasty nos, na którym spoczywały okulary w rogowej oprawce. Wysoki i przysadzisty.

— Kim jest Stanley Chasen? — spytał Sampson.

— Zapewne nikim — powiedziałem. I wtedy do mnie dotarło. Już wiedziałem, co robi zabójca; zacząłem myśleć jak on i wcale nie podobało mi się to uczucie. — To wytwór wyobraźni tego zwyrodnialca. On tworzy postacie, a potem je odgrywa, jedną po drugiej. I wszystkie postacie w jego głowie to mordercy.

I... co? Chce, żebyśmy złapali ich wszystkich?

Rozdział 73

Opuściłem muzeum dopiero o piątej nad ranem, a na dodatek nasz dzień pracy wciąż się nie skończył. Wraz z Bree wysłaliśmy Sampsona do domu, do żony i dzieciaka, po czym znów pojechaliśmy do Baltimore — gdzie mieliśmy kupę papierkowej roboty, poza tym musieliśmy spróbować zrozumieć całą tę sytuację.

Po drodze rozmawialiśmy o wspólnicze ZDW z hotelu Best Western, która kierowała sportowym autem. Czy została wynajęta tylko na ten wieczór? Czy też brała udział w mordowaniu od samego początku? Na razie nie potrafiliśmy tego ustalić, jednak podczas drogi autostradą 1-95 ten scenariusz posłużył jako podstawa licznych spekulacji, częściowo związanych z Kyle'em Craigiem i jego ucieczką

z ADX Florence.

Gdy w końcu dotarliśmy do Best Western, spędziliśmy w samochodzie minutę przytuleni, ale to wszystko — uścisk i pocałunek. Byliśmy potrzebni w hotelu. O tak wczesnej godzinie nie mogłem zadzwonić do domu, więc uznałem, że Poczekam. Jak się okazało, możliwość pojawiła się dopiero Późnym rankiem. Gdy w końcu zadzwoniłem, odezwała się automatyczna sekretarka.

213

Postanowiłem nagrać pogodną wiadomość, drastycznie kontrastującą z moim rzeczywistym nastrojem.

— Cześć, kurczaczki, mówi tata. Słuchajcie, będę pracował cały ranek, ale po południu wrócę do domu. Obiecuję. Zapowiada się dobry wieczór na wypad do kina. Oczywiście pod warunkiem, że dacie się przekonać.

I że wcześniej nie zasną.

Bree podniosła zmęczony wzrok znad papierów i uśmiechnęła się do mnie.

— Na pewno też padasz ze zmęczenia. Jesteś dobrym ojcem, Alex.

— Robię, co mogę. Za to na pewno czuję się winny.

— Nie — powtórzyła Bree. — Jesteś dobrym ojcem. Zaufaj mi. Ja miałam złego.

Jak się okazało, do domu na Piątej Ulicy dotelepałem się dopiero po piętnastej. Uznałem, że wystarczy przysnąć i małe co nieco z kuchni, a będę jak nowy. I może jeszcze godzinka albo dwie drzemki.

Gdy wysiadałem z samochodu, zobaczyłem Jannie ze smutną miną. Stała na ganku i obserwowała, jak idę ścieżką. Twarz miała nieruchomą a gdy nasze spojrzenia się spotkały, nie drgnęła i nie odezwała się słowem.

— Co się dzieje? — spytałem, wskakując po schodkach. — Coś się stało, prawda?

— Tak, tato, stało się. Damon uciekł.

Bezwiednie przekrzywiłem głowę. Co?! Może byłem półprzytomny i źle zrozumiałem.

— Uciekł? O czym ty mówisz? Gdzie on jest?

— Wyszedł z domu pięć godzin temu i jeszcze nie wrócił. Nikomu nie mówił, dokąd idzie. Ani słowa. Nana się zamartwia.

To się nie kleiło. Nie w przypadku Damona. Normalnie nie zrobiłby czegoś takiego.

214

— Pięć godzin temu? Jannie, co się dzieje? Czy coś mi umknęło?

Jannie wbiła we mnie wzrok.

.— Był tu dziś trener koszykówki z Cushing. Chciał z tobą porozmawiać. Nie przyjechałeś na spotkanie. On był z tego liceum w Massachusetts.

— Janelle, wiem, co to jest Cushing — powiedziałem.

W tym momencie na ganek wyszła Nana. Mały Ali podążał pół kroku za nią.

— Rozmawiałam z jego kolegami i rodzicami, do których się dodzwoniłam. Nikt go nie widział — powiedziała Nana.

Wyciągnąłem telefon.

— Zadzwoń do Sampsona. Możemy...

Nana mi przerwała.

— Już z nim rozmawiałam. Przeszukuje okolicę.

W tym momencie telefon zawibrował mi w dłoni. Na ekranie pojawiło się nazwisko Sampsona.

— John? — powiedziałem do słuchawki.

— Alex, znalazłem Damona.

Rozdział 7

— Gdzie on jest? Gdzie ty jesteś? — zapytałem.

W mojej głowie kwitły już paranoiczne myśli. Przecież Kyle Craig groził mojej rodzinie. ZDW też twierdził, że nas obserwuje.

— Jesteśmy w podstawówce Sojourner Truth. Day kręcił się po mieście, a potem przyszedł tutaj, żeby pograć w kosza. Pogadaliśmy. Jest gotowy wrócić do domu. Będziemy za parę minut.

— Nie. Ja przyjadę do was — powiedziałem.

Nie do końca wiedziałem dlaczego. Po prostu czułem, że tak będzie właściwie. Że to ja muszę przyjechać do Damona, a nie on do mnie.

— Tatusiu, mogę jechać z tobą?

Ali podniósł na mnie wzrok i wyciągnął rączki, a w ciekawskich brązowych oczach jak zwykle lśniła gotowość na kolejną przygodę.

— Nie tym razem, szczeniaczku. Niedługo wrócę.

— Zawsze tak mówisz.

— To prawda. I zawsze wracam.

Wcześniej czy później.

Pojechałem do szkoły, tej samej, do której kiedyś uczęszczali Damon i Jannie, a Ali zacznie tu chodzić, nim się obejrzę.

216

[]ay i Sampson grali jeden na jednego. Łomotali piłką w spękane betonowe boisko. Damon wciąż miał na sobie spodnie khaki i elegancką niebieską koszulę, którą pewnie włożył na spotkanie z trenerem. Z tylnej kieszeni zwiisał czerwono-czarny krawat. Gdy podszedłem, właśnie z łatwością zdobył punkty.

Wsunąłem palce w ogrodzenie.

— Nieźle zagranie — powiedziałem. — Oczywiście drogi do kosza bronił tylko stary facet.

Damon zachował spokój — a wręcz chłód — i nawet na mnie nie spojrzął.

Sampson pochylił się i ugiął kolana. Pot ściekał mu po twarzy, i to nie tylko z powodu trzydziestostopniowego upału. Damon był dobry i robił się coraz lepszy. Większy, lepszy i dużo szybszy niż dotychczas. Zdałem sobie sprawę, że dawno nie widziałem, jak gra.

— Teraz ja! — zawołałem do Sampsona.

Unióś palec wskazujący, dając wyraźny znak: „Ja odpadam”.

— Nie trzeba. Koniec gry — powiedział Damon.

Gdy wyszedł przez furtkę obok mojego auta, złapałem go za ramię. Chciałem, żeby na mnie spojrzął, i wreszcie to zrobił. Wzrok jak sztylet. Ostry i głęboko raniący.

— Damon, przepraszam za dzisiaj. Nic nie mogłem poradzić.

— Jeśli wszystko w porządku, to ja się będę związał — rzucił Sampson.

Po drodze poklepał Damona po plecach. Wielkolud wiedział, kiedy jest potrzebny, a kiedy powinien odejść.

— Usiądźmy.

Wskazałem na kamienne schody szkoły. Damon niechętnie spoczął obok mnie. Widziałem, że jest wkurzony, ale może także nieco skołowany. Prawie nigdy tak się nie kłóciliśmy, nie pozwalaliśmy, by sprawy zaszły tak daleko. To dobry dzieciak — nawet świetny — i zwykle byłem z niego dumny.

217

— Chcesz zacząć? — spytałem.

— Dobrze. Gdzieś ty był, do cholery?

— Oho — powiedziałem. Wytrąciłem mu z rąk piłkę i zatrzymałem na schodku. — Day, nie wolno ci się tak do mnie odzywać, choćby nie wiem co. Porozmawiamy, ale z szacunkiem.

Przybrałem minę twarziela. Day nie mógł poznać, jak bardzo mnie zranił. Pewnie musiał się odegrać. Rozumiałem to. Ale zasady to zasady.

— Przepraszam — wymamrotał, chyba nawet w miarę szczerze.

— Damon, w tym dochodzeniu dosłownie rzucam się z prawa na lewo. Wczoraj wieczorem i dziś rano. W ogóle nie spałem, a tu w Waszyngtonie ktoś zginął. To nie twoje zmartwienie, ale taka jest prawda. W mieście giną ludzie, a moim zadaniem jest to powstrzymać. Przykro mi, ale to problem, z którym obaj będziemy musieli sobie poradzić.

— To spotkanie było dla mnie ważne, tak jak dla ciebie ważna jest praca — powiedział Damon.

— Wiem. I zrobię wszystko, żeby ci to wynagrodzić. Jeśli będziemy musieli pojechać do Cushing, to tak zrobimy. Dobrze?

Wiele chciałem mu powiedzieć, począwszy od faktu, że nic nie jest dla mnie ważniejsze niż jego szczęście, nawet jeśli czasem ma wrażenie, że jest inaczej. Ale to przemilczałem. Nie komplikowałem sprawy. Damon patrzył w ziemię i bawił się piłką.

W końcu podniósł wzrok.

— Okej. Byłoby dobrze.

Wstaliśmy i podeszliśmy do samochodu. Gdy wsiadał, poruszyłem ostatai temat, o którym musiałem coś powiedzieć.

— Damon, uciekłeś z domu, nie zgłosiłeś się mimo naszej zasady, zdenerwowałeś babcię...

218

Tak, przykro mi.

Mnie też, bo masz szlaban.

Wiem — odparł Damon i wsiadł do wozu.

Zanim dojechaliśmy do domu, powiedziałem: — Zapomnij o szlabanie. Po prostu przeproś babcia.

Rozdział 7

Oto wskazówka, która naprawdę przydałaby się gliniarzom, kawałek rodzinnej rzeczywistości, o której nigdy się nie dowiedzą. Bo gdyby się dowiedzieli, to ZDW już by nie żył, prawda?

Daleko w Wirginii skorzystał z automatu telefonicznego, żeby odbyć tę samą rozmowę, którą przeprowadzał każdej niedzieli. Teraz, gdy był już spełnionym kryminalistą pełną gębą, nie ryzykował bezsensownego korzystania z komórki, szczególnie gdy dzwonił pod ten konkretny numer. Jakiś sprytny lub mający fart gliniarz mógł go w końcu namierzyć, choć to wątpliwe. Czy w ogóle jest coś takiego jak sprytny gliniarz?

Usłyszał znajomy głos, od którego aż zazgrzytał zębami.

- W Meadow Grove mamy piękny dzień. Z kim połączyć?
- Poproszę pokój sześćdziesiąt dwa.
- Nie ma sprawy.

W słuchawce pstryknęło, po czym znów zabrzmiał sygnał. Tylko jeden, bo zaraz potem ktoś odebrał telefon.

- Halo. Kto mówi?
- Cześć, mamó. Zgaduj.
- Boże święty, nie wierzę, że to ty. Skąd dzwonisz? Wciąż jesteś w Kalifornii?

220

Za każdym razem rozmowa zaczynała się właśnie tak. W pewnym sensie dzięki temu było łatwiej, wygodniej dla obojga, całkowicie sztucznie.

- Zgadza się. Właśnie stoję na rogu Hollywood Boulevard i Vine Street.
- Na pewno jest pięknie, prawda? Pogoda, gwiazdy kina, Pacyfik i w ogóle.
- To prawda. Tu jest jak w raju. Niedługo będziesz musiała do mnie przylecieć. A co u ciebie? Masz wszystko, czego ci trzeba?

Kobieta zniżyła głos do szeptu.

— Pamiętasz tę kolorową dziewczynę, która przychodzi sprzątać? Chyba kradnie mi biżuterię.

— Mhm.

Wątpliwe. Całą biżuterię matki sprzedał dawno temu. W ten sposób sfinansował początek kariery aktorskiej, a potem przez jakiś czas ją utrzymał.

— Ale dość o mnie. Opowiadaj o sobie. Wszystko. Uwielbiam, kiedy telefonujesz. Twój brat i siostra prawie nigdy nie dzwonią.

Jej akcent potwornie działał mu na nerwy, choćby dlatego, że pozbycie się tej naleciałości kosztowało go tyle pracy. W przeciwieństwie do rodziców od wczesnych lat zamierzał coś osiągnąć, wybić się ponad skromne pochodzenie. Teraz już znalazł się na szczycie. Wyjątkowa istota, nie było takiego drugiego jak on.

— Mówiłem ci już, że niedługo wychodzi duży film, w którym grałem? Wszyscy na niego pójdą. W każdym razie studio tak uważa. Paramount Pictures.

Usłyszał szybkie wciągnięcie powietrza.

— Niemożliwe!

— To prawda, mamo. Gram w nim ja, Tom Hanks i Angelina Jolie...

221

— Och, uwielbiam ją. Jaka jest prywatnie? Miła czy nadęta?

— Naprawdę miła. Bardzo kocha swoje dzieci. Pokazałem jej twoje zdjęcie i opowiedziałem o tobie. To właśnie ona kazała mi do ciebie zadzwonić.

— Oooch! Droczysz się ze mną? Aż mi ciarki przeszły. Angelina Jolie! No i Tom Hanks. Wiedziałam, że ci się uda. Jesteś taki zdeterminowany.

Ten telefon, opowiadanie o aktorstwie — przychodziły z taką łatwością, to najmniej, co mógł zrobić. A może najwięcej. Przecież i tak nigdy nie pojedzie do matki z wizytą. Nie tak jak Kyle Craig ostatnio w Kolorado.

— Niech no tylko opowiem o tym twojemu ojcu. Wiesz, że niedługo jego urodziny, prawda?

Ta rodzina naprawdę miała szaleństwo we krwi, co? Matka pamiętała o jego urodzinach, ale nie o tym, że dwadzieścia parę lat temu stary strzelił sobie w łeb. Rozmowa robiła się przygnębiająca. Pora kończyć.

— Posłuchaj, niedługo wracam na plan, więc muszę się już pożegnać.

— Dobrze, skarbie, rozumiem. Miło cię było słyszeć. Pokaż, na co cię stać. Niech wszyscy padną trupem!

Aż się roześmiał.

— Dobrze. Tak właśnie będzie. Na twoją cześć, mamó. Dam im popalić.

Rozdział 7

W czwartek koło południa zadzwoniła Bree. Wiadomość, którą od niej usłyszałem, nie należała do przyjemnych, ani trochę.

— Alex, nie bądź na mnie wściekły, ale nie dam rady wyrwać się na weekend. Cały czas będę pracować. Przepraszam. Przepraszam. Strasznie przepraszam.

Chcieliśmy zrekompensować sobie przerwana wycieczkę pod namiot, ale oczywiście miała rację. To zdecydowanie nie był dobry moment. Ba, chyba nie mógł być gorszy, biorąc pod uwagę burzę wokół ZDW. Nie wspominając o tym, że na wolności przebywał Kyle Craig i nie mieliśmy informacji o jego położeniu.

— Może zrekompensuję ci to dziś wieczorem i zaproszę na drinka? — zaproponowała. — Co powiesz na Sheraton Suites na starym mieście o dziewiątej? Pamiętasz to miejsce?

— Oczywiście, że pamiętam. Będę. Sheraton Suites. Dziewiąta.

Wszyscy byliśmy teraz nieco sfrustrowani, ale my dwoje najbardziej. Pracowaliśmy nad sprawą ZDW ciężiej niż kiedykolwiek, a przyniosło nam to tylko masę pytań bez odpowiedzi oraz kilka makabrycznych morderstw. W jaki sposób dał radę

223

odstawić ten numer w Baltimore i jednocześnie dokonać zabójstwa w muzeum? Kim była tajemnicza kobieta, która mu pomogła? Co oznaczały liczby na worku pocztowym?

I co się stanie, jeśli zabójca znów spróbuje przebić własne dzieło? To pytanie wisiło nad nami jak miecz — prawdopodobnie zamiast „jeśli” należało powiedzieć „kiedy”.

Stwierdziłem, że wizyta w Sheraton Suites w Alexandrii będzie dla nas przyjemną podróżą sentymentalną. Właśnie tam spędziliśmy z Bree pewien szczególny wieczór. Sheraton znajdował się w samym środku historycznego starego miasta, kawałek od nabrzeża Potomacu. To dobre miejsce na zakończenie tego dnia i nie mogłem się doczekać, kiedy zobaczę Bree.

Nieco przed dziewiątą zająłem miejsce w hotelowym barze Fin and Hoof i zamówiłem zimne piwo z beczki. Barman, krzepki młody gość z pokaznym wąsem, zmierzył mnie wzrokiem.

— Jesteś Alex?

Poczułem lekki niepokój. Obcy ludzie prawie nigdy nie przekazują gliniarzom dobrych wieści.

— Zgadza się — powiedziałem.

Podał mi kopertę z logo hotelu. Poznałem pismo Bree i natychmiast otworzyłem list. Przeczytałem: Alex, zmiana planów. — B.

W kopercie znalazłem też hotelową kartę do drzwi.

— Miłego wieczoru, Alex — powiedział barman z uśmiechem sugerującym, że Bree sama wręczyła mu tę kopertę. — Jestem pewien, że właśnie taki będzie.

Rozdział 7

Pojechałem windą na trzecie piętro Sheraton Suites i zastukałem do drzwi apartamentu 3B. Wszystko było dokładnie takie, jak zapamiętałem. Najpierw poczułem przyjemną woń. Byłem jednak zaskoczony, gdy Bree otworzyła drzwi w dżinsach i bluzce. Szczerze mówiąc, liczyłem, że będzie bardziej skąpo ubrana.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci ta spontaniczność — powiedziała, podając mi kieliszek czerwonego wina.

Miało korzenną woń. Zinfandel? W zasadzie gatunek ani marka mnie nie interesowały.

Zacząłem całować Bree, a moja dłoń natychmiast zsunęła się po jej plecach. Nagle mnie objęła. Usłyszałem za sobą głucho stuknięcie zamykanych drzwi i otoczyły nas łagodne, błękitne i kremowe barwy apartamentu. Dobry pomysł. Odsunąć °d siebie cały świat na tak długo, jak tylko mogliśmy.

Zastłony były już zaciągnięte, łóżko gotowe, wszystko na swoim miejscu.

-- Łóżko wygląda zachęcająco. I dobrze się w nim śpi, Pamiętam.

— Rozbieraj się — powiedziała z szelmowskim uśmiechem. — Nawet nie myśl o spaniu.

225

Spojrzałem na nią znad kieliszka.

— Śpieszysz się gdzieś?

— Wcale.

Bree opadła na wyłożony poduszkami fotel, by się przyglądać. Miała błysk w oku.

— Jeśli chcesz, może być powoli. Proszę bardzo. Tylko wreszcie coś z siebie zdejmij. Wcale mi się nie śpieszy.

Zatem zrobiłem, co mi kazała. Jeden guzik, jeden pocałunek. Para spodni, dwa pocałunki — mniej więcej tak.

Potem Bree się podniosła. Podeszła i objęła mnie.

— Nie odbierz tego źle, ale wciąż mi się nie śpieszy.

W końcu upadliśmy na łóżko, które bezapelacyjnie było wygodne.

— A ty? — spytałem. Nadal nic z siebie nie zdjęła.

— Och, zdążę cię dogonić. Wcześniej czy później. Tobie się gdzieś śpieszy?

Wyciągnęła się na mnie i sięgnęła do szuflady nocnej szafki. Co tam było?

Wyjęła ostatnią rzecz, którą spodziewałem się zobaczyć: dwa kawałki sznura.

Hmm, ciekawy obrót wydarzeń. Serce zaczynało mi łomotać.

— To dla ciebie czy dla mnie? — spytałem.

— Powiedzmy, że dla nas obojga.

Ufałem Bree, prawda? Żadnych wątpliwości, żadnych podejrzeń? No, może w tej chwili nasuwało mi się kilka pytań. Kilkoma ruchami mocno, lecz nie dotkliwie przywiązała mi lewą rękę do łóżka. Potem mnie pocałowała. Jeden uspokajający pocałunek w usta, a potem drugi, mocniejszy. Czy tak naprawdę znałem Bree?

— Czy tu się robi gorąco, czy tylko mi się wydaje? zapytałem.

— Mam nadzieję, że robi się gorąco — odparła.

Następnie przywiązała mi drugą rękę. Naprawdę znała się na węzłach.

226

To dlatego zostałeś policjantką? Pani detektyw wszystkich chce sobie podporządkować?

Możliwe, panie doktorze. Wkrótce się okaże, prawda?

Wyglądasz bardzo apetycznie.

— Twoja kolej — powiedziałem. — Zdejmuj ciuchy.

Z flirciarskim błyskiem popatrzyła na mnie tymi swoimi wielkimi orzechowymi oczami i muszę powiedzieć, że mi się zaczynało podobać — chociaż wciąż nie do końca wiedziałem, co się dzieje.

— Powiedz „proszę”.

— Proszę. Ale możemy się trochę pośpieszyć?

— Ach, czyli jednak ci się śpieszy?

- Odrobinę zaczęło.
- Odrobinę, co? Nie wiem, czy „odrobinka” to teraz właściwe słowo.

Na pierwszy ogień poszła jej bluzka — powoli — a potem dżinsy. Bree została w delikatnym błękitnym staniku z koronki, pełnym po brzegi, oraz majteczkach w tym samym kolorze, których wcześniej nie widziałem. Świetnie pasowały do łagodnych barw apartamentu.

Spróbowałem wyciągnąć do niej rękę, ale zatrzymały mnie sznury.

- Chodź do mnie, Bree. Pocałuj mnie — powiedziałem. — Proszę, pocałuj. Tylko tyle.
- Tylko tyle, co? I ja mam w to uwierzyć?

Wreszcie mnie pocałowała — chociaż najpierw bardzo niespiesznie całego mnie smakowała. Obróciłem się i splotłem nogi z jej nogami. To wszystko, co mogłem zrobić. Coraz bardziej chciałem się poruszać, ale niespecjalnie mi przeszkadzało, że nie mogłem. Zdecydowanie miałem ochotę na detektyw Bree Stone i zaczynało mi się już bardzo śpieszyć.

- No, no, no — rzekła z uśmiechem. — To działa lepiej, niż myślałam. Powinniśmy tu częściej przyjeżdżać.

227

- Zgadzam się. Może co wieczór?

W końcu położyła się na mnie. Jej usta były o centymetry od moich, ciepłe piersi opierały się o mój tors, a jej oczy były z tej odległości przepiękne.

- Chciałbyś, żebym rozwiązała te paskudne sznury?
- spytała.

Kiwnąłem głową ciężko oddychając.

- Tak.
- Co „tak”?

Paznokciami delikatnie drapała mój tors, potem nogi, a potem pomiędzy nogami. Zadrzałem od jej dotyku, nie mogłem tego powstrzymać.

- Tak, proszę! Czy tutaj chodzi o kontrolę? — zapytałem ponownie.
- Nie, doktorze Cross. Tu chodzi o zaufanie. Ufasz mi?
- A powinienem?
- Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie.

- Tak. Ufam ci. Czy to mądre?
- Bardzo mądre. Inaczej nie moglibyśmy być razem.

Zaśmiałem się.

- A ja chcę, żebyśmy byli razem. W zasadzie to natychmiast.
- Czyżby?
- Widzę, że kręcą cię tortury.
- Mhm.

W końcu Bree wyciągnęła się na mnie i dwoma szybkimi szarpnięciami uwolniła mi ręce. Byłbym pod wrażeniem jej znawstwa w zakresie węzłów, gdyby moich myśli nie zaprzętało w tej chwili coś zupełnie innego. Obróciłem Bree, by znaleźć się na górze, pocałowałem ją, a potem w nią wszedłem. Głęboko, bardzo głęboko.

- Powoli — szepnęła. — Niech to trwa.

Dopiero później dotarło do mnie, że od początku to właśnie był jej cel: żeby to trwało.

228

Obopólnie korzystna sytuacja, nocna ucieczka od całego szaleństwa.

Może nawet byliśmy gotowi na to, co miało nadejść. A może właśnie zupełnie nieprzygotowani. Ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia.

— W pokoju jest bezprzewodowy Internet. Wszystko, czego można sobie życzyć. Powinniśmy sprawdzić, co słychać na świecie? — spytała Bree po pierwszym razie. — Zdecydowanie... nie powinniśmy... niczego sprawdzać.

mtM

Rozdział 78

Następnego dnia wczesnym rankiem wielki Kyle Craig przekroczył bramy Uniwersytetu Chicagowskiego. Miał na sobie ubranie, które jego zdaniem w dzisiejszych czasach wykładowca włożyłby na zajęcia: spodnie khaki, adidasy, niebieska koszula z dżinsu, szara kamizelka z dzianiny oraz taki sam krawat. Strój wydawał mu się w komiczny sposób zadowalający. Sama myśl, że mógłby uczyć młodych ludzi, mój Boże! Przynajmniej sam siebie bawił, jeśli nie mógł innych.

Wcześniej zapoznał się ze stroną internetową uczelni, więc teraz ruszył wprost do wielkiej biblioteki imienia Regensteina. Wziął kilka pozycji z księgozbioru podręcznego i po paru minutach był już w czytelni

studium podyplomowego... i tworzył kolejną wiadomość dla ZDW. Tym razem zdecydował się na ostrożniej sze rozwiązanie i ukrył wiadomość w pliku z fotografią. Dowiedział się o steganografii w więzieniu, gdy snuł plany na przyszłość.

Znów się spotykamy, drogi Przyjacielu. Mam nadzieję wkrótce trafić w Twoje zakątki. Będzie to dla mnie przyjemna podróż sentymentalna, a poza tym wyjątkowa szansa, by poznać Twoje dzieło z nieco bliższej perspektywy. W końcu tworzysz

230

historię. Obaj tworzymy. Wszystko tak pięknie się układa. Jeśli chcesz się ze mną spotkać osobiście, będę tam, gdzie X znaczy miejsce, o północy w drugą sobotę od teraz.

Jeśli nie przyjdiesz, w pełni to zrozumiem. Bądź co bądź pracuś z Ciebie. A przy tym uzdolniony artysta. Jestem pod wrażeniem Twego dzieła i czekam z niecierpliwością na następny występ.

Kyle Craig skończył pisać, ponownie przeczytał swój list, po czym wcisnął „wyślij”.

— Jeśli nie zrozumie „X oznacza miejsce”, to nie zasługuje na spotkanie twarzą w twarz.

Rozdział 7

Po drodze do hotelu, który znajdował się tuż przy Michigan Avenue, Kyle Craig trzykrotnie zmieniał taksówki. Czuł się podekscytowany tyloma rzeczami, nawet tym, że jest na wolności w Chicago, jego ulubionym mieście, o ile czystszy i weselszy niż Nowy Jork i Los Angeles, a nawet Waszyngton.

Wolność to nie lada pojęcie, myślał, jadąc trzecią i ostatnią taksówką po ruchliwej Michigan Avenue. Zwłaszcza gdy spędziło się tyle czasu w norze o wymiarach dwa na trzy i pół metra w ADX Florence. Życie w więzieniu to okrutna i niezwykła kara. To tak, jakby się śmiertelnie dusić, powoli, boleśnie, przez lata. ADX Florence dosłownie miażdżyło więźniów na śmierć niczym żywa istota.

Ale teraz był na wolności.

Miał do załatwienia ważne sprawy, w tym realizację niezwykle ekscytującego planu zemsty na wszystkich, którzy kiedyś go skrzywdzili. Wszystkich! W jego przypadku zwykle chodziło o zemstę, o to, by ranić — a czasem torturować — ludzi, którzy go urazili. To z pewnością nie uległo zmianie. Wykonanie planu mogło zająć lata. W końcu to jego arcydzieło.

Przez chwilę myślał o ZDW. W zasadzie Kyle zetknął się z nim po raz pierwszy, gdy jeszcze pracował w FBI. Zabójca

232

mieszkał i działał na Zachodnim Wybrzeżu. Był aktorem, który odgrywał małe rólki i od czasu do czasu przeplatał je morderstwami. Kyle skojarzył z nim zabójstwa w Sacramento, Seattle i Los Angeles. Nawiazał — dwukrotnie — kontakt e-mailowy. Potem jednak sam dał się złapać, czego w ogóle nie brał pod uwagę. Jak na ironię, właśnie przebywając w więzieniu, przekonał się, jak wielu ma fanów... i

naśladowców. W zasadzie to miało sens. Gdy Supermózg trafił za kratki, w końcu było wiadomo, gdzie go szukać, a kilku najbardziej bystrych osobników obmyśliło sposób, by się z nim skontaktować.

Na razie wystarczyło tej starożytnej historii. Straszna nuda. Patrzcie na tych wszystkich zombi na Midway Plaisance! — pomyślał, pędząc taksówką. Kilku z nich też by chętnie zabił, ale niestety działał według harmonogramu, chociaż sam go sobie narzucił.

W hotelu nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Wyobraźcie sobie! Żadnych wyrazów szacunku ani braku szacunku — to dobrze. Prawda? Włosy miał przystrzyżone przy samej skórze i zwykle nosił jedną z sześciu masek, które miał w walizce.

Dotarł do pokoju, rozmyślając o ZDW i o tym, co dla niego zaplanował. Wsunął kartę do drzwi i usłyszał, że w środku ktoś jest.

Co to? Gość? Przecież zostawił na kłamce wywieszkę „Nie przeszkadzać”.

Wyjął małą beretkę, którą z łatwością ukrywał pod luźnym ubraniem.

Tak, w środku z pewnością ktoś był. Ciekawy rozwój wydarzeń. Kto? Alex Cross? Nie, na to nie było nawet cienia szansy. ZDW? Tu, w Chicago? Wątpliwe. Miejskowa policja? To już bardziej prawdopodobne.

Otworzył drzwi i zobaczył pokojówkę, młodą czarnoskórą kobietę. Słuchała iPoda. Nie zważała na cały świat i ktoś by

233

się dziwił? Całkiem niebrzydka zresztą. Duży biust, długie, szczupłe nogi i bose stopy, które poruszały się na dywanie. Gładka skóra. Włosy mocno związane w kucyk. Boże, jak mu tego brakowało — tęsknił każdego dnia spędzonego w więzieniu, po kilka razy dziennie.

— Prze... przepraszam — odezwała się przeciągle dziewczyna, kiedy go zobaczyła.

Broń zdążył schować za plecy. Nie chciał wystraszyć biedactwa na śmierć.

— Och, żaden problem. Proszę spokojnie dokończyć — powiedział, wsuwając pistolet do kabury pod kamizelkę.

Wyciągnął za to swój szpikulec do lodu. Bawił się nim w dłoni jak Queeg z Buntu na okręcie tymi metalowymi kulami.

— Za ładna jesteś na taką robotę przy sprzątaniu pokoi. Przepraszam, jeśli cię tym obraziłem. Ostatnio zupełnie zapomniałem o dobrych manierach.

— Wró... wróć później — wyjąkała dziewczyna, nie patrząc na niego.

— Nie — powiedział Kyle. — Akurat nie wrócisz. Życie pozagrobowe nie istnieje.

Następnie szepnął: „Na moją cześć” i pchnął pokojówkę szpikulcem w pierś, raz, dwa razy — dla symetrii, dla sztuki, dla przyjemności. Przypomina mi którąś z dziewczyn Alexa Crossa, pomyślał. I dźgnął jeszcze raz.

Zanim opuścił pokój, zostawił nawet kolejny trop: figurkę z kiwającą się głową, przedstawiającą wielkiego przestępcę Jessego Jamesa.

Jesse James! Czy ktokolwiek zrozumie to nawiązanie?

Ktokolwiek zdrowy na umyśle?

Rozdział 80

Nana zarzeka się, że wszystko co dobre zawsze przychodzi dwójkami i trójkami, chociaż nie pamiętam, żebym tego kiedykolwiek doświadczył. Ostatnio trudno nawet o jedną pozytywną rzecz.

Rano porozmawiałem z redaktorem Tess Olsen z nowojorskiego wydawnictwa, a następnie z jej asystentką z Marylandu. Udało mi się zdobyć kopię konspektu książki, którą Olsen zamierzała napisać o Kyle'u Craigu. Moją szczególną uwagę zwróciło kilka zdań z trzydziestostronicowego planu. Olsen napisała:

Ważne, by zdobyć zaufanie Kyle 'a Craiga, tak by wierzył, że napiszę pochlebną książkę, opisującą w szczegółach jego spryt i błyskotliwość.

Po naszych spotkaniach w ADX Florence doszłam do wniosku, że temu podołam. Craig mnie lubi. Już to widzę. W końcu nikt nie rozumie umysłu kryminalisty lepiej niż ja, prawda?

Moim zdaniem Kyle Craig wierzy, że pewnego dnia wydostanie się z ADX Florence. Robi plany na przyszłość.

Oznajmił mi nawet, że jest niewinny. Czy to możliwe?

235

Najwyraźniej Kyle Craig oszukał kogoś jeszcze... i co potem? Zaaranżował jej morderstwo? Czy może zabójca lub zabójcy w Waszyngtonie zamordowali Tess Olsen w ramach hołdu dla Craiga? Czy istniała taka możliwość?

Tak czy inaczej musiał istnieć jakiś związek i była to jedna z niewielu autentycznych poszlak, które mogły nam pomóc w schwytaniu ZDW. Albo i Kyle'a Craiga.

Kiedy ponownie analizowałem w myślach wszystko co związane z tym śledztwem, pojawiła się druga pozytywna rzecz. Nagle rozwiązałem jeden z elementów łamigłówki i pasował on do zdobytych informacji na temat Tess Olsen.

Kartka firmy Hallmark — wreszcie zrozumiałem! Dotarło do mnie, że Hallmark ma siedzibę w Kansas City — KC.

KC — Kyle Craig.

Prędko wyjaśniła się kwestia kilku innych tropów.

W mieszkaniu kobiety w Iowa City, o której morderstwo podejrzany był Kyle Craig, znaleziono figurkę „Zwiadowcy”. To słynna rzeźba stojąca w Kansas City.

W kuchni matki Craiga stała butelka sosu barbecue Arthur Bryant's. Arthur Bryant's to znana restauracja w KC.

W końcu jakiś przełom, nawet jeśli dotyczył wskazówek, które zabójca specjalnie dla nas zostawił.

Dlaczego? Czy okazywaliśmy się godni tego polowania? Czy ja okazywałem się godny?

Czy na pewno?

Rozdział

O kolejnym kroku ZDW dowiedzieliśmy się niecałe trzy dni później. Przyjąłem porannych pacjentów — w tym weterana Anthony'ego Demao, który wrócił i na dowód tego podczas sesji wpadł w szał — a potem dołączyłem do Bree w Dały Building. Moje biurko bezsensownie zasypywały sterty materiałów ze śledztwa w sprawie ZDW, w większości niestety związanych z tropami wiodącymi donikąd. Tego dnia zamierzaliśmy wszystko przejrzeć i odłożyć do archiwum to co zbędne, tak aby skoncentrować starania na tym, co mogło przynieść korzyści.

Nie było nam dane.

Telefon na moim biurku zadzwonił około wpół do trzeciej. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem znajomy głos.

— Detektyw Cross? Mówi Jeanne Phillips z „Washington Post”. Czy widział pan już najnowszy e-mail i czy mógłby pan go skomentować?

— Nie wiem, o jakim e-mailu mówisz — powiedziałem.

Jeanne w przeszłości przekazywała mi całkiem niezłe informacje i dlatego byłem gotów z nią rozmawiać.

— Proszę mi zaufać, na pewno chce pan go przeczytać. Może poczekam, a pan sprawdzi skrzynkę?

237

Nagle zrozumiałem, że czegokolwiek dotyczył list, czytając go, na pewno nie chciałem mieć na linii dziennikarza z „Washington Post”. — Oddzwonię — oznajmiłem.

To, czego dowiedziałem się kilka sekund później, zaszokowało mnie. Wiadomość pochodziła od ZDW. Została wysłana na adres mój, Bree oraz chyba każdej redakcji informacyjnej, stacji radiowej i telewizyjnej w rejonie Waszyngtonu. Uwiarygodnił ją w ten sam sposób co zwykle: dołączoną do e-maila

fotografią swej najnowszej wizytówki. Obraz przedstawiał identyfikator pracownika pocztowego pozostawiony w muzeum. Tak jak poprzednio nie powiadomiliśmy o nim prasy.

Wiadomość napisano w znajomym, drwiącym stylu.

Detektywi!

Czy ktoś poza mną jeszcze uważa, że nie poświęcacie tej sprawie uwagi, na jaką zasługuje? Jeśli dobrze liczę, wynik brzmi: ZDW sześć, gliny zero. Zgadza się, sześć. No, może pięć i pół — bo ten ostatni jeszcze nie jest całkiem martwy.

Znalazłem tego gównianego naśladowcę, chociaż w ogóle mi w tym nie pomogliście. Nie było trudno — wystarczyło trochę pomyśleć. W każdym razie intensywniej niż wy. Chyba intensywniej, niż w ogóle potraficie.

Ale coś dla was zrobię. Za godzinę dostaniecie następną wiadomość — a w niej adres. Znajdziecie pod nim mojego naśladowcę, a jeżeli wam się poszczęści, to będzie jeszcze żył. Na razie nie zdecydowałem. Oczywiście to ode mnie zależy. Żywy czy martwy? Żywy czy martwy? Zobaczymy.

Czy teraz rozumiecie, dlaczego ludzie tak się mnie boją? Jestem w tym lepszy od was i oni o tym wiedzą. Oto wasz problem. Zawsze będziecie go mieli. Ciągłe, raz za razem.

238

Przez długie lata, bo zamierzam to robić bardzo długo. Tymczasem wy róbcie to, w czym jesteście najlepsi: siedźcie na dupie i czekajcie na mój następny ruch. Do tego czasu... Żyjcie dalej, skurwiele.

Rozdział

Bree dopilnowała, żeby każdy dostępny radiowóz w mieście był w pogotowiu. Sam zatelefonowałem do Sampsona i kazałem mu zapewnić wolną linię. Próbowałem dodzwonić się do Kitza, by dowiedzieć się, czy możemy z wyprzedzeniem namierzyć przychodzący e-mail, ale odezwała się poczta głosowa — u jego asystenta również. Przyjmowałem połączenia od nadinspektora Daviesa, z biura komendanta, urzędu burmistrza, a także od samej Nany. Wiadomość o liście od ZDW już trafiła do eteru. Oczywiście, że trafiła. Wysłał go w świat, żeby podsycić ogień, jak tylko się da.

Z dołu dochodziły słuchy, że na ulicy czeka rosnąca armia dziennikarzy. Miało się wrażenie, że nic nie idzie po naszej myśli, zapewne dlatego, że to prawda, i wszystko wskazywało na to, że ta sytuacja prędko się nie zmieni.

W końcu Bree i ja w ogóle przestaliśmy odbierać telefony. Zadekowaliśmy się w biurze i czekaliśmy, dokładnie tak, jak chciał tego ten sukinsyn. Skoncentrowaliśmy energię na ostatnim e-mailu, szukając ukrytego znaczenia, czegoś, co wskazywałoby na stan jego umysłu, czegokolwiek przydatnego co uchroniłoby nas przed zabrnięciem w kolejny ślepy zaułek.

Sposób działania był w zasadzie taki sam. Internetowe pub-

240

likacje to kolejne przebranie — tym razem elektroniczne — WSzystko to jednak brało początek z jego narcystycznego umysłu Zabójca cierpiał na poważne zaburzenia psychiczne, ale to nie znaczy, że nie mógł się dobrze bawić. Był sprytny, zorganizowany i dobrze o tym wiedział.

Minęła piętnasta trzydzieści.

Potem szesnasta.

Potem siedemnasta.

Wyraźnie z nami igrał. Niedwuznacznie dawał nam do zrozumienia, że to on tu rządzi. W końcu zaczęliśmy się zastanawiać, czy kolejny list w ogóle przyjdzie.

Wreszcie o siedemnastej trzydzieści się pojawił.

Wiadomość, na którą czekaliśmy, składała się tylko z siedmiu słów. Wydajny z niego gość, prawda?

Skrzyżowanie Dziewiętnastej SE i Independence Avenue. Teraz.

Rozdział 83

Nigdy nie miałem równie ściśniętego żołądka, a przynajmniej sobie nie przypominałem. Już sam ZDW to problem, ale teraz nabrałem przekonania, że w sprawę zamieszany jest Kyle Craig, choć nie potrafiłem stwierdzić, w jaki sposób ani dokąd to wszystko zmierza. Na pewno nie w kierunku, w którym chciałyby się udać.

Droga na róg Dziewiętnastej i Independence okazała się koszmarem pełnym paparazzich. Zapewne w takich warunkach zginęli księżna Diana i Dodi al Fayed w ciemnym, przerażającym tunelu w Paryżu. Z wyciem syren przecinaliśmy miasto po przekątnej w kierunku Southeast, a przez całą drogę podążał za nami niewiarygodny orszak. Byliśmy jak waszyngtońska wersja szczurołapa z Hamelin; ciągnęliśmy za sobą szczury, które nie pragnęły niczego poza zrobieniem nam zdjęcia i umieszczeniem go w brukowcu. Jeśli dziennikarze liczyli na to, że w tej sytuacji nie zatrzymamy się, by wypisać mandaty za wykroczenia drogowe, to mieli rację.

Gdy dotarliśmy na miejsce, było tam już sześć jednostek policji. Główne skrzyżowania zamknięto dla ruchu kołowego i pieszego.

242

Ale gdzie my właściwie byliśmy? Co tu się stało?

Brakowało wyraźnych wskazówek. Okolica stanowiła mieszaną mieszankę obiektów mieszkalnych i przemysłowych. Od północno--zachodniego rogu skrzyżowania zarówno wzdłuż Dziewiętnastej Ulicy, jak i Independence Avenue ciągnęły się dwa rzędy świeżo odremontowanych domów szeregowych.

Czytałem o tym w gazecie: wszystko w barwach podstawowych, z masą dziwnych kątów. To właśnie dramatyczny smaczek w stylu naszego zabójcy. Sukinsyn robi film, prawda? Kręci go we własnej głowie.

Po drugiej stronie ulicy z jednej strony znajdowała się nowa St. Coletta School, a z drugiej — hala sportowo--widowiskowa Armory. Ogromna przestrzeń do spenetrowania. Gigantyczny stóg siana, w którym gdzieś znajdowała się igła w postaci czyjegoś ciała. Albo, daj Boże, tym razem żywej ofiary. Czy to możliwe? Może ZDW chciał nieco zmienić rytm.

Nadjeżdżały kolejne radiowozy; naliczyłem kilkanaście i dałem sobie spokój. Zastanawiałem się, kiedy dotrze Kitz ze swoimi ludźmi. Naprawdę potrzebowaliśmy teraz techników z FBI i każdej dostępnej pomocy.

Na początek uznaliśmy domy mieszkalne za najważniejsze. Podzieliliśmy się na dwuosobowe zespoły i pukaliśmy do każdych drzwi. Wszystko inne musiało poczekać, włącznie z kontrolą nad tłumem. Już teraz panowało tu szaleństwo — ekipy telewizyjne szły za nami krok w krok i filmowały pod każdym kątem.

Nie minęło wiele czasu, gdy któryś z umundurowanych funkcjonariuszy zawołał:

— Halo, detektywi! Coś tu jest.

Wraz z Bree podbiegliśmy, żeby zobaczyć, o co chodzi. Stanęliśmy przed jasnożółtym domem o dużych, jednoskrzyd-

243

łowych oknach wychodzących na Dziewiętnastą Ulicę. Drzwi frontowe były uchylone i mocno wyszczerbione w okolicach klamki. Wyglądało na to, że niedawno ktoś się tu włamał.

— Jak dla mnie może być — powiedziała Bree. — Wystarczający dowód włamania. Idziemy.

Rozdział

Wkroczyliśmy ostrożnie, po cichu. Towarzyszył nam jeden z miejscowych funkcjonariuszy, przestraszony chłopak o nazwisku DiLallo. Pozostali czekali na zewnątrz i przeganiali co bardziej lekkomyślnych reporterów, a nawet szczególnie śmiałych gapiów.

Wewnątrz panował całkowity spokój. Powietrze było nieświeże, gęste i gorące — okna zamknięte, klimatyzacji brak. Wystrój nowoczesny, podobnie jak dom z zewnątrz. Na lewo, w salonie widziałem kopię rozkładanego fotela Eamesa, a w leżącej dalej jadalni czerwony, lakierowany stół i siatkowe krzesła. Na razie żadnych konkretów, ale przeczuwałem, że coś tu się wydarzyło.

Bree przekrzywiła głowę w lewo — czyli pójdzie do salonu — i wskazała posterunkowemu, żeby ruszył na tył, prawdopodobnie do kuchni.

Ja wszedłem po schodach.

Były wiszącymi w powietrzu deskami litego drewna z żelazną balustradą. Pod moimi stopami nie wydawały żadnego dźwięku. Tutaj było zbyt cicho — trupio cicho. Nie potrafiłem przegonić tej myśli i drżałem z obawy o to, co mogę znaleźć.

Czy tym razem to my byliśmy widownią? Na czym polegał

245

nowy, zaskakujący zwrot akcji? Czy to wszystko zostało zaaranżowane specjalnie dla nas?

Półkulisty świetlik w stropie wpuszczał dużo promieni słonecznych i czułem, jak pot ścieka mi po krzyżu.

Na szczycie schody zakręcały i wychodziły na otwarty korytarz. Po lewej znajdowały się zamknięte drzwi, a bliżej mnie — otwarte, za którymi dostrzegłem pustą łazienkę. W każdym razie pod tym kątem wydawała się pusta.

Wciąż żadnych ludzi, żywych lub martwych.

Na dole przybywało policjantów. Zebrał się już spory tłumek. Słyszałem nerwowe szepty i szum krótkofalówek, a także wysoki głos posterunkowego DiLallo — ktoś zwrócił się do niego po imieniu i nazwał go Richard. W zdaniu typu: „Richard, uspokój się”.

Bree pojawiła się w korytarzu pode mną. Dała mi znak, że na dole wszystko w porządku, a ja ruchem dłoni pokazałem, żeby tu weszła.

— Stęskniłeś się? — spytała.

— Za tobą... zawsze.

Gdy do mnie dołączyła, wskazałem drzwi sypialni.

— Tylko te są zamknięte — powiedziałem.

Zebrałem się w sobie w oczekiwaniu na to, co zastaniemy, po czym wpadłem do pomieszczenia.

Wycelowałem glocka w najdalszy kąt, skierowałem go w lewo, potem w prawo.

Nie wiedziałem, czy czuć rozczarowanie, czy ulgę. W pokoju nie znajdowało się nic, czego nie powinno tam być. W jednym rogu starannie zasłane łóżko. W otwartej szafie damskie ubrania.

Cóż takiego przeoczyliśmy? Przecież byliśmy na rogu Dziewiętnastej i Independence, prawda?

W tym właśnie momencie oboje usłyszeliśmy pierwszy, cichy odgłos łopotu wirnika śmigłowca, który prędko się zbliżał. Już po chwili wisiał tuż nad domem.

246

Z ulicy dochodziły inne dźwięki. Kiedy staliśmy u szczytu schodów, usłyszeliśmy głośny krzyk. — Na dachu!

Podniosłem wzrok i wtedy właśnie zrozumiałem, że kopała świetlika jest także wyjściem.

Rozdział

— Potrzebujemy drabiny! — zawołała Bree do gliniarzy na dole. — I to szybko.

Na ścianie, gdzie normalnie powinna się znajdować jakaś drabina umożliwiająca wyjście na dach, widziałem czarne ślady. Ktoś ją zabrał.

Bez niej nie mogłem dosięgnąć świetlika, nawet gdybym wszedł komuś na ramiona.

Bree i ja wybiegliśmy na zewnątrz — zniknęły szanse na ukrycie sytuacji przed mediami. Do pierwszego śmigłowca dołączyły dwa kolejne. Krążyły nad domem jak padlinożercy. Na ścieżce przed wejściem oraz na ulicy kłębili się sąsiedzi, przechodnie oraz mnóstwo dziennikarzy. Ależ tu się zrobił paskudny bałagan, a przecież puenta była wciąż przed nami.

— Oczyszczyć teren — powiedziałem do najbliższego policjanta. — Nie żartuję. ZDW tu był!

Bree i ja rozdzieliliśmy się. Zacząłem się przepychać do najbliższego wozu telewizyjnego z nadajnikiem. Był to pojazd Kanału 4, zaparkowany przed Armory po drugiej stronie ulicy-

Gdy nadbiegłem, reporterka już nawijała do kamery. Prze" rwałem jej w pół zdania.

248

Czy któryś z tych śmigłowców należy do was?! — krzyknąłem, wskazując w niebo.

Była atrakcyjną dwudziestoparolatką o popielatoblond włosach. Natychmiast się oburzyła.

.— A kim pan jest? — zapytała.

Chociaż kamerzysta nie wiedział, kim jestem, ale obrócił się, by zmieścić mnie w kadrze.

Nie czekałem, aż reporterka udzieli mi odpowiedzi. Minąłem ją i odsunąłem boczne drzwi wozu Kanału 4.

— Policja! — zawołałem, pokazując odznakę. Na mój widok technik popijający za konsolą dużą kawę ze Starbucksa zrobił wielkie oczy. — Chcę zobaczyć dokładnie to, co widać z waszego śmigłowca.

Z kubkiem przy ustach bez słowa wskazała na jeden z ekranów. Pod spodem, na kawałku niebieskiej taśmy, napisano: NA ŻYWO.

Oto widownia, zrozumiałem nagle.

Wcześniej zastanawiałem się, w jaki sposób ZDW wprowadzi w życie kolejny plan. Teraz wiedziałem. Zobacz to każdy, kto w tym momencie ogląda telewizję. Sukinsyn wszystko dokładnie obmyślił.

Spojrzałem na zegarek — tuż po osiemnastej, pora wieczornych wiadomości. To dlatego zabójca zwlekał z wysłaniem drugiego e-maila, prawda?

Helikopter znajdował się za daleko, żeby na ujęciu widać było wszystkie szczegóły, ale nie ulegało wątpliwości, że na dachu leży ciało. Byłem przekonany, że to mężczyzna, ale nie na sto procent. Ciemne spodnie, jasna koszula, z szyi chyba Ptynęła krew. Twarz wyglądała za to dziwnie, jakby zniekształcona, choć na razie nie rozumiałem, o co chodzi.

Obok na dachu leżała składana drabina.

— Proszę powiedzieć pilotowi, żeby okrążył dach — powiedziałem. — Natychmiast.

249

— Nie słuchaj poleceń tego człowieka!

Młoda reporterka również wetknęła do wozu swój blond kask. Robiło się ciasno.

— Słuchaj mnie, chyba że chcesz zostać aresztowany — zwróciłem się do technika. — Zamknę was oboje.

Kiwnął głową i odezwał się do mikrofonu:

— Bruce, rób panoramę dookoła dachu. Jeżeli możesz, to podejdź bliżej. Polecenie policji.

Nie licząc ciała, na dachu było pusto, przynajmniej z tego ujęcia.

— Dobrze, w porządku — powiedziałem.

— Niech pokaże ciało — warknęła reporterka za moimi plecami. — To jest na żywo!

— Alex! — Bree krzyknęła do mnie z ulicy. — Mamy drabinę. Chodźmy na górę.

Jeszcze raz spojrzałem na ekran i w tym momencie dostrzegłem, że ręka ofiary drgnęła. Nieznacznie, lecz zauważalnie. Błyskawicznie wypadłem z wozu, potrącając Miss Kanału 4, tak że o mało nie połamała tych swoich wysokich obcasów.

— Bree! On żyje!

Rozdział 6

Dotarłem na dach pierwszy. Tuż po mnie Bree, a za nią dwaj bardzo zdenerwowani sanitariusze. Błyskawicznie rozejrzeliśmy się wokoło, by upewnić się, że teren jest bezpieczny, po czym sanitariusze doskoczyli do ofiary, która, mieliśmy nadzieję, wciąż żyła.

Obok wyjścia na dach znajdowała się drewniana platforma. Dalej rozciągała się płaska, otwarta przestrzeń pokryta papierem smołowanym i właśnie tam leżała ofiara. W słońcu dach aż parował. Opary unosiły się również wokół ciała, widziałem też, że kałuża krwi ciekącej z szyi znacznie się powiększyła.

— Nie wygląda za dobrze — jęknęła Bree.

— Rzeczywiście.

Najbardziej wstrząsająca była maska na twarzy ofiary. To dlatego w ujęciu ze śmigłowca twarz wyglądała tak dziwnie. To kolejna karykatura Richarda Nixona — jak ta użyta podczas morderstw na George Washington Memorial Parkway.

— Dlaczego mam wrażenie, że to nie naśladowca?! — ryknąłem do ucha Bree, przekrzykując huk krążących nad nami helikopterów. — I że w ogóle nigdy go nie było?

Kiwnęła głową.

— Pewnie masz rację.

251

Znów myśleliśmy to samo. Morderstwa dokonane przez tak zwanego naśladowcę w rzeczywistości były hołdem ZDW dla samego siebie. To właśnie chwila, w której wszyscy mieliśmy się o tym przekonać — podczas gdy nad naszymi głowami pracowały kamery telewizyjne. Świat miał patrzeć, jak znów daliśmy się nabrać temu sukinsynowi.

— Czy on żyje?! — krzyknąłem do najbliższego sanitariusza.

Odkąd weszliśmy na dach, nie zauważyłem u ofiary

żadnego ruchu.

— Ciśnienie niewyczuwalne. Puls sto dwadzieścia — odpowiedział tamten.

Tymczasem jego partner wzywał przez radio nosze.

— Zdejmijcie mu tę maskę! — zawołała Bree.

Łatwo powiedzieć. Okazało się, że lateks z tyłu głowy stopił się z rozgrzaną powierzchnią dachu. W końcu sanitariusze musieli rozciąć przód maski.

Gdy rozwarło lateks, zobaczyliśmy znajomą twarz.

Bree krzyknęła, a ja chwyciłem ją za ramię, również dlatego, że sam potrzebowałem wsparcia.

To był Kitz!

Skóra mężczyzny z FBI, który dostarczył nam tylu komputerowych informacji, była blada i pokryta kropelkami potu. Miał zamknięte oczy.

Upadłem na kolana obok Briana Kitzmillera. Opatrunki na szyi nie wystarczały, by powstrzymać krwawienie. Smutny, ohydny widok.

— Kitz! — Wziętem go za rękę i lekko ścisnąłem. — To ja, Alex. Pomoc już jest w drodze.

Jego palce drgnęły, ledwo wyczuwalnie, ale to znaczyło, że wciąż żył.

W końcu otworzył oczy i na początku wydawał się zmieszany.

Gdy jednak zobaczył, że to ja, spróbował coś powiedzieć.

252

Nabrzmiałe, spękane wargi poruszały się, ale nawet jeśli spomiędzy nich płynął jakiś dźwięk, nic nie słyszałem.

— Trzymaj się — powiedziałem. — Mamy cię. Nic ci nie będzie. Trzymaj się, Kitz.

Znów usiłował mówić, lecz nie wydusił z siebie nic zrozumiałego.

Z niezwykłym wysiłkiem mrugnął dwukrotnie. Potem oczy zapadły mu się w głąb czaszki. Sanitariusze wciąż walczyli, ale zanim przywieziono nosze, było już po wszystkim.

Kitz odszedł. Umarł na oczach kamer, dokładnie tak, jak życzył sobie tego ZDW.

Zwróciłem się do Bree. Mój umysł pracował na zwiększonych obrotach.

— Kitz mrugnął dwa razy. To znaczy, że morderców było dwóch?

Rozdział 7

Zanim na miejsce dotarła policja i telewizyjne śmigłowce, ZDW pokonał dwa dachy. Następnie prędko zszedł po chwiejnych rusztowaniach na parking na tyłach budynku, gdzie mógł się czuć bezpieczny.

Dziś był obciążony — w czarnej torbie na ramieniu miał laptop i aparat fotograficzny — ale sobie z tym radził. Czuł się podniecony i zdecydowanie odpowiadała mu nowa rola... i ta historia.

Zsunął lateksowe rękawiczki, po czym wyciągnął z kieszeni srebrną zapalniczkę. Po kilku sekundach z rękawiczek pozostała na cementowym podłożu tylko grudka stopionej gumy. Niech no gliniarze spróbują zdjąć z niej odciski palców i dotrzeć do niego.

Cała reszta pozostała bez zmian: długie blond włosy spięte w kucyk, broda pasująca do tlenionych brwi, brązowe szkła kontaktowe, okulary w stalowej oprawce oraz czapka drużyny White Sox założona daszkiem do tyłu.

Postanowił, że dziś nazywa się Neil Stephens. Był fotoreporterem Associated Press pochodzącym z Chicago. Jego aparat to nowiutka leica. Idealnie wmięsza się w tłum. Bez problemów. Poza tym będzie mógł wszystko obejrzeć, włącznie z kulmina-

cją. Zobaczy graczy z bliska, zaobserwuje ich reakcje pod presją. Nikt by tego lepiej nie zrobił, nawet Kyle Craig w najlepszym okresie.

Kiedy obszedł osiedle od strony A Street, cała przecznica Dziewiętnastej przypominała cyrk — w pozytywnym sensie. Stanął na zderzaku zaparkowanego auta i zrobił kilka ujęć — radiowozy wzdłuż ulicy, karetki, wóz jednostki antyterrorystycznej na parkingu Armory, kilkanaście pojazdów stacji radiowych i telewizyjnych. Setki miejscowych. Kręcili się po ulicy, usiłując zobaczyć, co tu się działo.

Czy ktoś już wiedział? Czy już wykombinowali? ZDW lada chwila sprawi, że wszyscy usłyszą o tej ich osowiałej okolicy. Wkrótce będą dziękować Bogu, że nie im się to przydarzyło.

Tak, dziś wieczorem małe mózdzki wprost eksplodują. Teraz należał już do najlepszych, prawda? Znalazł się w jednym szeregu z Kyle'em Craigiem.

Zanim przybyły śmigłowce, policja na dole postanowiła przegonić tłumy. Na miejscu był Alex Cross — a także Bree Stone. Szczerze mówiąc, uważał, że zaczynała mieć o sobie zbyt wygórowane mniemanie. Może pora się tym zająć.

To mogła być jego następna opowieść.

Rozdział

Neil Stephens z Associated Press przepychał się z innymi fotoreporterami. Wszyscy walczyli o najlepsze ujęcia żółtego domu po drugiej stronie ulicy, gdzie znaleziono ciało pracownika FBI. Oczywiście Neil już miał swoje zdjęcie warte milion dolarów — wspaniałe zbliżenie twarzy Briana Kitz-millera. Oczy szeroko otwarte, szyja krwawiąca jak u zarżniętej świni.

— Zwariowane, co? — zwrócił się do niego inny fotograf, mały, śniadoskóry facet. — Cała historia jest niewiarygodna, nie? Śledzisz ją od początku?

Można tak powiedzieć, pomyślał ZDW.

— Dopiero przyjechałem — powiedział głośno, dbając

o spłaszczanie samogłosek naśladowując nosowy akcent z Chicago. Uwielbiał takie szczegóły. W nich tkwiła elegancja, no

1 diabeł. — Robię materiał o detektywach i kryminalistyce. Pod tym kątem patrzę. Ludzie kochają kryminalistykę. Ten obrót sprawy to tylko, no...

— Szczęśliwy zbieg okoliczności?

Zabójca odwzajemnił cyniczny uśmiech fotografa.

— Chyba tak. Ja to mam fart.

Idą! — krzyknął ktoś i Neil Stephens z Associated Press

tak jak wszyscy uniósł aparat.

Otworzyły się drzwi po drugiej stronie ulicy. Pierwsi wyszli detektywi Cross i Stone, a za nimi wywieziono ciało. Oboje wyglądali, jakby zjedli takie samo gówno — w teleobiektywie wyglądało to świetnie.

Pstryk! Ładny podwójny portrecik przeciwników. Stłuczonych na kwaśne jabłko, ale jeszcze nie pokonanych. W każdym razie ciągle trzymali się na nogach.

Cross wyglądał na szczególnie wkurzonego. Ręce i koszulę wymazane miał krwią Kitzmillera.

Pstryk!

Kolejny klasyczny kadr.

Do pary dołączył trzeci gliniarz — John Sampson, przyjaciel Crossa — który wcześniej czekał na chodniku. Stone powiedziała coś olbrzymowi na ucho — pstryk! — i Sampson pokręcił głową. Najwyraźniej nie mógł w coś uwierzyć. Pewnie właśnie się dowiedział, że to Brian Kitzmiller.

Pstryk, pstryk, pstryk!

Zajebisty materiał.

Drobny facet obok niego robił zdjęcia i ani na chwilę się nie zamykał. Co za gaduła.

— Ten Cross podobno należy do najlepszych. Zdaje się, że teraz trochę dostał w dupę.

— Na to wygląda, co? — powiedział Neil Stephens i pstrykał dalej.

Po kolei robił zbliżenia twarzy trojga detektywów, tak duże jak tylko możliwe. Żadna tam wielka sztuka, ale po prostu dobry materiał. Realistyczny.

Potem ujął całą trójkę w jednym kadrze.

Pstryk, pstryk, pstryk!

Przestał robić zdjęcia i przez kilka chwil jedynie obserwował ich twarze przez wizjer. Czy właśnie w ten sposób w końcu

ich wyeliminuje? Wszystkich troje za jednym razem, a echo

rozniesie się po całym świecie? A może powoli i spokojnie

jedno po drugim?

Stone.

Sampson.

Cross.

Jeszcze nie zdecydował. Nie śpieszyło mu się — lepiej cieszyć się podróżą i dotrzeć na miejsce w swoim czasie. Tak czy inaczej rezultat będzie ten sam: trup, trup i trup. A on stanie się legendą dorówna najlepszym.

— Mówisz, że dopiero przyjechałeś? — Mały dalej trąkotał jak najęty. — Wobec tego jeszcze z nimi nie rozmawiałeś, co?

— Jeszcze nie — odparł Neil Stephens. — Ale już się nie mogę doczekać.

Rozdział

Zawsze, kiedy dzieje się coś równie tragicznego i nieprzewidzianego, umiera cząstka nadziei i optymizmu. Zupełnie jakby śmierć Kitza zwolniła w moim sercu nieco więcej miejsca na nienawiść. Czy to prawda? Teraz mogłem liczyć tylko na to, że dopadniemy zabójcę — lub zabójców — i wszystko to skończymy.

Dlatego zrobiłem jedyną pozytywną rzecz, jaka mi została: pracowałem nad sprawą, i to jeszcze intensywniej niż dotąd. Zostałem na Dziewiętnastej Ulicy do późnej nocy. Zgarnęliśmy z miejsca zbrodni wszelkie dostępne dowody, ale szczerze mówiąc, niewiele tego było. Dom był czysty. Okazało się, że właściciele wyjechali na cały miesiąc. Sąsiedzi nie widzieli niczego niezwykłego. Nikt nie zauważył ZDW ani przed zamordowaniem Briana Kitzmillera, ani później.

Dotarłem do domu około wpół do czwartej nad ranem, zdrzemnąłem się kilka godzin, po czym zmusiłem się, by wstać i zacząć od początku. Najpierw czekały mnie sesje z pacjentami, ale wykorzystałem poranny bieg do gabinetu, by ponownie Wszystko przemyśleć. A potem jeszcze raz. I kolejny.

Czego nie dostrzegałem? ZDW się rozwijał — bez wątpienia. Dzieje się tak z każdym seryjnym zabójcą któremu się wiedzie.

259

Chodzi o to, jak przebiega ten rozwój. Z pewnością doskonaliły się jego metody, stawały się coraz bardziej złożone. Wszystko, co dotyczyło wczorajszego wydarzenia, miało skalę nieco większą niż dotychczas — uwaga mediów, brawura, a także czas antenowy, który zagarnął.

Tutaj chodziło o kontrolę, prawda? Oto, co ulegało drastycznej zmianie. Zrozumiałem to, gdy biegłem przez National Mail i zaczynały mnie palić płuca. Z każdym kolejnym morderstwem ZDW zyskiwał nad nami trochę więcej kontroli, nieco większą przewagę. To oznaczało — jak na ironię — że czas nie działał na naszą korzyść.

Wciąż myślałem o zabójcy „on”, choć to mogła nie być prawda. Prawdopodobnie mężczyzna i kobieta działali razem, zostawiając za sobą ciąg tropów, za którymi mieliśmy podążać.

Rozdział

Pod wieloma względami miałem wrażenie, że prowadzę podwójne życie — pewnie dlatego, że tak było naprawdę. Tego ranka, po spotkaniu z Sandy Quinlan, przyjąłem An-thony'ego Demao. Uznałem, że po tym napadzie szafu muszę znaleźć dla niego jak najwięcej czasu. Wciąż nie wiedziałem, jak po incydencie w poczekalni mają się sprawy między tą parą.

Poczułem więc ulgę, widząc, że zignorowali się na korytarzu, gdy Sandy wychodziła z gabinetu. Wyglądało na to, że czuje się niezręcznie, natomiast Anthony po prostu robił wrażenie niezainteresowanego. Cieszyło mnie to, ponieważ tego związku nie potrzebowało żadne z nich. Wydawał się po prostu niewłaściwy.

Gdy tylko zniknęła Sandy, Anthony zaczął się zachowywać inaczej. Widziałem, że jest bardziej wzburzony i niestabilny niż zwykle. Pomimo upału miał na sobie długie spodnie i wojskową kurtkę. Kiedy wszedł do gabinetu i opadł na kanapę, miał ją szczelnie zapiętą.

Następnie znów wstał i zaczął spacerować po pokoju. Chodził szybkim krokiem, z rękami w kieszeniach, i mamrotał Pod nosem.

261

— Co się dzieje? — musiałem w końcu spytać. — Wydajesz się wzburzony.

— Tak pan myśli? Znowu miałem sen, kilka nocy z rzędu Ten o Basrze. Jebana pustynia, wojna, całe to gównno.

— Anthony, proszę cię, usiądź.

Już wcześniej usiłowałem mi opowiedzieć o Basrze, lecz jak dotąd wyjawiał za mało, żebym zrozumiał, do czego dąży. Zorientowałem się, że na wojnie doświadczył czegoś okropnego, lecz na razie nie wiedziałem czego.

Kiedy Anthony w końcu znów opadł na kanapę, pod jego kurtką zauważyłem wypukłość. Wiedziałem, co to jest. Wyprostowałem się na krześle, krew pulsowała mi mocno.

— Masz przy sobie broń? — zapytałem.

Położył dłoń na tym kształcie.

— Nienaładowaną — warknął. — Nie ma sprawy.

— Proszę, oddaj mi ją — powiedziałem. — Tutaj nie wolno ci nosić broni.

Spojrzał na mnie, mrużąc oczy.

- Powiedziałem, że nienaładowana. Nie wierzy mi pan? Poza tym mam pozwolenie.
- Tutaj nie masz. — Wstałem. — Dość tego. Musisz wyjść.
- Nie, nie. Proszę, niech pan weźmie. — Nagle Anthony sięgnął pod kurtkę i wyciągnął colta 9. — Niech pan weźmie tę cholerną broń!
- Powoli — powiedziałem. — Dwoma palcami za uchwyt. Połóż ją na stoliku. Drugą rękę trzymaj tam, gdzie jest.

Anthony spojrzał na mnie inaczej niż dotychczas, jakby właśnie coś zrozumiał.

- A pan co, gliniarz?
- Rób, o co proszę, dobrze?

Położył colta na stoliku. Gdy sprawdziłem, że jest nienabity, zamknąłem go w biurku. Głęboko wciągnąłem powietrze i powoli je wypuściłem.

262

No dobrze, czy chcesz porozmawiać o tym śnie? —

spytałem. — O Basrze? Co tam się wydarzyło?

Kiwnął głową. Potem zaczął mówić — i znów maszerować po gabinecie. Ale przynajmniej nie był uzbrojony.

- Zaczęło się tak jak zwykle... w tym śnie. Trafili nas i doczołgałem się do okopu. Jak zawsze. Tylko że teraz nie byłem sam.
- Masz na myśli Matta? — spytałem.

Już wcześniej dotarliśmy do tego etapu snu.

- Tak, był tam ze mną. Tylko on i ja. Zostaliśmy oddzieleni od reszty oddziału.

Matt był jego kumplem, o którym już wcześniej słyszałem. Pracowali na tym samym wozie z uzbrojeniem, ale poza tym nie wiedziałem zbyt wiele.

- Człowieku, on był zmasakrowany. Obie nogi jak hamburger, rozpieprzone na strzępy. Musiałem go ciągnąć za ręce. Tylko tyle mogłem zrobić. — Spojrzał na mnie, a w jego wzroku była prośba o pomoc.
- Anthony, czy opowiadasz teraz o swoim śnie, czy o tym, co rzeczywiście się wtedy stało?

Zniżył głos do szeptu.

- W tym rzecz, panie doktorze. Chyba o jednym i drugim. Matt wrzeszczał jak ranne zwierzę. A kiedy usłyszałem ten krzyk we śnie, miałem wrażenie, że słyszałem go już wcześniej.

- Czy zdołałeś mu pomóc? — spytałem.
- Nie. Nie mogłem mu pomóc, w ogóle nic nie mogłem zrobić. W tym stanie nawet lekarz nic by nie poradził.
- Dobrze. Co było dalej?
- Matt powtarzał: „Nie przeżyję, nie przeżyję”. I tak w kółko. A z każdej strony ostrzał. Nie wiedziałem, czy to nasi, czy brudasy. Nie mieliśmy dokąd iść. Zresztą nie mogłem się z nim ruszyć: nogi rozwalone i cały czas gubił wewnętrzności. I wtedy zaczął mówić: „Zabij mnie. Zrób to. Proszę”.

263

Widziałem, że Anthony jest w pełni zaangażowany w opowieść — o śnie, o tym, co wydarzyło się tamtej nocy na wojnie. Pozwoliłem mu mówić dalej.

- Wyjął swój pistolet. Ledwie mógł go utrzymać. Płakał, bo nie mógł tego zrobić, a ja płakałem, bo nie chciałem, żeby to robił. A wszędzie strzelały moździerze. Na niebie błyskało jak na Święto Niepodległości.

Anthony pokręcił głową i przestał mówić. Do oczu napływały mu łzy. Chyba rozumiałem: nie miał słów, którymi mógłby to opisać.

- Anthony? — odezwałem się. — Czy pomogłeś Mattowi się zabić?

Po policzku spłynęła mu łza.

- Położyłem rękę na jego dłoni i zamknąłem oczy... a potem strzeliliśmy. Razem. — Anthony patrzył mi w oczy. — Wierzy mi pan, prawda, doktorze?
- Powinienem, prawda?
- Nie wiem — odparł, a w jego oczach był gniew. — To pan jest doktorem. Powinien pan widzieć różnicę między złym snem a rzeczywistością. Widzi ją pan, prawda?

Rozdział 1

Podczas tej bardzo dziwnej i mocnej sesji Anthony Demao zapytał, czy jestem gliną, i właśnie do mnie dotarło, że nic mu nie odpowiedziałem. Ostatnio sam nie miałem pewności. Wciąż od nowa aklimatyzowałem się w stołecznej policji, a moja sytuacja była wyjątkowa. Jedno wiedziałem na pewno: nigdy wcześniej nie pracowałem przy żadnym śledztwie równie ciężko — i to przy takim, które z dnia na dzień zdawało się coraz trudniejsze i bardziej skomplikowane.

Po śmierci Briana Kitzmillera mieliśmy związane ręce, co nas frustrowało, ale w tej sytuacji nie było niezwykle. Oddział informatyki kryminalistycznej FBI obiecał, że wkrótce przydzielili nam nowego współpracownika, a także przedstawi pełen raport na temat prac Kitzza przed śmiercią, ale na razie w zasadzie pozostawili nas, mówiąc: „Odezwiemy się do was”.

Właśnie dlatego następnego dnia wraz z Sampsonem zjawiłem się na progu domu Beth Kitzmiller w Silver Spring w stanie Maryland. Nie chcieliśmy nachodzić członków rodziny i burzyć ich żałoby, ale nie mieliśmy wyboru.

— Dziękujemy, że pozwoliłaś nam przyjechać — powiedziałem, gdy Beth wpuściła nas do przedpokoju.

265

Twarz miała wymizerowaną i wyglądała na bardzo zmęczoną, lecz jej głos pełen był siły i determinacji.

— Brian zginął, szukając tego straszego człowieka. Róbcie, co musicie. Zostańcie, jak długo będzie trzeba. Alex, chcemy, żeby to się skończyło. Ja tego potrzebuję. Moje dzieci też.

Sześćioletnia Emily pojawiła się na szczycie schodów. W milczeniu obserwowała nas szeroko otwartymi oczami. Mrugnąłem do niej i uśmiechnąłem się, a ona w końcu odwzajemniła ten uśmiech. Dzielna dziewczuszka, ale na sam jej widok krajało mi się serce. Ja też potrzebowałem, żeby to się skończyło.

— Chcielibyśmy obejrzeć jego gabinet — powiedziałem do Beth. — Wiem, że sporo pracował w domu.

I jeśli ktokolwiek natrafił w sieci na zabójcę, to właśnie Kitz, pomyślałem, choć tego już nie powiedziałem głośno.

— Oczywiście. Pokażę wam jego , jaskinię".

Beth poprowadziła nas przez podwójne rozsuwane drzwi na tył przytulnego domu w stylu kolonialnym, którego Kitz już nigdy nie zobaczy. Okno gabinetu wychodziło na podwórkę z huśtawką i grządką słoneczników. Życie toczy się dalej. W każdym razie dla niektórych. Nie dla Kitza.

Beth zatrzymała się w drzwiach.

— Nie wiem, czy znajdziecie tu coś przydatnego, ale proszę, szukajcie, gdzie tylko chcecie. Nasz dom nie ma przed wami tajemnic.

— Czy to jedyny komputer, którego tutaj używał? — spytał Sampson, gdy usiadł za dużym, zagraconym biurkiem.

Zauważyłem, że system jest zaskakująco nieskomplikowany: tylko komputer Della i monitor.

— Miał także laptop z Biura — odparła Beth. — Ale chyba go tu nie ma. Nigdzie go nie widziałam.

Zerknąłem na Sampsona. Ani w biurze, ani w aucie Kitza nie znaleźliśmy laptopa.

— A hasła? Masz jakiś pomysł? — spytałem Beth.

266

Głęboko odetchnęła. Było nam ciężko, ale Beth Kitzmiller bardzo nas wspierała.

. — Spróbujcie „Gumirobaczek”, jednym słowem. Czasami go używał.

Cała nasza trójka wymieniła nieśmiało, smutne uśmiechy. — To było jego przezwisko dla Emili — wyjaśniła Beth. — A czasem dla mnie.

Sampson wstukał hasło „Gumirobaczek”.

Rozdział 2

To było właściwe hasło Kitz — przynajmniej na domowym komputerze. Podczas gdy Sampson gorączkowo stukał w klawiaturę, ja zająłem się szufladami biurka.

Wyciągnąłem gruby stos teczek toczących się śledztw, w większości związanych z seryjnymi zabójstwami. Były pełne kserokopii oryginalnych materiałów. Zastanawiało mnie, czy to „nieautoryzowane” kopie, które przyniósł z pracy. Kitz był fanem takich rzeczy, prawda? Jeśli miał drobną obsesję, to właśnie ona czyniła go dobrym w tym, co robił. Oczywiście podświadomie myślałem również: Kitz był z FBI. Kyle Craig również. Niestety, ten tok myślenia i mnie czynił potencjalnym podejrzanym.

Najpierw spojrzałem na dokumenty śledztwa, o którym już wcześniej słyszałem. Ktoś nocą włamywał się do podmiejskich domów w Marylandzie i dusił śpiące kobiety. Żadnych kradzieży, żadnych śladów wandalizmu — jedynie okrutne morderstwa. Jak dotąd w ciągu pięciu miesięcy przydarzyły się trzykrotnie, raz na siedem tygodni.

Kolejne akta miały kryptonim „Kartograf”. Opisywały serię zabójstw dokonanych zawsze za pomocą tego samego pistoletu-Ofiary robiły wrażenie przypadkowych, łączyło je tylko poło-

268

żenie. Wszystkie morderstwa, jak dotąd cztery, popełniono na rogach ulic leżących w linii prostej, przecinającej waszyngtoński Northwest.

Następnie odkryłem teczkę, którą Kitz poświęcił Kyle'owi Craigowi. Znalazły się tam nawet informacje o tym, jak go pojąłem. Co więcej, Kitz przejrzał stare notatki Craiga, włącznie z tymi, które dotyczyły śledztw prowadzonych w momencie aresztowania.

Gdy znalazłem teczkę ZDW, okazało się, że zawierała głównie stare informacje na temat morderstw w rejonie Waszyngtonu: kopie raportów, fragmenty map, rezultaty badań laboratoryjnych, wywiady — setki wywiadów, wszystkie powiązane ze znanymi nam zabójstwami. Niewiele nowego ani przydatnego. I nic, co bezpośrednio łączyłoby ZDW z Craigiem.

— Jak ci idzie? — spytałem Sampsona. — Masz coś? Dobrego albo złego?

— Jest co oglądać — odparł. — Korzystał z Technorati, Blogdex, PubSub... to narzędzia śledzące. Przy odpowiednim ustawieniu mógł namierzyć każdego, kto zostawił komentarz na blogu albo oglądał stronę.

— Więc jak sprawdzić, co wiedział Kitz? I gdzie to wszystko trzymał?

Sampson zabębnił palcami w blat biurka.

— Mógłbym przejrzeć historię w jego przeglądarce internetowej i zobaczyć, na jakich stronach często bywał. Chyba od tego zacznę.

Kilka minut później nagle gwałtownie się wyprostował. Zagwizdał przez zęby.

— Niech mnie. Chodź tu, Alex.

Zerknąłem mu przez ramię.

— Wygląda znajomo? — zapytał Sampson. — Powinno.

Pokazał mi długą listę stron, w sporej części znanych mi

2 własnych internetowych poszukiwań. Ale nie to przyciągnęło

269

moją uwagę. Poza nazwanymi stronami lista zawierała dziesiątki liczb. Gdy się lepiej przyjrzałem, dostrzegłem, że to cały czas ta sama liczba, powtarzająca się w kółko, lecz w różny sposób podzielona kropkami i ukośnikami.

344.19.204.411 34.41.920.4411 34.419.20.4411 344.192.04.411

Lista ciągnęła się dalej, ale to był nasz tajemniczy numer — ten z worka pocztowego w muzeum!

— Alex, to jest adres IP. Adres strony internetowej. W każdym razie najwyraźniej tak uważał Kitz.

— Dlaczego nam o tym nie powiedział? — spytałem. — Sampson, co tu się dzieje?

— Może nie znalazł właściwej kombinacji. Albo nie zdążył sprawdzić wszystkich adresów. Albo strona jest nieaktywna.

— Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać — oznajmiłem. — Zaczniemy od góry i próbujemy po kolei.

Rozdział

Bree stała całkiem sama na dachu domu przy Dziewiętnastej Ulicy. Wpatrywała się w miejsce, gdzie pod wpływem działania słońca krew Briana Kitzmillera zmieniała się w spękaną czarną plamę. W głowie roilo jej się od niewłaściwych pytań: Kitz, czy bardzo cierpiełeś? Czy zostałeś wzięty z zaskoczenia? Czy miałeś szansę się obronić? Jakąkolwiek? Czy wiedziałeś, kto to zrobił?

To nieuniknione pytania, bardzo ludzkie, ale jednocześnie całkowicie nieprzydatne w śledztwie. Bree musiała się skoncentrować na metodach zabójcy, a następnie odnaleźć wszelkie ślady, jakie mógł po sobie zostawić.

Wieczorem technicy mieli oczyścić „żółty dom”. Dzień później właściciele wracali do Waszyngtonu. To ostatni rzut oka, ostatnia szansa, żeby odnaleźć choćby szczątkowe ślady, które wkrótce zostaną zatarte przez życie codzienne.

Wszystko wskazywało na to, że zabójca wyszedł na dach przez właz, a zszedł po rusztowaniu dwa domy dalej. Sekcja zwłok Kitz'a wykazała otarcia naskórka pod pachami oraz włókna na koszuli w miejscach, w których został poderwany nylonową liną albo jakimś sznurem. W krwiobiegu odnaleziono niegroźne dla życia ilości wodzianu chloralu, co wskazywało, że był nieprzytomny. Jak dotąd to jedyna dobra wiadomość.

271

W domu nie znaleziono krwi, w każdym razie tej mającej znaczenie. Kitzowi poderżnięto gardło już na dachu, na krótko przed przybyciem policji. Prawdopodobnie zabójca mógł to dowolnie rozplanować w czasie.

Sukinsyn chciał, żeby było na styk, prawda? Wszystko wyliczył, włącznie z tym, żeby Kitz zmarł wkrótce po naszym przybyciu.

Bree przycisnęła pięść do karku. Pulsujący ból głowy, z którym się obudziła, zmieniał się w całodniową dolegliwość. Nałożenie ciemnej bluzki zdecydowanie nie było dobrym pomysłem. Cała przesiąknęła już potem.

Kobieta podeszła do rusztowań, mijając porzucone pety i na wpół zgniecione puszki po piwie, które wcześniej tam nie leżały, co oznaczało, że ktoś tu był. Psychoturyści, jak lubił ich nazywać Alex. Żalodne typy, których przyciągały miejsca seryjnych zbrodni. A to niestety była chyba najbardziej sensacyjna sprawa co najmniej od dziesięciu lat.

Bree spojrzała z dachu w dół. O tej porze parking był prawie pusty. To właśnie tam, na jednym z miejsc dla mieszkańców, znaleziono białą toyotę camry Kitz'a.

Zabójca albo opuścił okolicę pieszo, albo czekał na niego inny wóz.

To znaczy... pod warunkiem, że w ogóle ją opuścił.

Czy stąd odszedł?

Czy może został, żeby patrzeć i zbierać wspomnienia?

Czy zawsze po morderstwach kręcił się w pobliżu?

Samo zabójstwo odbyło się na osobności, co stanowiło ciekawe odstępstwo od dotychczasowych praktyk ZDW. Tym razem miał większą, ale i bardziej abstrakcyjną publiczność — gdzieś tam przed telewizorami. Bree zastanawiała się, czy chciał — a może musiał — obejrzyć tłum, który zebrał się przy Dziewiętnastej Ulicy. Założyłaby się o własną odznakę, że właśnie tak było.

272

A ta kobieta, jego współpracowniczka z Baltimore? Czy ona też tu była? Czy brała w tym udział od początku? Kim oni byli? Kochankami? Dawnymi pacjentami tego samego zakładu psychiatrycznego? I co ich łączyło z Kyle'em Craigiem?

Bree siadła na krawędzi dachu, a potem w końcu zsunęła się na rusztowanie. Ostrożnie, bo czuła się trochę niepewnie — za dużo stresu, za mało snu, brak Alexa. Kilka sekund później była już na ziemi.

Następnie zmusiła się do podążenia najbardziej prawdopodobną trasą zabójcy: zaułkiem aż do A Street i dalej wokół domu z powrotem do Dziewiętnastej.

Teraz panował tu spokój, szczególnie w porównaniu ze scenami sprzed dwóch dni. Przed budynkiem stał jeden radiowóz. Howie Pearsall, funkcjonariusz, który tu z nią przyjechał, opierał się o drzwiczki pasażera. Howie to porządny facet, przyjaciel Bree, tyle że nie należał do najbardziej ambitnych ludzi na świecie.

Wzięła go ze sobą dla bezpieczeństwa, choć nie traktowała tego poważnie. Bardziej prawdopodobne, że w razie czego to ona musiałaby chronić Howiego. Gdy ją zobaczył, wyprostował się i strząsnął coś z koszuli.

— Spocznij. Nie zwracaj sobie głowy — powiedziała. — Przepraszam, że to trwało tyle czasu.

— Jak poszło? — spytał.

— Nie poszło. Poczekać, zaraz wracam.

Ruszyła ścieżką do frontowego wejścia i zerwała z drzwi Policijną taśmę. To tyle, jeśli chodzi o miejsce zbrodni.

— Przepraszam, pani detektyw?

Facet na trawniku za jej plecami pojawił się właściwie znikąd. O co mu, do cholery, chodziło?

— Neil Stephens z Associated Press. Czy zechciałaby pani odpowiedzieć na kilka pytań?

Rozdział

Neil Stephens, lub raczej ZDW, miał ochotę nafaszerować Bree Stone kulami już tam, przed domem. Wyciągnął zza kamizelki swój pistolet kalibru .357. Bam! Trup głupiej policjantki na ścieżce przed drzwiami. Mundurowego, który guzdrał się przy radiowozie, też by załatwił.

Ale nie. To nawet nie próba, nie mówiąc już o właściwym przedstawieniu. Można by to uznać za podwaliny pod późniejsze dzieło. Poza tym miał dzięki temu odrobinę zabawy. W końcu detektyw Stone to szczywany lis. No i dziewczyna Alexa Crossa, no nie? W myślach zabójcy ten fakt dodawał dzisiejszemu spotkaniu znaczenia.

Stone szła w stronę radiowozu i nie zatrzymywała się.

— Bez komentarza — powiedziała, nie nawiązując nawet kontaktu wzrokowego.

Zatem była nie tylko miernym detektywem, ale jeszcze kompletną suką! Do przewidzenia. Policjanci nigdy nie stanowili wyzwania. Może zbiorowo.

Obrócił leicę na pasku.

— To może tylko szybka fotka?

Akurat w ogóle mu nie zależało na zdjęciu. Chodziło tylko o to, by Stone na niego spojrzęła — żeby zobaczyła postać, którą dziś odgrywał, Neila Stephensa.

274

Teraz to detektyw Bree Stone była jego publicznością. Ale nawet się nie obróciła. Wsiadając do auta, podniosła rękę. Jedziemy" — powiedziała do gliniarza za kółkiem i ruszyli od krawężnika. Koniec wywiadu.

Neil Stephens zawołał za nią:

— Mamy zły dzień, detektyw Stone?!

To był tylko element roli, odzywka na pożegnanie od bezczelnego dziennikarza. Nawet nie wiedział, czy usłyszała — dopóki radiowóz nagle nie zahamował, a następnie cofnął się o kilka metrów i zatrzymał obok niego.

Bree Stone wysiadła z wozu i zmierzyła go wzrokiem. Wreszcie przyciągnął jej uwagę. Ale czy to dobrze?

— Mówił pan, że jak się nazywa? — spytała. — Uciekło mi.

— Stephens. Z Chicago. Associated Press. — Byle tylko się teraz nie zawahać. To najgorsze, co mógłby zrobić. Wobec tego podszedł bliżej. Tak zrobiłby Neil. Chciałby zdobyć materiał. — Rano zostawiłem pani wiadomość na poczcie głosowej. — Nie zostawił. — Póki jestem w Waszyngtonie, chciałbym napisać artykuł o pani zespole.

Całkiem dobrze to poprowadził, choć wciąż nie znajdował się w korzystnym położeniu. Zawodziła logika, nie wydawała mu się dosyć mocna.

Stone chyba też tak uważała.

— Mogę zobaczyć jakiś dokument? — zapytała.

I co teraz? Podszedł jeszcze bliżej i podał jej identyfikator. Kątem oka widział drugiego gliniarza, który wciąż obiema dłońmi trzymał kierownicę. Broń Stone znajdowała się w kaburze na prawym biodrze, tuż obok odznaki. Już ją miał — bez dwóch zdań. Mógł ją załatwić tu i teraz. I wiedział, że Powinien to zrobić.

Znów na niego spojrzęła i tym razem miała bardziej od-Ptężoną twarz.

— Dobrze. Możemy przeprowadzić krótką rozmowę w biu-

275

rze. Przedstawię panu wszystkich, którzy będą akurat na miejscu. Co pan na to?

Była niemal przekonująca. Prawie mnie pani nabrała, pani detektyw. Jednak jej ton powiedział zabójcy wszystko, co potrzebował wiedzieć, włącznie z tym, że musi działać teraz albo będzie po nim.

Jego pięść wystrzeliła w powietrze i uderzyła Bree Stone w skroń. Chryste, jak na kobietę miała twardą głowę. ZDW złapał jej glocka i przez otwarte okno samochodu zastrzelił drugiego gliniarza. Na wszelki wypadek oddał do zgiętej postaci jeszcze jeden strzał. Potem znów skoncentrował się na Stone.

Wciąż leżała. Oczywiście odniosła uraz, ale nie straciła przytomności. Jedną dłoń przyciskała skroń, a pomiędzy palców ciekła krew. Usiłowała go złapać. Przygniótł ją stopą i przewrócił na plecy.

— Nie ruszaj się! — wrzasnął jej w twarz. Przyłożył lufę na centymetry od jej oczu. — Patrz na mnie, Bree. Zapamiętaj, kurwa, moją twarz! I za każdym razem, gdy ją sobie przypomnisz, będziesz wiedziała, że jesteś kompletnie do dupy. Ty i twój kochaś, Alex Cross. Słuchaj, właśnie poznałaś ZDW.

Rozdział

Popędziłem do Bree na oddział urazowy szpitala Świętego Antoniego, tam gdzie kiedyś stwierdzono zgon mojej żony. Nie mogłem odegnąć tej koszarnej myśli. Gdy przybyłem na miejsce, Bree właśnie zakładano szwy. Podobno na urazówkę musieli ją zaciągnąć siłą. Niestety policjant Howie Pearsall zginął. Straciliśmy kolejnego gliniarza.

Bree zaczęła mówić, gdy tylko mnie zobaczyła.

— Alex, on dzisiaj popełnił duży błąd. To nie miało tak być, jestem tego pewna.

— Nie spodziewał się, że cię tam spotka. Chyba nie. Ale nie możemy mieć pewności, Bree. W końcu to jest facet z planem, prawda?

Skrzywiła się, gdy założono jej kolejny szew. Opatrujący ją lekarz spojrzał na mnie, szukając pomocy, ale Bree mówiła dalej.

— Za to zrobił, co mógł. Drażnił mnie. Pozwolił mi zobaczyć postać, którą odgrywał: jakiegoś reportera z Associated Press. Powiedział, że się nazywa Neil Stephens. Myślisz, że to coś oznacza? Albo fakt, że tym razem grał dziennikarza? Powiedział, że przyjechał z Chicago.

— Porozmawiamy po zabiegu — odparłem i ścisnąłem jej dłoń.

277

Przez kilka sekund milczała, ale zaraz potem wypaliła:

— Wiedziałaś, że Howie Pearsall niedawno się ożenił? Parę tygodni temu. Jego żona to pedagog specjalny.

Kiwnąłem głową, starając się dać Bree przykład milczenia, dopóki lekarz nie skończy jej zszywać.

— Alex, nie widziałam nikogo innego. Żadnej kobiety. Może tylko jednorazowo mu pomagała. Żeby odwrócić naszą uwagę. Ej, niech pan uważa z tą igłą, dobrze?

— Przepraszam — odparł doktor.

— Niech pan nie przeprosza, tylko uważa.

Później usiedliśmy z Bree w korytarzu, żeby porozmawiać. Miałem jej do powiedzenia kilka rzeczy, których na pewno nie chciała usłyszeć.

— Bree, ta sprawa weszła na nowe tory. Oboje o tym wiemy. Jeśli cię dziś nie zabił, to tylko dlatego, że ma inne plany. Nie pasowało mu to do jakiejś innej roli, którą zamierza odegrać. Byłbym spokojniejszy, gdybyś do końca śledztwa nie pracowała sama. Co ty na to?

— Alex, ja tam nie byłam sama. Pojechałam z innym policjantem. I on już nie żyje.

Kiwnąłem głową.

— Dobrze, rozumiem. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało protekcyjnie. Jest jeszcze jedna sprawa. Chcę, żebyś zamieszkała u nas...

— Nie. Dziękuję, Alex, ale nie. Nie przeprowadzę się ze względu na niego. Widziałam sukinsyna. Dorwiemy go. Już po nim i jeśli mam coś do powiedzenia, to czeka go marny koniec.

Ironia losu. Ileż to razy w takich rozmowach byłem na jej miejscu? Właściwie nie liczyłem, że Bree przystanie na moją propozycję, ale zbytnio ją szanowałem, by sugerować wycofanie się ze śledztwa. Zresztą i tak by nie posłuchała.

— Wszystko w porządku, Alex. Naprawdę. Dzięki, że jesteś taki dobry. Chodźmy stąd już. W szpitalach ludzie umierają.

Właśnie szliśmy do samochodu, gdy zadzwonił Sampson. Sprawiał wrażenie podekscytowanego.

— Alex, rozgryźliśmy ten adres IP. Chyba właśnie go uruchomiono. Tak czy inaczej facet ma nową stronę.

— Jezu, żartujesz. Tylko odwiozę Bree i już do ciebie jadę.

Co, proszę? — Spiorunowała mnie wzrokiem. — O cokolwiek chodzi, jadę z tobą. Koniec kropka. Bez dyskusji.

— Sampson, zaraz będziemy.

Rozdział 96

Kiedy przyjechaliśmy, wydział zabójstw był dziwnie spokojny. Niemal całkowicie opustoszał. Wiedziałem, że większość ludzi jest w tej chwili na ulicach i szuka ZDW, a przynajmniej jakichś tropów.

— Jak się masz, Bree?

Sampson wstał, by zwolnić jej krzesło, ale ona stała w miejscu, uparta i silna jak skała.

— W porządku, wielkoludzie. Lepiej być nie może. Co masz?

Sampson zarechotał z jej brawury, a potem wszyscy troje wybuchnęliśmy śmiechem.

— Kolejna kolekcja jego największych przebojów — powiedział. — Pokażę wam.

Spojrzeliliśmy na ekran z wyświetloną nową stroną. Miała taki sam nagłówek jak pierwotna: MOJA RZECZYWISTOŚĆ — grube, białe litery na czarnym tle.

— Litości — mruknęła Bree. — Następnym razem, gdy gościa zobaczę, naprawdę dam mu wycisk.

— Bree, Bree, Bree — wymamrotałem i nie ciągnąłem tematu.

Sięgnąłem po mysz i przewinałem stronę. Zamiast błoga albo jakiegokolwiek tekstu tym razem znajdowały się tam tylko pliki graficzne. Ułożono je w dwóch kolumnach: po lewej zdjęcia wykreowanych zabójców, „ról” mordercy, a po prawej — fotografie ich ofiar. Na górze znajdowały się dwie stopklatki z nagrania fałszywego Irakijczyka. Następnie ujęcie Tess Olsen na czworakach z czerwoną smyczą na szyi.

Kolejny rząd zdjęć przedstawiał postać profesora inspirowanego Z archiwum X, który dokonał zabójstwa w Centrum Kennedy'ego, oraz promocyjną fotografię Matthew Jay Walkera. Na jego twarzy umieszczono zieloną literę X.

Następnie zobaczyliśmy „fałszywego” naśladowcę w masce Richarda Nixona — oraz fotografie dwójki nastolatków, których zamordował na kładce nad autostradą.

Jako fotografię Abby Courlevais wykorzystano zdjęcie rodzinne, które obiegiło prasę. Obok kobiety jej uśmiechnięty mąż i mały synek. Cały świat widział ten obraz.

Dwa ostatnie ujęcia były ziarniste i rozmazane, ale dostatecznie wyraźne, by dostrzec szczegóły. Bree rozpoznała reportera „Neila Stephensa”, nawet pomimo naciągniętej na oczy czapki Chicago White Sox.

Potem zobaczyliśmy Kitza.

Miał szeroko otwarte oczy i usta, a na brodzie krople krwi. Najwyraźniej zdjęcie zostało wykonane już po zadaniu rany, ale przed założeniem gumowej maski. Patrzyliśmy na zdjęcie umierającego kolegi.

Bree walnęła pięścią w biurko.

— Czego on chce, do cholery? Czy tak sobie wyobraża sławę i chwałę?

Odwróciła się i wyszła z gabinetu. Lepiej, żeby odreagowała tutaj niż gdzieś indziej. Usłyszałem kroki, a potem bulgot automatu z wodą.

280

281

— Po prostu... dajcie mi sekundę! — zawołała z korytarza. — Nic mi nie jest, Alex. Tylko trochę świruję.

Sampson szturchnął mnie w ramię.

— Oglądaj dalej.

Na dole strony znajdowała się kolejna znajoma ikona z pierwotnej strony: obrazek telewizora z animowanym szumem na ekranie. Była większa niż poprzednio, ale poza tym wyglądała tak samo. Pod spodem umieszczono link z napisem JUŻ WKRÓTCE.

— Skurwysyn — wypalił Sampson. — Drwi sobie z nas, i to już bez przerwy.

Przypuszczałem, że po kliknięciu linka na ekranie telewizorka wyświetli się jakieś zdjęcie bądź nagranie wideo, ale zamiast tego pojawiło się puste okno nowego e-maila. Adres odbiorcy to ZDW5569@hotmail.com, prawdopodobnie równie niemożliwy do namierzenia jak wszystko dotychczas.

Bree wróciła do pomieszczenia i stanęła za mną. Zaczęła masować mi kark i ramiona.

— Poniosły mnie nerwy. To się już nie powtórzy.

— Powtórzy. Co o tym myślisz? — spytałem.

— Bądź co bądź, oto kanał bezpośredniej komunikacji. Zwykle właśnie na to liczymy, prawda? Z drugiej strony, jeśli odpowiemy, wciąż będziemy grać w jego grę. Ale może nie mamy wyboru.

— Sampson?

— Wygląda na to, że w tej chwili możemy więcej zyskać, niż stracić.

Moje palce zawisły nad klawiaturą i wpisałem pierwsze, co przyszło mi do głowy:

Wkrótce twój koniec, ty żaloszny zasańcu.

— Hm, Alex? — odezwała się Bree.

Już kasowałem te słowa, ale przynajmniej wywołałem śmiech Bree i Sampsona. Spróbowałem czegoś innego.

282

Rozdział

Następny krok był dla naszej trójki jasny: zaangażowaliśmy jednostkę informatyczną FBI w analizę nowej strony. Naszą nową współpracowniczką była Anjali Patel, drobniutka kobieta o stalowoszarych oczach, nie wyższa niż metr pięćdziesiąt. Przyszła na miejsce Kitza. Zastanawiałem się, jak często myślała o tym, że ktoś zginął, wykonując pracę, którą teraz dostała.

Spotkaliśmy się w jej boksie na drugim piętrze Budynku Hoovera. Na dwóch ekranach miała nową stronę ZDW. Rozmawiając z nami, sterowała programem z laptopa.

— Oto, jak się sprawy mają. Nigdzie w kodzie nie pojawia się ciąg liter ZDW, nawet w metatagach, na które zwracają uwagę wyszukiwarki. To tłumaczy, dlaczego na tę stronę do tej pory nikt nie natrafił.

— Jak długo to się nie zmieni, może zostać w sieci — powiedziała Bree. — To potencjalny kanał komunikacyjny i nie chcemy go stracić, chyba że nie będzie wyboru.

Po tych ustaleniach Patel wróciła do pracy. Po kilku minutach podniosła wzrok.

— Słuchajcie, jeszcze coś. Ta strona to taka hybryda. Większość materiałów przesłano za pomocą zwykłego programu do transferu plików, ale dwa zdjęcia, to i to — wskaźnikiem myszy

284

zakreśliła fotografie Kitza i jego mordercy — zostały mob-logowane. — Zanim zdążyliśmy zapytać, wyjaśniła: — Umieszczone w sieci z telefonu komórkowego.

— Czy przez to łatwiej je namierzyć? — spytałem z nadzieją, choć nie liczyłem na wiele.

— W tym wypadku owszem.

Pokazała nam kartkę papieru. To rachunek z sieci komórkowej Verizon z adresem abonenta.

W Babb w stanie Montana.

— Może wreszcie popełnił błąd. Czy nazwisko Tyler Bell coś wam mówi? — spytała Anjali.

— A powinno? — odparła Bree.

— Niekoniecznie. Pomyślałam, że na wszelki wypadek zapytam. Telefon, którego użył ZDW, zapewne jest kradziony.

Patel odwróciła się z powrotem do komputera.

— Poczekaj chwilę — powiedziałem. Oglądałem rachunek z Verizon. — To nazwisko, Bell. Kiedyś, gdy jeszcze pracowałem w FBI, prowadziłem pewną sprawę. W Los Angeles. Kryptonim „Mary Smith”. Albo „Mary, Mary”.

— Jasne, słyszałam. — Patel kiwnęła głową. — Morderstwa w Hollywood. Aktorzy, producenci i tak dalej. Zresztą wtedy pierwszy raz o tobie się dowiedziałam.

— Sprawca miał na nazwisko Bell. Michael Bell. — Zamordował kilku niewinnych ludzi... a potem niemal zabił mnie. — Jak szybko możesz zdobyć informacje o żyjących krewnych Michaela Bella? — spytałam Anjali. — Wiem, że ma córki.

— To nie powinno być trudne.

— I należałoby wysłać kogoś do domu tego Tylera Bella w Montanie. Zobaczymy, czy tam jest — dodała Bree.

— Czemu mam wrażenie, że go nie zastaniemy? — wtrącił Sampson.

Bree już wybierała numer w komórce.

— Może dlatego, że Tyler Bell jest tu, w Waszyngtonie.

285

Anjali znalazła nam kilka wolnych biur. Ja i Sampson zajęliśmy się różnymi wątkami poszukiwań. On szybko znalazł pięciu mężczyzn o nazwisku Tyler Bell zamieszkałych w okolicach Waszyngtonu, z tego trzech w samym mieście. Mała szansa, że wśród nich znajdował się ten nasz, ale należało sprawdzić wszystkie tropy.

Ja przeszukałem rejestr przestępców. W danych z ostatnich pięciu lat nie pojawiały się tam nazwiska Tyler Bell bądź Ty Bell.

Tyle zdążyłem sprawdzić, zanim wróciła Bree. Wciąż trzymała telefon przy uchu.

— Mam na linii policję stanową w Montanie. Zgadnijcie, kto zniknął trzy miesiące temu. Podpowiedź: nazwisko na cztery litery, pierwsza B.

Część czwarta

Zderzenie nieuniknione

Rozdział

Wprost cudowne. Absolutnie.

Pola Elizejskie to ostatnie miejsce, które Kyle Craig spodziewał się znów odwiedzić, a jednak oto znajdował się w Paryżu, chyba jego ulubionym mieście na świecie. Na pewno jednym z pierwszej trójki. Obok Rzymu i Amsterdamu. Może jeszcze Londynu. Przypuszczał, że to ze względu na intensywne pragnienie wolności, które teraz odczuwał, pragnienie zrobienia czegoś nieoczekiwanego, realizacji każdej zachcianki, a w końcu — kolejnego zabijania. Torturowania. Wyrażania gniewu w nowy sposób.

Przez następne dni jadał kolacje w najlepszych restauracjach świata — Taillevent czy Le Cinq w hotelu George V, tuż obok Prince de Galles, gdzie mieszkał. Każdy posiłek kosztował co najmniej czterysta euro, lecz wcale na to nie zważał. Pieniądzy miał aż nadto, a czyż nie na tym właśnie polegały „wakacje”? Na tym, by oderwać się od pracy, od wyścigu szczurów, od tego całego zabijania. Dać sobie trochę czasu na rozmyślanie, na snucie planów.

Hotel Prince de Galles był dla niego dogodny pod każdym Względem. Znajdował się na malowniczej Avenue George V, zaledwie kilka przecznic od Pól Elizejskich. Był przepięk-

289

ny — w przeważającej części utrzymany w stylu art déco z wieloma złoceniami. Gdzie tylko spojrzeć, wisiaty śliczne żyrandole. Craigowi najbardziej podobał się jednak Regency Bar: w angielskim stylu, pełen skóry, ciemnego drewna i wel-wetu. Kiedyś w Prince de Galles zatrzymał się Elvis. A teraz także Kyle Craig.

Rankami odwiedzał muzea. Jego ulubionymi były Musée d'Orsay i Musée de l'Orangerie — impresjoniści. Stwierdził, że może dziś uda się również do Luwru, ale tylko po to, by zobaczyć Moną Lisę. Odbывał długie spacery wzdłuż Sekwany, podczas których sporo rozmyślał — i trochę planował.

Jedną decyzję podjął z całą pewnością: nie pozwoli, żeby Alex Cross padł łupem ZDW. O nie, Alex Cross należał do niego, podobnie jak cała rodzina Crossów — Nana, Janelle, Damon i mały Alex junior. Taki zawsze był plan. Craig miał na tym punkcie obsesję od lat.

A może... może przed odjazdem z Paryża wykona odrobinę mokrej roboty. To jego sztuka, równie piękna i ważna jak wszystko, co stworzyli tak zwani starzy mistrzowie. On był nowym mistrzem, nieprawdaż? Idealnym na tę barbarzyńską epokę. Właściwym na dzisiejsze czasy. Nikt tego nigdy nie robił lepiej, a już na pewno nie ZDW.

Craig zauważył ładną, młodą kobietę w szarej, obcisłej bluzce, czarnej spódnicy i wysokich butach. Miała długie, niemal kasztanowe włosy. Zamiatła chodnik przed niewielką galerią sztuki. W prawo i w lewo, w prawo i w lewo — niezwykle pracowita pani. I wielce atrakcyjna jak na kogoś z miotłą.

Zatem Kyle zatrzymał się przy galerii, wszedł do środka, a ona przez pierwsze kilka minut pozwoliła mu się rozglądać. Jakież to niezależne — jakie francuskie. Nic dziwnego, że tak ich ubóstwiał.

W końcu pojawiła się przy jego boku.

290

-- Pragnie pan pomocy?

Kyle uśmiechnął się, oczy mu lśniły. Odezwał się po francusku.

— Pani jest detektywem? Mój ubiór, moja fryzura... to one mnie zdradziły.

— Nie, raczej pana buty — odparła kobieta.

Zaśmiała się.

— Pani tak mówi tylko po to, by zabrzmiało perwersyjnie.

W końcu i ona się roześmiała.

— A może, żeby zabrzmiało dowcipnie?

— To nie jest śmieszne — rzekł w odpowiedzi.

Nie było. Zabijał ją powoli przez ponad godzinę. A potem użył miotły — wcale nie w tradycyjny sposób, nie do zamiatania, i to kijem do przodu.

Wreszcie udał się na bajeczną kolację pożegnalną w L'Atelier de Joli Robuchon.

Ach, Paryż. Miasto cudów.

Rozdział

Ten ślad w Montanie to duży przełom w śledztwie. Przy odrobinie szczęścia właśnie taki, jakiego potrzebowaliśmy. Mieliliśmy coraz więcej informacji na temat Tylera Bella. Okazało się, że to brat nieżyjącego Michaela. Z nich dwóch to on bardziej stronił od ludzi. Podczas gdy Michael stawał się pomniejszym graczem w hollywoodzkich kręgach, Tyler zarabiał na życie jako przewodnik rzeczny i złota rączka. Mieszkał we własnoręcznie zbudowanej chacie w Górach Skalistych. W okolicach liczącego pięciuset sześćdziesięciu mieszkańców miasteczka Babb w stanie Montana miał reputację spokojnego, w miarę sympatycznego faceta, którego nie można nazwać nietowarzyskim, ale preferował samotność. Nikt nie wspominał

o stałej towarzysze.

Co ważniejsze, Tyler odziedziczył po bracie prawie milion dolarów. Przez pół roku w ogóle ich nie ruszał, po czym zamknął konto, przyjął kilkadziesiąt czeków bankierskich na różne kwoty

1 tego dnia po raz ostatni widziano go w Montanie. O co chodziło? I gdzie Tyler Bell przebywał obecnie?

Bree, Sampson, Anjali i ja przeprowadziliśmy telekonferencję z biurem szeryfa hrabstwa Glacier, a także Christopherem Forrestem, starszym agentem w biurze terenowym FBI w Salt

292

Lake City. Dołączył do nas również John Abate, starszy agent prowadzący dochodzenie w sprawie ZDW tu, w Waszyngtonie.

. — Jaki jest status waszego śledztwa w związku z zaginięciem? — rzucił Abate do aparatu głośnomówiącego.

— Sprawa jest otwarta, ale nie nazwałbym jej aktywną. Gość albo nie żyje, albo nie chce, żeby go znaleźć. — Steve Mills, zastępca szeryfa z Montany kierujący dochodzeniem, o dziwo miał angielski akcent. Co za numer?

— Forrest, a co ty masz? — spytał Abate rzeczowym, bezceremonialnym tonem. — Powiedz nam o Bellu, ile tylko możesz.

— Z tego co nam wiadomo, był właściwie całkiem odcięty od świata. Konto w Verizon opłacił z góry do grudnia, włącznie z minutami, których z jakiegoś powodu nie wykorzystał. Ma jedną kartę kredytową Visa, całkiem nieużywaną.

— No cóż, w końcu dysponował milionem dolarów — wtrącił Sampson.

— Zabrał z domu tylko parę rzeczy — dodał Mills. — Telefon, portfel, trochę ubrań. Nie żeby wiele pozostawił. Żył dość skromnie. Nie był podłączony do mediów i tak dalej.

— Nie wygląda mi na użytkownika telefonów komórkowych — rzekłem.

— Tylko że alternatywą było pociągnięcie do domu linii telefonicznej — odparł Mills. — Ale wątpię, żeby tej komórki często używał.

— No cóż, ktoś jej jednak użył. — Patel spojrzała na billing telefoniczny. — Wczoraj o czternastej.

— Ktoś? — spytał Christopher Forrest. — Jest powód, by wierzyć, że to nie Bell?

— Nie. Po prostu nie mamy dowodów, że to on — poinformowała Bree.

— Jeśli to ktoś inny, to byłby wielki zbieg okoliczności — powiedział Mills. — Nie sądzicie?

293

— Owszem. — Patel była nieco poirytowana. Nie nadążali za nią a poza tym ona też pracowała już za długo.

— Mamy jeszcze coś na temat Bella? — spytała Bree.

Kiedy możemy liczyć na zdjęcie?

— Proszę bardzo — odparł Forrest. — Właśnie wam przesłałem.

Patel zastukała w klawiaturę i przywołała widok prawa jazdy Tylera Bella. Wyświetliła go na ekranie w sali konferencyjnej.

Pamiętałem spotkanie z jego bratem w Kalifornii. Wówczas w pierwszej chwili skojarzył mi się z drwalem, ale w stylu kalifornijskiego rockandrollowca. Wyglądał jak zagubiony członek grupy The Eagles. Natomiast Tyler to autentyk. Brązowe włosy i pełna broda były kudłate, choć nie zaniedbane. Według informacji z prawa jazdy miał metr dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i ważył sto kilogramów.

— Jak myślisz, Bree? Poznajesz go? Czy to może być twój reporter?

Zmrużyła oczy i zanim odpowiedziała, przez dłuższą chwilę przyglądała się fotografii.

— Biorąc pod uwagę, jak potrafi zmieniać wygląd? Jasne, to możliwe. Reporter był rostry. Mógł mieć metr dziewięćdziesiąt.

— A co mówi twój instynkt?

Tym razem się zawahała.

— Że właśnie znaleźliśmy bydlaka. I jak mówiłam, już po nim.

Rozdział 1

Gdy tylko wiadomość o przypuszczalnym podejrzanym Ty-lerze Bellu dotarła do komendanta policji, dostaliśmy polecenie, by natychmiast upublicznić tę informację. Łatwo powiedzieć — znacznie trudniej zrobić.

Z pewnością prasie należało coś powiedzieć. Gdyby doszło do kolejnego morderstwa, a my nie wyjawilibyśmy tego, co wiemy, nie miałoby znaczenia, dlaczego postanowiliśmy to zataić. Ograniczenie strat pochłonęłoby dużo czasu, a śledztwo znacznie by ucierpiało.

Z drugiej strony do odbiorców z pewnością należał także podejrzany. Zdradzając zbyt wiele na temat stanu naszej wiedzy oraz niewiedzy, popełnilibyśmy nieodwracalny błąd.

Co zatem robić?

W ramach kompromisu przeprowadziliśmy krótką, nieplanowaną konferencję prasową na schodach Dały Building. Nikt z nas tego nie chciał, ale komendant nie dał nam wyboru. Chciał zakomunikować, że poczyniliśmy „postępy” w śledztwie, bez względu na ewentualne konsekwencje dla sprawy.

Zatem tego wieczoru o dwudziestej Sampson i ja rzeczywiście stanęliśmy przed dziennikarzami, ale tylko po to, by wyjawić

295

nazwisko głównego podejrzanego, Tylera Bella, oraz oznajmić, że chwilowo nie będziemy odpowiadać na pytania.

Bree została poza kadrem. Taką podjęła decyzję. Nie chciała, by niedawny atak stał się jeszcze większą sensacją.

Następnie wszyscy troje udaliśmy się prosto na górę na nadzwyczajną naradę. Trudno sobie wyobrazić, że sprawa stawała się coraz gorętsza, ale to prawda. Wyglądało na to, że chciał tego sam ZDW.

Ktoś na pewno tego chciał.

Rozdział 1

Ależ bałagan! A mogło być jeszcze gorzej. Na górze czekał na nas zespół w rozszerzonym składzie, chyba każdy detektyw z oddziału specjalnego oraz co najmniej jeden reprezentant posterunków z każdego okręgu.

Kiedy stanąłem w sali, gotów odpowiadać na pytania, ktoś puścił wśród zebranych kopertę ze składką dla rodziny posterunkowego Pearsalla. Odczekałem kilka minut, by zakończyła się ta smutna, przygnębiająca zbiórka, po czym zacząłem spotkanie.

— Postaram się zająć wam jak najmniej czasu. Wiem, że chcecie wrócić na ulicę. Ja też. — Uniosłem fotografię Bella. — To jest Tyler Bell. Rozdamy wam kopie tego zdjęcia. Istnieje spora szansa, że to właśnie ZDW. Po wiadomościach o jedenastej ta fotografia stanie się najbardziej znanym zdjęciem w Waszyngtonie, a zapewne również w całym kraju. Kłopot w tym, że obecnie Bell na pewno tak nie wygląda. Jeśli to cokolwiek pomoże, pracujemy nad symulacją jego wyglądu bez tego owłosienia. Jediną stałą jest wzrost. Bell ma metr osiemdziesiąt pięć, może metr

297

dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Tego raczej nie da rady zmienić.

Jeden z policjantów z drugiego okręgu uniósł rękę.

— Doktorze, jeśli tu chodzi o zemstę za brata Bella, to jak pan sądzi, dlaczego nie zwrócił się przeciwko panu?

Kiwnąłem głową. Trzeba uporać się z tym pytaniem.

— Po pierwsze, powiedziałbym, że zwrócił się przeciwko mnie, choć w inny sposób, niż pan myśli. Im bardziej się zbliży do osób, które go szukają, tym większą czerpie z tego emocjonalną satysfakcję. Sądzę, że jest to przedłużenie frajdy, jaką daje mu mordowanie na oczach publiczności. Ale w tej chwili tylko tak przypuszczam. Nie mamy pewności. Po drugie, nie jestem przekonany, że chodzi o zemstę. Zobaczymy. Być może Bell chce odnieść sukces tam, gdzie Michael poniósł klęskę, i wykorzystuje trop brata, żeby nas zmylić. A może nawet po to, aby oszukać samego siebie, że chodzi o coś więcej niż zaspokojenie ego. W rzeczywistości liczy się tylko on sam. Nie zemsta, nie brat, ale ogromne ego.

Lisa Johnson, jedna z naszych śledczych, podniosła wzrok znad notatek.

— Skąd Bell mógłby wiedzieć, że weźmie pan udział w śledztwie? Kiedy to wszystko się zaczęło, nie był pan nawet w policji, prawda?

Na to pytanie odpowiedziała Bree.

— Liso, nawet jeśli Alex nie był zaangażowany w sprawę od początku, trop związany z Michaelem Bellem w końcu by go w to wciągnął. Pamiętaj, że zostaliśmy do niego doprowadzeni.

— Więc myśli pani, że sprawca celowo użył tej komórki? — spytała Johnson. — Dobrze rozumiuję?

— Tak. Wątpię, by on cokolwiek robił bez powodu — powiedziałem. — Jeśli w którymś momencie zawaliliśmy, przeoczyliśmy jakąś wskazówkę, to on na pewno podrzucił

298

nam kolejną. Im bardziej wszystkim steruje, w tym większym stopniu w końcu zaspokoi swoje pragnienia.

— Czyli potrzebę bezkarnego mordowania?

— Miałem zamiar powiedzieć: chęć okładania nas za wszelką cenę, ośmieszania. Jak dotąd właśnie tym się zajmuje.

Rozdział 12

Późną nocą, jakby dla podkreślenia wszystkiego, co się dotąd wydarzyło, otrzymałem bezpośrednią odpowiedź od ZDW, która chyba przekazywała: „Czy jesteś gotów, czy nie, oto nadchodzę i możesz mi naskoczyć!”.

Byłem w domu i prowadziłem poszukiwania w Internecie. Ze względu na Michaela i Tylera Bellów szczególnie interesowały mnie relacje rodzeństw w sprawach seryjnych morderców. Znalazłem informacje o Dannym i Larrym Rane-sach, którzy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych niezależnie od siebie dokonali serii zabójstw. W Rochester był również przypadek bliźniaków jednojajowych o nazwisku Sapahalski. Jeden z braci przyznał się do dwóch morderstw i był podejrzewany co najmniej o dwa kolejne, podczas gdy drugi odsiadywał wyrok za dużo wcześniejsze zabójstwo.

Pomijając pokrewieństwo, w tych przypadkach nie istniały żadne inne powiązania z moją rolą w sprawie braci Bell. Poza tym znajdowałem głównie informacje o współpracujących ze sobą członkach rodzin.

Na dodatek wciąż nie wyjaśniliśmy tajemnicy kobiety w Baltimore. Kim ona, u diabła, była? I co się z nią stało po pościgu

300

samochodowym? Czy ZDW miał współniczkę? A także ewentualnego mentora w osobie Kyle'a Craiga?

Zalogowałem się na moją policyjną skrzynkę e-mailową, żeby rozestać informację o swych znaleziskach.

Gdy się załadowała, ujrzałem oczekującą wiadomość. I to bynajmniej nie miłą.

Czego chcę, detektywie Cross? To wszystko? Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że musi pan pytać. Ale wyłuszczyć to, jak potrafię najprościej.

CHCĘ, żeby pan zapłacił za to, co zrobił mojemu bratu. To sensowne, nieprawdaż?

CHCĘ, żeby dotarło do pana, że nigdy pan go nie zrozumiał, zanim go pan zabił. Tak jak nie rozumie i nigdy nie zrozumie pan mnie.

CHCĘ panu pokazać, że wcale nie jest pan tak dobry w te klocki, jak się panu wydaje. Ani pan, ani cała reszta kryminalistycznych psychiatrów. Ani ci od profili psychologicznych, kompletni oszuści, jak panu z pewnością wiadomo.

I CHCĘ, żeby zrozumiał pan coś jeszcze; to zawsze będzie się toczyć wyłącznie na moich warunkach.

Tak też się skończy. Jak i kiedy zechcę.

Jeszcze jakieś pytania?

T.B... czy nie T.B.?

W pierwszej kolejności przesłałem tę wiadomość do Anjali Patel z prośbą o szybką analizę. Pomimo później godziny odpisała, że nie ma problemu. I tak pracowała wyłącznie nad ZDW.

Następnie zadzwoniłem do Bree i dwukrotnie przeczytałem jej list.

301

— I co, kupujesz to? — spytała, gdy skończyłem. — Ten numer z rewanzem.

— Nie za bardzo. A ty?

— Dlaczego mielibyśmy w to wierzyć? Wszystko, co do tej pory zrobił, było kłamstwem. No a ten podpis?

Wciąż powracała ta kwestia: nie wiedzieliśmy, ile z ZDW to Tyler Bell, a ile — tylko jakiś spektakl. Kim był Tyler Bell? W szczególności: kim był, zanim to się zaczęło, a przynajmniej zanim objęło nas?

— Bardzo chciałbym obejrzeć tę jego chatkę — powiedziałem, a mój umysł podchwycił tę myśl, gdy tylko wybrzmiały słowa. — Trochę tam poniuchać.

— O tym samym myślałam, ale nie da rady, prawda? Na razie ta sprawa nas przytłoczyła. Ale zgadzam się, też chciałabym zobaczyć ten dom.

— Możemy wyjechać w piątek. Wrócimy w niedzielę.

Bree nic nie odpowiedziała. W pierwszej chwili chyba myślała, że żartuję. Potem się roześmiała.

— Chcesz powiedzieć, że to jest nasza szansa na wspólny weekend?

Rozdział 1

Kyle Craig w końcu wrócił do Waszyngtonu. Świetnie, no nie? Był wypoczęty i gotów do dzieła. Wszystko było na najlepszej drodze do nieuniknionego zderzenia, a on nie mógł się doczekać finałowej kraksy. Albo raczej kraks.

Jak wysoko obstawialiby przeciw niemu w Las Vegas, kiedy gnił w tej norze w Kolorado? No cóż, przeszedł wszelkie oczekiwania. Robił tak przez całe życie.

Przed przybyciem do Waszyngtonu kupił w Marylandzie używanego buicka. Auto było zaskakująco szybkie. Na dodatek nie wyróżniało się. Waszyngtońscy złodzieje samochodów raczej by się nie połazczyli, co stanowiło pewną zaletę.

Wczesnym rankiem, konkretnie od czwartej do szóstej, jeździł po stolicy, udając turystę, zwiedzając, przypominając sobie, że kiedyś pracował w tym mieście jako agent. Przejechał Pierwszą Ulicę, obok budynku Sądu Najwyższego, obok Kapitolu. Nawet zasalutował Statui Wolności na szczycie kopuły. Wspaniałe miasto! Wciąż należało do jego ulubionych, choć nie mogło się równać z Paryżem. Przynajmniej nie w jego mniemaniu. Zawsze podziwiał Francuzów oraz ich uzasadnioną pogardę dla Amerykanów i wszystkiego, co dotyczy tego narodu.

303

W końcu ruszył w stronę Pennsylvania Avenue i przejechał tuż obok Budynku Hoovera — kwatery głównej FBI. Oto miejsce tak wielu jego triumfów jako agenta, a potem koordynatora. Ściągał nikczemnych morderców, zwłaszcza działających według klucza. Paradoksalnie nikt nie zamknął większej liczby śledztw, nawet Alex Cross.

A teraz tu wrócił, gotów niszczyć. Czuł w żyłach ten dawny jad, znów chciał rozerwać miasto na strzępy. Jak za dawnych lat.

Miał mały komputer Sony Vaio, z którego mógł połączyć się z Internetem z samochodu. Podczas gdy on gnił w ADX Florence, w świecie technologii wydarzyło się wiele ciekawych rzeczy. Przegapił je i zawdzięczał to Alexowi Crossowi oraz kilku innym osobom z FBI, które go zdradziły. Kyle włączył laptop. Następnie napisał:

Wróciłem do miasta. To dla mnie emocjonalny moment. Jeśli nie masz innych planów, pamiętaj o spotkaniu w sobotni wieczór. Wierzę, że wspólnie będziemy wielcy. X znaczy miejsce.

Nie zwracał sobie głowy dodawaniem: „Albo ty, albo ja”. Uznał, że dla ZDW powinno to być oczywiste. — Ale zobaczymy. Zobaczymy.

Rozdział 1

Najgorsze wciąż przed nami! Kyle pamiętał to hasło z dawnych czasów, zanim złapał go Alex Cross. Właśnie zamordował wielce niegrzecznego dziennikarza kryminalnego z „Washington Post”, a także żonę tego aroganckiego skurwiela. Zamierzał przebić największe umysły jego czasów — Gary'ego Sonejiego, Geoffreya Shafera czy Casanovę, z którym pracował jako współautor, jeśli można to tak nazwać. Przede wszystkim jednak, co miało dla niego największe znaczenie, zamierzał przebić siebie samego — wzrastać, rozwijać się, osiągnąć w swej dziedzinie prawdziwą wielkość, podążać za marzeniem.

Nagle przypomniał sobie coś jeszcze z chwili aresztowania, coś bardzo bolesnego. Alex Cross wybił mu dwa przednie zęby! Tak właśnie wyglądał, kiedy go w końcu pojmano. Na zdjęciach, które trafiły do gazet i czasopism na całym świecie. Do wszystkich dzienników telewizyjnych.

Supermózg!

Szczerbaty.

Jak jakiś parszywy głupiec.

Jak bezdomny, jak włóczęga.

I jeszcze ta kobieta! Publicznie z niego szydziła. Powiedziała mu w twarz, że nigdy więcej nie ujrzy słońca. Chełpiła się tym

305

przy przeróżnych świadkach. Napisała nawet dętą książkę, którą równie bezbarwny „Washington Times” nazwał „prawniczym arcydziełem”.

Więc to w takim ponurym kolonialnym domu z czerwonej cegły mieszkała w Fairfax sędzia Nina Wolff. Niewiele można zarobić na świętoszkowości, co?

Kyle ruszył w stronę domu — a idąc, wyjął niewielką puszkę. Zaczął nią wściekle potrząsać. Rzeczywiście był wściekły i do cholery, miał ku temu wszelkie prawo. Sędzia Nina Wolff pozbawiła go czterech lat życia.

To już nie ulegało wątpliwości — teraz nastał jego czas.

ZDW to przebrzmiała historia.

Począwszy.

Od.

Teraz.

Znów stał się kimś.

Tylko on.

Wycelował puszkę i napisał wiadomość.

Rozdział 105

Osobą, która do mnie zadzwoniła, była Monnie Donnelley, analityk z akademii FBI w Quantico i moja dobra znajoma — pewnie dlatego, że wiedziała o mojej bliskiej znajomości z sędzią Niną Wolff.

Pracowałem z Niną podczas procesu Kyle'a Craiga. Później pomogłem jej napisać książkę. Była kochającą

matką trójki nastoletnich córek. Jej mąż, George, to uroczy facet, a przy tym tak dowcipny, że mógłby występować jako komik. Stanowił idealne uzupełnienie surowej sędzi.

A teraz — ta tragedia, ta potworność w ich domu. Oczywiście wiedziałem, kim musiał być morderca Niny Wolff, choć niemal pragnąłem się mylić. Dopuszczałem cię możliwości, że nie zabił jej Kyle Craig, tylko ZDW, ale trudno to było sobie wyobrazić.

Przyjechałem do Fairfax o drugiej nad ranem. Zastałem dziesiątki samochodów, furgonetek i ciężarówek. Większość miała na dachach migające światła. Obudziła się również cała podmiejska okolica — w każdym mijanym domu niemal wszystkie okna lśniły jasnym światłem niczym przestraszone, czujne oczy.

Jakież to smutne — w takiej okolicy. Ładnej i spokojnej.

307

Ludzie próbowali tu wieść życie w harmonii i z godnością. Czy to zbyt wiele? Najwyraźniej tak.

Wysiadłem z mercedesa na końcu ślepej uliczki i ruszyłem pieszo. Potem zacząłem powoli biec, chyba dlatego, że czułem taką potrzebę. Może nawet chciałem stąd uciec — dyktowała mi to zdrowsza część umysłu — jednak zbliżałem się do domu Wolffów, bo tak jak zawsze przyciągały mnie niebezpieczeństwo, chaos, śmierć i nieszczęście.

Nagle się zatrzymałem. Przeszedł mnie dreszcz. Nawet nie dotarłem do domu, a już ujrzałem pierwszy straszliwy widok. Miałem go tuż przed oczami.

Wiedział, że tu przyjadę i zobaczę to na własne oczy, prawda?

Na samochodzie Wolffów, czarnym mercedesie klasy S namalowano jasnoczerwoną literę X.

Drugie czerwone X znajdowało się na drzwiach frontowych, niemalże od góry do dołu.

Ale ja wiedziałem, że to nie litery. To krzyże! Przeznaczone wyłącznie dla mnie.

Zza taśm policyjnych dziennikarze wykrzykiwali pytania oraz robili niezliczone zdjęcia domu i samochodu. W tej chwili wszystko to wydawało mi się nierealne.

— To ZDW, prawda? — usłyszałem. — Co on robi w Wirginii? Rozszerza pole działania?

Nie, pomyślałem, ale zachowałem to dla siebie. Kyle Craig nie rozszerza pola działania. Wręcz przeciwnie, zawęża je. I już wybrał cel.

Nie — cele. Kyle zawsze myślał na dużą skalę.

Rozdział 16

Kyle oszczędził George'a Wolffa oraz trójkę dzieci. Zastanawiałem się dlaczego. Może był teraz aż tak skoncentrowany. Chciał sędzi Niny Wolff... i tylko jej. Więc co zrobi w następnej kolejności? Ile czasu minie, zanim pojawi się na moim progu? A może we wnętrzu domu?

Tego dnia o ósmej rano miałem sesję z Sandy Quinlan, ale nie przyszła. To jedynie sprawiło, że czułem się jeszcze mniej komfortowo. Teraz i moja praktyka się rozlatywała. Diabli ją brali na moich oczach.

Poza tym się martwiłem. Sandy nigdy wcześniej nie przegapiła spotkania, więc czekałem w gabinecie, aż minęła dziewiąta. Wtedy okazało się, że nie przyszedł również Anthony Demao. O co chodziło? Czy byli razem? Co jeszcze mogło się dziś nie powieść?

Czekałem tak długo, jak tylko mogłem, po czym zadzwoniłem do Bree i powiedziałem, że po nią przyjadę. Tego popołudnia wyjeżdżaliśmy przez Denver do Montany, żeby obejrzeć domek Tylera Bella. Czuliśmy, że musimy to zrobić. Zobaczyć tamto miejsce na własne oczy, sprawdzić wszystko, co tam zostawił.

Opuszczając budynek, niemalże wpadłem na Sandy Quinlan.

309

Stała na chodniku przed drzwiami frontowymi, ubrana na czarno, spocona i zdyszana.

— Sandy, co się dzieje? — spytałem, usiłując zachować spokój. — Gdzieś ty była?

— Och, panie doktorze, bałam się, że już pana nie zastanę. Przepraszam, że nie zadzwoniłam. — Uniosła głowę, by spojrzeć na mnie spod nieco przymkniętych powiek, i gestem pokazała, żebym podszedł do krawężnika. — Przyszłam, żeby panu powiedzieć... że wyjeżdżam.

— Jak to?

— Wracam do Michigan. Waszyngton to nie miejsce dla mnie. Przyjechałam tu z niewłaściwych pobudek. Przecież nawet gdybym kogoś poznała, to co z tego, skoro nie cierpię tego miasta, prawda?

— Sandy, czy przed wyjazdem możesz się ze mną umówić na ostatnie spotkanie? W poniedziałek z samego rana? — spytałem. — Spotkałbym się z tobą w weekend, ale wyjeżdżam.

Uśmiechnęła się i jeszcze nigdy nie widziałem jej równie pewnej siebie. Pokręciła głową.

— Przyszłam się tylko pożegnać, panie doktorze. Już postanowiłam. Wiem, co muszę zrobić.

— No cóż, dobrze — odparłem.

Wyciągnąłem rękę, ale ona rozłożyła ramiona i przytuliła mnie. Wydawało mi się to dziwne, wymuszone, niemal teatralne.

— Zdradzę panu sekret — szepnęła z ustami przy moim ramieniu. — Żałuję, że nie poznałam pana w innych okolicznościach. Nie jako mojego terapeutę.

Następnie wspięła się na palce i pocałowała mnie w usta. Szeroko otworzyła oczy, ja chyba też, a ona się zaczerwieniła.

— Nie wierzę, że to zrobiłam — wyrzuciła z siebie jak nastolatka.

— No cóż, wygląda na to, że zawsze musi być ten pierwszy raz — powiedziałem. Mogłem się złościć, ale po co? Przecież wracała do Michigan i może tak było najlepiej. Po krótkiej, niezręcznej ciszy Sandy wskazała kciukiem przez ramię.

- Odprowadzi mnie pan do samochodu?
- Ja zaparkowałem po drugiej stronie — odparłem.

Kokieteryjnie przekrzywiła głowę.

- To może ja pana odprowadzę?

Zaśmiałem się i uznałem to za komplement.

- Żegnaj, Sandy. Powodzenia w Michigan.

Pomachała mi palcami i mrugnęła okiem.

- Panu również życzę powodzenia, doktorze.

Rozdział 1

W tym momencie ZDW odgrywał kolejną rolę — detektywa Jamesa Corninga, który odłożył aparat fotograficzny i patrzył przez okno samochodu jak... no cóż, każdy inny głupi gliniarz. Właśnie zrobił zdjęcie Alexowi Crossowi całującemu swoją pacjentkę, Sandy Quinlan, choć oczywiście nie było to jej prawdziwe nazwisko. Sandy Quinlan to tylko kolejna rola. Tak jak Anthony Demao. I detektyw James Corning.

Corning przez cały tydzień uważnie obserwował Crossa i Bree Stone. Zbytne zbliżenie się do nich nie byłoby rozsądne, ale bez trudu kontrolował ich ruchy.

Teraz śledził Crossa, który udał się na parking w pobliżu gabinetu, a potem pojechał do domu Bree Stone przy Osiemnastej Ulicy.

Po dziesięciu minutach oboje wyszli z budynku. Stone niosła neseser. Potrafiła spakować tylko najpotrzebniejsze rzeczy, czego nie można powiedzieć o większości kobiet. James Corning podążał za nimi tak długo, aż stało się jasne, że kierują się do międzynarodowego portu lotniczego imienia Reagana. No, no, no. Szczerze mówiąc, wcale go to nie dziwiło.

Przy wjeździe do garażu na lotnisku znów jechał za nimi. Cross znalazł wolne miejsce na trzecim poziomie, a Corning

ruszył wyżej. Zaparkował na czwartym, po czym dogonił Crossa i Stone w łączniku wiodącym do terminalu.

Trzymał się z tyłu, by uniknąć ryzyka, że zostanie zauważony.

Przeszli odprawę przy stanowisku American Airlines, więc Corning na podstawie listy odlotów mógł zgadywać, dokąd się udają. Logicznym kierunkiem wydawało się Denver. Odczekał, aż zjadą po ruchomych schodach do kontroli, po czym wrócił do strefy odpraw.

Kolejnemu podróżnikowi w kolejce pokazał odznakę.

— Przepraszam, ja tylko na sekundę. W sprawie policyjnej.

Następnie wylegitymował się agentce American Airlines

za ladą.

— Detektyw Corning, komenda stołeczna policji. Potrzebuję informacji o dwójce pasażerów, którzy właśnie przeszli odprawę. Stone i Cross.

Kiedy James Corning zdobył niezbędne wiadomości, zatrzymał się przy barze i kupił pączka, którego wcale nie miał zamiaru jeść. To też element planu. Ważny rekwizyt. I do tego fajny. Ruszył z powrotem do garażu.

Na trzecim poziomie stanął obok auta Crossa. Włożył nowo kupiony telefon komórkowy do torby z pączkiem, zwinął ją i przykleił taśmą izolacyjną do spodu drzwi od strony kierowcy. Była na tyle niepozorna, żeby nie zauważyli jej przechodnie, ale na pewno nie mogli przeoczyć powracający do Waszyngtonu Cross i Stone.

W niedzielę o szesnastej trzydzieści lotem numer 322 z Denver.

Może nawet ZDW wróci, by osobiście ich przywitać.

Rozdział

Bree i ja wylądowaliśmy w Denver w piątek po południu, a następnego dnia rano ruszyliśmy do Kalispell w Montanie. Lot powrotny był w niedzielę o wczesnej porze, więc mieliśmy tylko dzień na to, by wykonać całą robotę i dowiedzieć się jak najwięcej o Tylerze Bellu, o wszystkim, co robił tu w lesie i co planował zrobić w następnej kolejności.

Droga z Kalispell do Babb wiodła wprost przez Park Narodowy Glacier. Zawsze chciałem go zobaczyć i nie rozczarowałem się. Serpentyzny na drodze Going-to-the-sun na zmianę to przyciskały nas do skalnej ściany, to kazały nam patrzeć w przepaść. Szczerze mówiąc, było to dość pouczające przeżycie, a przy

tym piękne i byłoby romantyczne, gdybyśmy z Bree mieli czas na takie rzeczy. W pewnym momencie spojrzęła na mnie i powiedziała: „No proszę, chcieć to móc!”.

Dojechaliśmy do Babb w sobotę koło południa. Zastępca szeryfa Steve Mills zgodził się przyjechać z biura w Cut Bank, oszczędzając nam studwudziestokilometrowej podróży po krętych bocznych drogach, przez co zyskaliśmy ponad godzinę.

Mills był wyluzowany i sympatyczny. Na pierwsze pytanie odpowiedział, zanim je jeszcze zadaliśmy.

314

— Poznałem moją żonę, kiedy przyjechałem tu z Manchesteru na wakacje. Na wycieczce na ryby, wyobraźcie sobie. Dwanaście lat temu. Już się nie oglądałem za siebie — powiedział z tym swoim prawdziwie angielskim akcentem. — Jak to miejsce was usidli, to nie puszcza. Na pewno sami się przekonacie. Wiecie, że kiedyś używałem imienia Stephen, a nie Steve?

Ruszyliśmy za Millsem drogą numer osiemdziesiąt dziewięć na południe, minęliśmy rezerwat Blackfeet i dotarliśmy aż do czubka jeziora Lower St. Mary.

Stamtąd mniej więcej przez dwa i pół kilometra jechaliśmy nieoznakowaną drogą gruntową aż do zarośniętej ścieżki, która odbijała w prawo.

Zagrodzono ją dwoma policyjnymi płótkami. Jeden z nich leżał przewrócony. Ciekawe, jak skuteczna była taka ochrona przed ludźmi z CNN i Bóg wie kim jeszcze.

Wysoka trawa ocierała się o boki samochodu, gdy jechaliśmy ostatnie siedemset metrów, po czym dotarliśmy na otwartą przestrzeń o powierzchni około akra.

Domek Tylera Bella z pewnością nie należał do luksusowych, ale nie była to również chatka Unabombera. Bell oszalał go naturalnym czerwonym drewnem, dzięki czemu całość ładnie komponowała się z okolicą. Mały budynek stał wtulony w zakole płynącej na zachód rzeki. W oddali rozciągał się przepiękny górski widok.

Rozumiałem, dlaczego ktoś mógł się osiedlić w takim miejscu, pod warunkiem że nie pragnął kontaktu z ludźmi, a może do tego parał się morderstwami.

Rozdział 1

Na drzwiach do domku nie było zamka. Mills zaczekał na zewnątrz, a gdy weszliśmy do środka i poczuliśmy woń, zrozumieliśmy dlaczego. Gniła tutaj mieszanka jedzenia i śmieci, zapewne od miesięcy. Smród był wprost nie do opisanego.

— Tyle, jeśli chodzi o raj na ziemi — rzekła Bree, zakrywając twarz chusteczką, jakby to było miejsce zbrodni. Może było.

Główne pomieszczenie to zarazem kuchnia, jadalnia i pokój dzienny. Okno panoramiczne na tyłach wychodziło na rzekę. Wzdłuż bocznej ściany stał stół warsztatowy Bella, a na nim leżały różne narzędzia

oraz kilkadziesiąt przynęt rybackich w różnym stadium wykonania. Powyżej wisiła niewielka kolekcja wędek.

Z wyjątkiem dwóch skórzanych, rozkładanych foteli meble wyglądały na zrobione samodzielnie przez Tylera Bella, włącznie z parą sosnowych regałów na książki.

— O człowieku wiele można powiedzieć wyłącznie na podstawie książek, które czyta — powiedział Mills, który w końcu postanowił do nas dołączyć. Stał przed regałem i zaczął przeglądać grzbiety. — Biografia, biografia. Kosmologia. Żadnej beletrystyki. Coś wam to mówi?

316

— Czyje to biografie? Oto moje pierwsze pytanie — powiedziałem, również się tam zbliżając.

Zobaczyłem kilka tomów o amerykańskich prezydentach — Trumanie, Lincolnie, Clintonie, Reaganie i obu Bushach — a także o innych światowych przywódcach: cesarzu Hirohito, Margaret Thatcher, Bin Ladenie, Ho Szi Minie, Churchillu.

— Może ma złudzenie wielkości? — zasugerowałem. — Pasowałoby do ZDW. Przynajmniej do tego, co o nim wiemy.

— Czyżby nie miał pan wielkiego zaufania do swoich informacji? — wysapał Mills, który w ogóle dużo sapał.

— Nie mam. Od początku się z nami bawi. To gracz.

Sypialnia Bella była mniejsza i ciemniejsza — właściwie

zatęchła. W pokoju, za przepierzeniem w postaci kolejnego regału, stały sedes i umywalka. Nie widziałem wanny ani prysznic, chyba że liczyć rzekę. Szczerze mówiąc, pomieszczenie przypominało mi celę więzienną — a to sprawiło, że znów pomyślałem o Kyle'u Craigu. Co on, do diabła, miał z tym wspólnego?

Jedynymi ozdobami były wiszące na ścianie trzy zdjęcia w ramach. Umieszczone jedno pod drugim przypominały mi nową stronę internetową zabójcy. Górne to czarno-biały portret ślubny, zapewne rodziców. Na środkowym widniały dwa golden retrievery.

Ostatnie było zdjęcie piątki dorosłych osób na tle tego samego czerwonego pick-upu, który teraz stał porzucony przed domem.

Troje z nich natychmiast rozpoznałem i aż się wzdygnąłem: Tyler Bell, Michael Bell oraz Marti Lowenstein-Bell, która w końcu zginęła z rąk męża. Pozostała dwójka, kobieta i mężczyzna, nie była mi znana. Jedna z kobiet trzymała za głowę Tylera palce ułożone w literę V. Czyżby myślała, że to diabeł?

— Dziwne, prawda? — odezwała się Bree. — Naprawdę wyglądają na szczęśliwych, nie sądzisz?

— Może byli. Ba, może on nadal jest.

W końcu, po wielu godzinach ślęczenia nad każdym centymetrem sypialni, wróciliśmy do głównego pokoju, by zmierzyć się ze strefą kuchenną, którą zostawiliśmy na koniec. Nie chcieliśmy otwierać lodówki wcześniej niż to konieczne. Było to urządzenie na propan, który już dawno się wyczerpał. Produkty w połowie wypełniały półki. Większość wyglądała na kupione hurtowo: ziarna i fasola w plastikowych torebkach, a obok nierozpoznawalna warzywno-owocowa papka.

— Nie ma co, lubi musztardę — rzekła Bree. Na drzwiczkach stało kilka różnych rodzajów. — I mleko. — Miał dwa dwulitrowe kartony, jeden z nich nieotwarty.

Nachyliłem się, by je obejrzeć.

— Mleko się psuje — powiedziałem.

— Nie ono jedno. — Bree znów zakrywała nos i usta chusteczką.

— Nie o to mi chodzi. Ostatni raz widziano Bella w tej okolicy na dzień przedtem, zanim upłynął termin ważności mleka w jednym kartonie. — Wstałem i zamknąłem drzwi lodówki. — Drugie ma datę przydatności do spożycia późniejszą o kolejne dziewięć dni. Po co Bell kupowałby więcej mleka, skoro zamierzał stąd zniknąć?

— No i — dodała Bree — po co miałby znikać tak nagle? Był tutaj całkiem bezpieczny. Kto by go nachodził?

— Właśnie. To kolejna kwestia do sprawdzenia. Więc którą najpierw się zajmujemy?

To pytanie już po chwili przestało mieć znaczenie. Gdy tylko je zadałem, zadzwonił mój telefon i znów wszystko diametralnie się zmieniło.

Rozdział 1

Spojrzałem na identyfikację numeru.

— To pewnie dzieciaki — powiedziałem Bree i odebrałem połączenie. — Pozdrowienia z tona natury! — zawołałem.

Ale zamiast głosu kóregoś z dzieci usłyszałem:

— Alex, to ja, Nana.

Napięcie w jej głosie sprawiło, że po plecach przebiegł mi dreszcz przerażenia.

— Co się dzieje? Czy z dziećmi wszystko w porządku? — spytałem odruchowo. — Z Damonem też?

— Dzieciom nic nie jest. Chodzi... — Usłyszałem drżące westchnienie. — Alex, chodzi o Sampsona. John zniknął. Przez cały dzień nikt go nie widział.

Te słowa podziałały na mnie jak zimny prysznic. Przecież odbierając telefon, liczyłem, że usłyszę radosne głosy moich dzieciaków. „Cześć, tato. Kiedy wracasz? Przywieziesz mi coś?”.

Zamiast nich usłyszałem to.

— Alex, jesteś tam?

— Jestem.

Świat wokół mnie znów nabrał ostrych konturów. Bree

319

przeglądała mi się uważnie, zastanawiając się, o co chodzi. Potem zadzwoniła jej komórka. Odebrała.

Czułem, że słuchamy tych samych wieści, tylko z innych źródeł.

— Davies — bezgłośnie zasygnalizowała Bree ruchem ust. Miała na linii nadinspektora wydziału śledczego. — Tak jest, słucham pana.

— Babciu, poczekaj chwileczkę — poprosiłem.

— Mniej więcej w porze lunchu Sampson poszedł na siłownię — Bree na żywo relacjonowała, co mówił Davies. — Właśnie znaleźli jego samochód. Ale jego nie. Alex, w kabinie było trochę krwi.

— On żyje — stwierdziłem. — Gdyby nie żył, ZDW już by nas powiadomił. Znów chce mieć publiczność.

Rozdział 1

W przeszłości zdarzało mu się już kontrolować innych zabójców, w szczególności błyskotliwego chłopca, który nazywał się Casanová i pracował w trójkącie badawczym w pobliżu uniwersytetów Duke i Karoliny Północnej. Oczywiście w tamtych czasach Kyle był agentem FBI.

Raz wyjaśnił to nawet Alexowi Crossowi. „To, co robię... chcą robić wszyscy ludzie. Realizuję ich tajemne fantazje, małe, paskudne sny na jawie... Nie żyję według zasad stworzonych przez rzekomo równych mi ludzi”. Twierdził, że przyciąga innych, którzy myślą podobnie jak on.

Teraz Kyle Craig miał własne wyobrażenie o tym, jak powinny potoczyć się sprawy. Wiedział, że nadszedł czas, by przejąć kontrolę. Może nawet było już za późno. Gdy siedział w więzieniu, mężczyzna znany jako ZDW skontaktował się z nim przez jego prawnika, Wainwrighta, tak jak wielu innych podobnych do niego świrów. ZDW twierdził, że jest jego wielbicielem i uczniem — podobnie jak sam Wainwright — teraz jednak przyszła pora, by nauczyciel wyszedł z cienia i zapanował nad całą zabawą.

X znaczy miejsce. Dość łatwe do rozszyfrowania, myślał Craig. Szczególnie dla kogoś, kto uważa się za geniusza.

321

Kyle zajął pozycję w sobotni wieczór kilka minut przed północą. Tak jak obiecał. Ciekawiło go, co się teraz stanie, i to z kilku powodów. Po pierwsze, czy ZDW był na tyle bystry, żeby dotrzeć na miejsce spotkania? Uzasadnione pytanie, lecz raczej tak. ZDW to wystarczająco mądra bestia.

Poza tym czy naprawdę pokaże mu twarz? To już trudniejsza sprawa. Kyle oceniał szanse mniej więcej pół na pół. Wszystko zależało od tego, jak bardzo ZDW lubił ryzyko. Czy był bardzo pewny siebie?

A może przyjdzie w jednym ze swych teatralnych przebrań? Może przyjdzie jako ja? Kyle uśmiechnął się, pozwalając, by ta ostatnia myśl przez chwilę dryfowała mu w głowie. Następnie zajął się innymi kwestiami. Wciąż intrygowało go pojęcie wolności — swobodnego chodzenia po świecie. Czuł bicie własnego serca, równe, choć przyspieszone. Coraz lepiej mu szło kontrolowanie własnego ciała i umysłu.

Potem coś usłyszał. Ktoś tam był. Z tyłu dobiegł głos:

— Na twoją cześć.

ZDW przybył. Wyszedł spośród rzucających cień dębów. Bez maski, bez przebrania. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna po trzydziestce. Dość pewny siebie.

Zaraz za nim stał dom Alexa Crossa na Piątej Ulicy.

X znaczy miejsce. Chodziło oczywiście o dom Crossa.

— Ja też czuję się zaszczycony — powiedział Kyle.

Wiedział, że obaj kłamią i zastanawiał się, czy dla ZDW

było to równie wyborne jak dla niego samego.

Rozdział 12

— Dobrze wreszcie cię poznać — powiedział ZDW, robił jednak wrażenie spiętego i nieco zdenerwowanego. — Ziściło się wszystko, o czym mówiłeś. Wszystko.

— Tak. Mówiłem, że wydostanę się z ADX, i oto jestem — odrzekł Kyle.

On również zdawał się odrobinę nieśmiały, ale to tylko poza.

— Czy on tam śpi? Czy on w ogóle śpi? — spytał ZDW, wskazując gestem dom Crossa po drugiej stronie ulicy.

Świetnie znał to miejsce, zrobił dziesiątki zdjęć pod każdym kątem.

— Na górnym piętrze. Właśnie tam zwykle pracuje i rozwiązuje te swoje zagadki — powiedział Kyle.

— Ale teraz chyba nie ma go w domu, prawda? Światło się nie pali.

— Rzeczywiście, nie ma go. Jest w Montanie i szuka mnie. Tobie się wydaje, że rozszyfrował tę naszą grę. Mnie nie — rzekł ZDW.

— No proszę. Ale musisz uważać. Niedocenianie doktora Crossa jest nierozsądne. On ma w tych sprawach szósty zmysł, jest chorobliwie oddany śledztwu, bardzo ciężko pracuje. Może cię zaskoczyć.

ZDW nie zdołał ukryć śladu okrutnego uśmiechu.

323

— Czy właśnie tak było z tobą? Jeśli wybaczysz taką bezpośredniość.

— Ależ nie ma sprawy. Mnie w końcu pokonał mój największy wróg: duma, ego, pycha. Pod koniec za bardzo ułatwiłem Crosso-wi zadanie.

— Nienawidzisz go, prawda? Chcesz go publicznie pokonać.

Teraz to Kyle się uśmiechnął. ZDW dokonywał projekcji.

Wyjawiał na swój temat więcej, niż powinien.

— Cóż, chcę upokorzyć Crossa. Nie miałbym nic przeciwko zniszczeniu jego reputacji. Ale nie, to nieprawda, że nienawidzę Alexa. Wcale. Wręcz przeciwnie, uważam go za drogiego przyjaciela.

ZDW zaśmiał się w głos.

— Nie chciałbym być twoim wrogiem.

— Rzeczywiście — odparł Kyle Craig i też się roześmiał. — Wolałbyś mi nie zająć za skórę.

— A zaszedłem? Czy posunąłem się za daleko?

Kyle wyciągnął rękę i poklepał zabójcę po ramieniu, by mu przekazać, że między nimi wszystko w porządku.

— A teraz opowiedz mi o sobie. Chcę się dowiedzieć wszystkiego. A potem — Craig znów się uśmiechnął — możesz mi powiedzieć o swoim partnerze. Widziałem, że tam w cieniu ktoś się czai. Nie chciałbym być zmuszony go zastrzelić. Ale w razie czego oczywiście to zrobię.

Kobieta występująca jako Sandy Quinlan wyszła spomiędzy drzew.

— Na twoją cześć — to były jej pierwsze słowa skierowane do wielkiego Kyle'a Craiga.

Być może nieszczerze, choć może nie. Z pewnością pochlebnie. Oczywiście ona też była aktorką.

Kyle wolno pokiwał głową, po czym rzekł:

— Zatem powiedzcie mi o Johnie Sampsonie. Gdzie go więzicie i co zaplanowaliście?

Rozdział 1

Późnym wieczorem wraz z Bree popędziliśmy do Kali-spell — by przekonać się, że najszybszą drogą do domu pozostawał lot, którym pierwotnie mieliśmy wrócić. Nie było alternatywy, w każdym razie takiej, na którą było nas stać.

Zatem zameldowaliśmy się w motelu, lecz oboje ledwie się zdrzemnęliśmy. Świadomość, że w tych pierwszych, kluczowych godzinach nie możemy pomóc Sampsonowi, wykańczała nas oboje, a mnie w szczególności. John i ja od dzieciństwa byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, a teraz miałem złe przeczucie. Jednak byłem z Bree i spaliśmy w swoich objęciach.

W niedzielę w końcu dotarliśmy do Waszyngtonu — podminowani, lecz absolutnie skupieni. Z lotniska zadzwoniłem do Billie Sampson, by powiedzieć jej, że będziemy u niej za dwadzieścia minut. Po drodze do samochodu zameldowałem się u nadinspektora Daviesa. Osobiście nadzorował tę sprawę. On także przyjaźnił się z Johnem.

— Kiedy byliście w powietrzu, wynikły nowe okoliczności — poinformował mnie Davies. — Sukinsyn zaplanował na dziś internetową wideotransmisję.

— Jak to? Jaką wideotransmisję? O której?

325

— Na razie nie znamy szczegółów. Około czternastej dostaliśmy e-mail. Ten sam sposób dystrybucji co poprzednio. — To oznaczało, że wiadomość znów przesłano do mediów. — Podał tylko adres strony i poinformował, że dziś wieczorem będzie tam transmisja na żywo.

— Przyjedziemy jak najszybciej. Najpierw zajrzemy do Billie Sampson. To mniej więcej po drodze. Nie zdejmujcie strony! Niech działa. Musimy zobaczyć, co on wymyślił.

— Sami właśnie tak zdecydowaliśmy. Pewnie nie będzie innego sposobu, żeby to namierzyć.

Obaj wiedzieliśmy, że mówiąc „to”, Davies miał na myśli morderstwo Sampsona i obrzydliwy publiczny spektakl, którym miało się stać.

Skończyłem rozmowę, gdy wsiadaliśmy do samochodu.

— Co powiedział? — spytała Bree.

Milczałem przez chwilę. Byłem zbyt zajęty wpatrywaniem się w pakunek przyklejony do drzwi auta.

Biały papier, srebrna taśma izolacyjna. Widziałem już kiedyś coś bardzo podobnego.

— Bree? Posłuchaj mnie teraz. Odsuń się od samochodu. Chodź tu do mnie. Bardzo powoli i jak najdalej od wozu.

Obeszła samochód i spojrzała na drzwi.

— Jezu. Czy to ładunek wybuchowy?

— Nie wiem. — Wyjąłem miniaturową latarkę i pochyliłem się, by lepiej się przyjrzeć. — To może być wszystko.

Lecz kiedy pakunek zadźwięczał, oboje bardzo szybko odskoczyliśmy.

Rozdział 1

Minęło kilka sekund, zanim zrozumieliśmy, że dźwięk, który słyszymy, to dzwonek telefonu komórkowego i że dochodzi z wnętrza pakunku.

Rozerwałem papier i wydobyłem okruchy pączka oraz czarną motorolę. Uznałem, że pączek to jakiś kiepski żart z policjantów.

Zamiast numeru dzwoniącego aparat wyświetlał zdjęcie. Przedstawiało Sampsona z przewiazanymi oczami. Na policzku miał szeroką ranę i zaschnięte ślady krwi. Zanim odebrałem, wziąłem głęboki oddech, by opanować gniew.

— Bell?

— Cross? — Przedrzeźniał mój głos.

— Gdzie on jest?

— Ja mówię. Ty słuchasz. A teraz chciałbym, żebyście oboje wyjęli swoje telefony i unieśli wysoko. Trzymajcie je dwoma palcami, jeśli łaska.

— Nie, to ty posłuchaj. Zanim cokolwiek zrobię, chcę porozmawiać z Sampsonem.

Nastąpiła chwila ciszy, rozległ się jakiś szelest, a potem stłumione:

— To do ciebie.

327

Następnie usłyszałem głos Sampsona, wyraźny i łatwy do rozpoznania.

— Alex, nie rób tego!

— John! — krzyknąłem.

Ale po drugiej stronie znów był Bell.

— Telefony, proszę. Do góry. Oba.

Obróciłem się i zlustrowałem wzrokiem garaż. Z pewnością ktoś nas obserwował i przekazywał informacje, ale nikogo nie widziałem.

— Teraz albo nigdy, doktorze. Nie chciałby pan, żebym się rozłączył. Daję słowo. Naprawdę by pan nie chciał.

— Bree, wyjmij swoją komórkę. Podnieś ją. Następnie kazał nam położyć telefony za tylnymi kołami mojego auta i wsiąść do kabiny.

— A teraz jedź do tyłu. Po telefonach. Potem wyjedź z garażu i skręć w prawo.

— Dokąd zmierzamy?

— Żadnych pytań. Jedź. Pośpiesz się! Czas upływa. Wrzuciłem wsteczny bieg i usłyszałem chrzęst miażdżonych

komórek.

— Kurwa — mruknęła Bree.

Nie złościła jej strata telefonów, ale to, że wykonywaliśmy jego polecenia.

Ledwie wyjechaliśmy na ulicę, kiedy Bree nabazgrała coś i trzymając nisko kartkę, pokazała mi napis: Czarna toyota highlander, waszyngtońskie numery. Kobieta. Dwa samochody za nami.

W lusterku wstecznym dostrzegłem toyotę i prowadzącą ją kobietę. Długie, ciemne włosy. Okulary przeciwsłoneczne. Więcej nie widziałem.

— Kim jest nasz ogon, Bell? Czy to moja znajoma z Baltimore? W słuchawce rozległ się obrzydliwy łomot, a następnie głośny

jęk Sampsona.

328

— Od tej pory tak się będą kończyć pytania. Masz jeszcze jakieś?

Nie odpowiedziałem.

— Bardzo mądrze. A teraz skręć w lewo na następnym skrzyżowaniu i oboje stulcie mordy, chyba że was zapytam o zdanie.

Rozdział 1

Za to, co właśnie robiliśmy, innego policjanta pewnie sam bym zawiesił, ale życie Sampsona było zagrożone, więc nie widziałem innego wyjścia. Przez następne kilka minut Bree i ja ograniczaliśmy się do notatek i gestów rąk, a ZDW wy-szczekiwał kolejne polecenia.

Prowadzona przez kobietę czarna toyota wciąż za nami podążała i nigdy nie oddalała się bardziej niż na kilka długości.

Bree napisała: Masz pojęcie, dokąd jedziemy?

Pokręciłem głową. Bardzo delikatnie, tak by tylko ona widziała.

Jak się z tego wygrzebiemy?

Kolejny lekki ruch głową.

Broń w samochodzie?

Westchnąłem i pokręciłem głową po raz trzeci.

Pojechaliśmy do Montany bez broni. Może Tyler Bell to przewidział. Nie wspominał o niej, kiedy kazał pozbyć się telefonów.

Pokierował nami z powrotem do Waszyngtonu. W końcu wjechaliśmy na Massachusetts Avenue, a potem na Siódmą Ulicę w kierunku przeciwnym niż Kapitol.

W chwilach ciszy w mojej głowie kłębiło się kilkanaście

330

różnych myśli. Dokąd on nas prowadzi? I co się stanie, gdy dotrzemy na miejsce?

Siódma Ulica przeszła w Georgia Avenue. Minęliśmy kampus Uniwersytetu Howarda i jechaliśmy dalej. Dlaczego właśnie ta część miasta? Dlaczego to wszystko?

Gdzieś pomiędzy Columbia Heights a Petworth znaleźliśmy się na skromnej ulicy handlowej. Było tu parę barów fast food i zakładów lakierniczych. Bell kazał mi zwolnić i skupić się.

— Uwierz mi, jestem bardzo skupiony.

Przyglądałem się numerom domów. Minęliśmy stragan z jamajskimi pasztecikami, salon manikiuru, stację benzynową, lombard, a następnie jedną z kilku pustych wystaw sklepowych.

— Numer trzy trzy trzy siedem — powiedział Bell. — Widzisz?

Rzeczywiście widziałem. Na umieszczonej na szybie wywieszce DO WYNAJĘCIA naklejono pomarańczowy napis: WYNAJĘTE.

— Skręć w następny zaułek, a potem wejdźcie do budynku z boku — nakazał Bell. — Bez tanich sztuczek. Ja nie mogę obiecać tego samego.

Rozdział 16

Wjechałem w wąską, jednokierunkową alejkę, która wiodła na niewielki parking na tyłach sklepu, mogący pomieścić może trzy auta. Gdy wysiedliśmy, zobaczyłem, że czarna toyota highlander zatarasowała wlot zaułku... albo wylot, w zależności od punktu widzenia.

Osoba kierująca wozem obserwowała nas zza kierownicy. Wyglądała zarówno tajemniczo, jak i groźnie. Byłem niemal pewien, że to kobieta, ale jak dotąd nie wszystko było takie, jakie się wydawało.

Ruszyliśmy w stronę budynku. Znaleźliśmy obite zielone drzwi ze stali, podparte połówką cegły, żeby się nie zamknęły. W środku znajdowała się ciasna, cementowa klatka schodowa. Czułem się trochę jak na planie filmu Pila.

— Zejdźcie po schodach — polecił Bell. — No dalej. Pora chwycić byka za rogi.

Spod kolejnych drzwi u stóp schodów sączyło się dziwnie jasne światło.

— Bell, co tam jest? — zapytałem. — Dokąd idziemy?

— Po wejściu zamknijcie za sobą drzwi — odpowiedział. — I proszę, wejdźcie. Inaczej za chwilę przydarzy się straszny wypadek. Z udziałem twojego przyjaciela.

332

Bree i ja spojrzeliśmy na siebie. To ostatni moment, żeby się wycofać. Taka możliwość jednak nie wchodziła w grę, przynajmniej dla mnie.

— Nie mamy wyboru — powiedziała Bree. — Chodźmy. Jeśli pojawi się szansa, skorzystamy z niej.

Na ścianach z szorstkich pustaków nie było poręczy. W powietrzu unosiła się lekka woń siarki, czułem też smak siarki na czubku języka. Gdy dotarliśmy do drzwi u stóp schodów, złapałem zardzewiałą gałkę, która nie chciała się obrócić. Wobec tego pchnąłem — i drzwi stanęły otworem.

A wtedy...

Ostre światło uderzyło mnie w oczy! Skupiłem się, na ile tylko mogłem, i zobaczyłem, że to jeden z kilku reflektorów ustawionych na statywach. Oświetlały każdy kąt zatęchłej piwnicy.

— A oto i twój chłopiec! — powiedział Bell.

Sampson siedział przywiązany do krzesła, a ręce miał spętane

za oparciem. Jego oczy zasłaniał kawałek srebrnej taśmy. Gdy usłyszał, jak wchodzimy, obrócił się w stronę drzwi. Na jego twarzy zobaczyłem straszną ranę, wciąż mokrą. Co gorsza, jego krwi użyto do wymalowania na ścianie za nim liter ZDW. Naprawdę dużej ilości krwi.

Na prawo od Sampsona stały dwa puste krzesła, a przy każdym z nich na ziemi leżał zwój sznura.

Ktoś, zapewne Tyler Bell, stał z boku. W jednej ręce trzymał kamerę wideo, a w drugiej pistolet, i z obu do nas celował. Jego twarz kryła się w cieniu. Aż do tej pory wciąż pozostawał tajemniczy. Ale to się miało zaraz zmienić, prawda?

Z kamery biegł przewód aż do prowizorycznego stołu z deski, na którym stała masa sprzętu. Dostrzegłem tam laptop wyświetlający znajomą stronę internetową Bella, choć z pewną

333

różnicą. Tam gdzie dawniej znajdował się obrazek telewizora z szumem na ekranie, teraz widziałem ujęcie na żywo, przedstawiające Bree i mnie patrzących na siebie samych!

Bell powoli uniósł głowę od wizjera kamery, by spojrzeć na nasze twarze. Gdy zobaczył, że się mu przyglądam, powiedział: — Witam w moim studiu.

Rozdział 1

— Sampson, nic ci nie jest? — zapytałem. — John? John?!

W końcu słabo kiwnął głową.

— Nigdy nie czułem się lepiej.

Jego wygląd wcale na to nie wskazywał. Siedział bardzo zgarbiony, a na szarym T-shircie i spodniach od dresu widniały ciemne plamy.

— Dobrze powiedziane, detektywie Sampson — zaszydził Bell. — Wygląda na to, że nie tylko ja w tym pomieszczeniu mam teatralne uzdolnienia.

— Czy to mój glock? — Bree patrzyła na broń, którą ściskał Bell.

— Owszem. Bardzo dobrze. Nie pamiętasz, jak zabrał ci ją Neil Stephens? Tak, tak, to byłem ja. Cóż mogę powiedzieć, jestem nie lada aktorem.

— Wszystko pamiętam, dupku. Nie jesteś tak dobry, jak ci się wydaje.

— Możliwe. Ale najwyraźniej i tak wystarczająco dobry, czyż nie?

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytałem, usiłując spowolnić bieg wydarzeń, a w każdym razie spowolnić Bella i może wydobyć z niego trochę wyjaśnień.

335

— Och, z pewnością większość sam pan już rozszyfrował, doktorze. Jest pan przecież wystarczająco bystry, nieprawdaż?

— Więc gdybym teraz powiedział: Georgia Avenue trzydzieści trzy trzydzieści siedem... — spróbowałem.

— Marnowałbyś tylko ślinę, oczywiście. Nikt nas nie ogląda. Na razie.

Bell na moment opuścił wzrok na kamerę i znów go podniósł.

— Oczywiście strumień audio na żywo byłby fajny, ale przecież nie jestem idiotą. Detektyw Stone, proszę się położyć na ziemi. Twarzą w dół, ręce przy tułowiu. Cross — zrobił gest w stronę środkowego krzesła — siadaj. Odpręż się.

— A co z...

Wystrzelił w ścianę tuż nad ramieniem Sampsona.

— Powiedziałem: siadaj.

Zrobiłem, co kazał. Wtedy na górze usłyszałem kroki. W równym tempie przemierzyły piętro, po czym zadudniły na jakichś pobliskich schodach. Nie tych, którymi zeszliśmy razem z Bree — musiało być jakieś inne wejście.

Tyler Bell obiektywem kamery wciąż celował we mnie i właściwie się nie rozglądał. Domyśliłem się, że chce sfilmować moją reakcję. Na drugim końcu pomieszczenia otworzyły się drzwi. Nie wiedziałem, kto wszedł — jeszcze nie.

— Co tak długo? — odezwał się Bell.

— Przepraszam. Musiałam pozamykać. To niezbyt przyzwoita okolica.

Wtedy zrozumiałem, kto to jest. Do pomieszczenia właśnie weszła kobieta, którą znałem jako Sandy Quinlan. Zdjęła ciemną perukę i okulary, które miała na sobie podczas jazdy toyotą. Teraz wyglądała tak, jak ją pamiętałem. Z wyjątkiem oczu. Mierzyła mnie wzrokiem, jakbyśmy się nigdy nie spotkali.

Szok wywołany widokiem „Sandy Quinlan” przyniósł kolejne olśnienie — a wraz z nim wbrew sobie poczułem uznanie dla ZDW.

336

— Anthony — powiedziałem. To nie było pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

Nie łudziłem się, że to jego prawdziwe imię, ale właśnie pod takim go znałem. Patrząc teraz na ZDW, zacząłem dostrzegać podobieństwo. Dobrze sobie radził z charakteryzacją i był uzdolnionym aktorem. To musiałem mu przyznać.

Ukłonił się nieznacznie.

— Dobry jestem, prawda? Grałem głównie w teatrze. Nowy Jork, San Francisco, New Haven, Londyn. Pod wieloma względami jestem najbardziej dumny z tego, jak pokierowałem moją rolą Anthony'ego. I panem też, doktorze. Jak to mówią: zyg-zyg.

— Więc to ty jesteś Tyler Bell?

Wydawał się nieco zaskoczony moim pytaniem. A może znowu grał?

— Nie słyszał pan? Biedak ześwirował. Przyjechał do Waszyngtonu i zamordował od cholery ludzi. Włącznie z tym detektywem, który zabił jego brata. A potem zniknął z powierzchni ziemi. Nikt go więcej nie zobaczył.

— Zabiłeś Bella w Montanie? — spytała Bree.

— Wiecie co? — Zataczał glockiem niewielkie kółka. — Najpierw przygotujemy was do transmisji. A potem, zamiast gadać, pokażę wam, co spotkało Tylera Bella. Co wy na to? To się nazywa pełna współpraca z policją.

„Sandy” stała teraz obok niego. Pocałował ją ostentacyjnie i oddał jej pistolet. Następnie to samo zrobił z kamerą. I co teraz?

— Uśmiechnijcie się — powiedziała — albo coś. Po prostu bądźcie naturalni. Bądźcie sobą.

Ugięła kolana, żeby ujęcie było bardziej stabilne, po czym przybliżyła obraz tak bardzo, że na laptopie widziałem tylko Sampsona, Bree i siebie.

— Dobrze, jestem gotowa. Kiedy i ty też będziesz, to możemy ruszać. Zaczynamy transmisję na żywo. Kręcimy — powiedziała. — I... akcja!

Rozdział 1

Anthony Demao — tylko pod takim nazwiskiem go znałem — powoli mnie okrążył i stanął z tyłu, co niezbyt mi odpowiadało.

— Co z oczu, to z serca? — zapytał i roześmiał się. — A może i nie, doktorcu.

Zaciśnięty nagle sznur werznął mi się w skórę. Zabójca zawiązał supeł i zaczepił o jakieś oczko czy haczyk, coś w podłodze, czego nie widziałem. Z powodu tej konstrukcji nie mogłem wstać, a nawet usiąść prosto. Zrozumiałem, że to właśnie dlatego Sampson był taki zgarbiony.

Wszystko to rozgrywało się w czasie rzeczywistym na laptopie naprzeciwko mnie. Zastanawiałem się, ile osób nas w tej chwili ogląda, i miałem nadzieję, że nie ma wśród nich Nany i moich dzieci.

Gdy Anthony skończył ze mną i Bree, wziął broń od Sandy i zajął miejsce pośrodku podłogi. Wetknął glocka z tyłu za spodnie, a następnie na wpół przykucnął i złożył ręce za plecami, jakby b ły spętane na wzór naszych.

Wykrzywił twarz w straszliwym grymasie. Następnie załkał głośno. Nie przerywał. Wzdrygnąłem się — on znów coś odgrywał! Kim był tym razem?

338

Z pewnością nie był sobą. Udawał, że płacze, że mu smutno.

— Dlaczego mi to robisz? Nie rozumiem. Proszę, pozwól mi wstać. Nie ucieknę, przysięgam. Proszę, człowieku, błagam. Błagam!

Nagle Anthony wyciągnął pistolet zza pasa — i wycelował go we własną głowę! Teraz odezwał się jako ZDW.

— Jeśli chce pan przeżyć, panie Bell, to niech pan nie przestaje do mnie mówić. Chcę usłyszeć: A, E, I, O, U.

— A, E, I, O, U — wybełkotał, jak sędzę, dość wiernie naśladowując Tylera Bella.

— Sam zamknąłeś rachunek Bella, prawda? — zapytała Bree, nim ja zdążyłem to zrobić.

— A wcześniej odgrywałeś go w sklepie spożywczym — dodałem.

To wyjaśniało nadmiar mleka i reszty jedzenia w lodówce.

Anthony znów wstał, po czym obrócił się bokiem, pokazując nam brodę, nos, grubą brew.

— Niezła charakteryzacja, co? Zdjąłem formę z twarzy Bella.

— Jezu Chryste! — krzyknęła Bree z obrzydzeniem. — Przez ciebie niemalże wstyd mi być człowiekiem.

— Czekajcie, mam dla was jeszcze coś. Niezła sprawa. Patrzcie, detektywi.

Na chwilę zamarł w bezruchu. Twarz przybrała udręczony wyraz, lecz nie była to już udręka Bella.

Przybrał bardziej skuloną pozę, przestał być tak rozgorączkowany, a jego głos — ten, którego używał podczas naszych sesji — był głębszy, południowy i miał inną barwę niż pozostałe.

— O Jezu, zabiłem najlepszego kumpla. Matthew, stary, przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam. Co ja teraz zrobię? — Mówił coraz wolniej, a jego akcent był coraz mocniej-

339

szy, aż wreszcie stał się własną karykaturą. — Jestem tylko biedny skurczybyk weteran i mam terapeutę, co nie odróżnia syndromu Pustynnej Burzy od zasranej różyczki. — Jego chłodny wzrok spoczął na mnie, — Mam to wszystko na taśmie, doktorze. Siedziałem tuż przed tobą i nagrywałem każdą naszą sesję. Zrobiłem też trochę zdjęć. — Zerknął na San-dy. — Ciebie z nią. Kiedy całowała cię z języczkiem przed wejściem do gabinetu i mówiła, że chciałyby cię poznać w innej sytuacji.

— Zdradzę panu sekret. — Sandy odegrała moment naszej rozmowy przed gabinetem. — Żałuję, że nie poznałam pana w innych okolicznościach.

Przypomniałem sobie pocałunek oraz to, jak przywołała mnie do krawężnika, najwyraźniej ustawiając się w dogodnej pozycji do fotografii.

— Dobrze — powiedziałem. — To może mi jeszcze powiecie dlaczego?

— Może dlatego, że nikt inny nie potrafi zrobić tego, co my? Nikt! A może dlatego, że prawie dziesięć lat pracowaliśmy w teatrze i ledwie nam starczało na czynsz? Albo dlatego, że widzieliśmy, jaką sławą się cieszysz, a przynajmniej cieszyłeś, i też tak chcieliśmy? — Na kilka chwil zamilkł i patrzył mi w

oczy. — To chciałeś usłyszeć, doktorze? Czy dzięki temu łatwiej ci wetknąć nas w jakąś przegródkę i lepiej zrozumieć?

Nie odwróciłem wzroku.

— To zależy. Czy to choć częściowo prawda?

Roześmiał się, Sandy również.

— E tam. Ani jedno słowo. Jak komuś takiemu jak ja mogłoby się źle powodzić? Mam pieniądze, a teraz mam również sławę. Nawet Kyle Craig jest naszym fanem, a my jego. To się nazywa mały świat. Kyle Craig to nasz bohater, podobnie jak Bundy i Gacy. I Gary Soneji. Kiedy Gary trafił

340

do ADX Florence, wykombinowaliśmy, jak się z nim skontaktować. Chciał poznać wszystkie nasze plany. A my jego. Takich jak my jest na świecie wielu, doktorze. Takich, którzy zabijają, i takich, którzy tylko by chcieli. Prawnik Kyle'a też był fanem. I to oddanym, trzeba przyznać. A teraz Kyle Craig śledzi nasze poczynania tak, jak kiedyś my śledziliśmy jego. Jest tu, w Waszyngtonie. Ekscytujące, czyż nie?

Rozdział 1

Oglądałem na żywo przedstawienie w wykonaniu ZDW, gdyż tym właśnie było — skalkulowanym aktem — jednak działało się tu coś jeszcze, coś, co w tej chwili znacznie bardziej mnie interesowało. Wiązało się to z naszą wycieczką pod namiot w górach Catocin.

Dłonie Bree wciąż poruszały się za jej plecami, niemal niezauważalnie, o ile się orientowałem. Usiłowała wyplątać się z lin, które pętały jej nadgarstki — tyle potrafiłem się zorientować z laptopa. Oznaczało to również, że muszę odwrócić uwagę Anthony'ego i Sandy. Musieli koncentrować się na mnie, a nie na tym, co próbowała zrobić Bree.

— I całą chwałę ma zebrać Tyler Bell? A nie wy dwoje? Szczególnie nie Sandy? — spytałem, jakby mi to robiło różnicę.

— Nie słuchasz uważnie. To wszystko — zamaszystym gestem wskazał pomieszczenie — to tylko dzisiejsza ścierna. Kiedy znikniemy, kiedy wszyscy to obejrzą, całość się powtórzy. Może wybierzemy sobie nowego gliniarza. A może dziennikarza? Prezentera wiadomości? Grubą rybę z „Washington Post” albo „New York Timesa”?

— Wiesz, że nie wy pierwsi próbujecie czegoś takiego, prawda? Colin Johns? Miami w dziewięćdziesiątym piątym?

342

W tym momencie fasada opanowania Anthony'ego odrobinę się ukruszyła.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— No właśnie. Colin Johns był słynny przez jakieś pięć minut. A był w tym dużo lepszy niż wy oboje.

Anthony stał z założonymi rękami i kręcił głową na boki. Widziałem, że jest na mnie zły.

— Wiesz co, naprawdę jesteś kiepskim psychologiem. Myślisz, że co to da? Że cię teraz nie zabiję?

— Nie, ale może będziesz miał mniejszą przyjemność. — W tej grze liczyła się pewność siebie, a nie fakty, nie techniki terapii. Wymyślałem to wszystko w biegu. — A Ronny Jes-sup? — spytałem. — Trzy zabójstwa, wszystkie transmitowane na żywo przez telewizję. Nawet używał prawdziwego nazwiska. Słyszałeś kiedyś o Ronnym Jessupie? A ty, Sandy?

— Nie, ale jeden taki paskudny ptaszek powiedział mi, że ty zaraz umrzesz — odparła z szerokim uśmiechem. — Nie mogę się doczekać.

Anthony dwoma krokami dopadł do mojego krzesła i rąbnął mnie w twarz kolbą pistoletu.

— Tylko tak dalej, doktorze!

Stał nade mną gotów zadać kolejny cios, ale wątpiłem, by chciał, żebym teraz zemdłał.

Przecież byłem tu po to, żeby patrzeć!

Splunąłem krwią na ziemię.

— Madeleine Purvis. Boston, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt osiem — rzuciłem kolejnym nazwiskiem psychopatycznego mordercy.

— Dość tego. Wprowadzam obowiązkową ciszę.

Doskoczył do stołu z „rekwizytami”, ponownie zatknął pistolet za plecami i wziął z blatu rolkę srebrnej taśmy. Zatrzeszczała, gdy oderwał kawałek, po czym ruszył w moją stronę.

Odwróciłem głowę, nie po to, by go powstrzymać, lecz by

343

znalazł się w dogodniejszej pozycji. Nie było rady, nadeszła decydująca chwila. Albo Bree zdążyła się przygotować, albo nie.

Gdy Anthony podszedł do mnie z paskiem taśmy, ręce Bree wystrzeliły zza jej pleców.

Sandy też to dostrzegła.

— Braciszku, uważaj!

Czy oni byli rodzeństwem? Takiego zwrotu akcji się nie spodziewałem, być może z powodu aktu, na którym nakryłem ich w poczekalni. Ale może byli również kochankami?

Rozdział 120

Kimkolwiek w rzeczywistości był Anthony, obrócił się, gdy Bree wyrwała mu pistolet. Trafił ją w twarz mocnym ciosem dłonią. Glock wystrzelił — nie trafił Anthony'ego — lecz Bree zatoczyła się na bok. Uderzyła w ścianę za przewróconym krzesłem.

Nagle w dłoni Sandy również pojawiła się broń — skierowana we mnie.

Bree zdołała wycelować w nią glocka i wystrzelić. Dwukrotnie! Nie patyczkowała się. Obie kule trafiły Sandy Quinlan w klatkę piersiową. Kobieta w szoku otworzyła szeroko usta i chyba nie żyła, gdy stała jeszcze z pistoletem w dłoni. Następnie runęła na ziemię jak marionetka, a ja wcale nie czułem się z tym dobrze. Zbyt wiele czasu spędziłem z Sandy. Myślałem, że ją znam, nawet jeśli to nieprawda. Była moją pacjentką.

Usiłowałem wstać, z całej siły napierałem na linę, ciągnąc za hak w podłodze, który zaczynał ustępować. Po prostu musiał w końcu ustąpić.

Bree znów strzeliła!

Jeden z reflektorów eksplodował nad głową przemykającego pod nim Anthony'ego. Zabójca uciekał — biegł nisko zgar-

345

biony. Jednocześnie się śmiał. Znów odgrywał jakąś rolę? Czy jedynie był sobą?

Szarpnąłem, napinając mięśnie nóg, i lina wreszcie się wyrwała. Stała się na tyle luźna, bym mógł wypłatać nadgarstki.

Puściłem się biegiem za Anthonym.

— Wezwij posiłki! — krzyknąłem do Bree.

Na ziemi wciąż leżała czarna motorola. Leżała również Sandy Quinlan z szeroko rozwartymi oczami. Krwawiła z dwóch ran tak bliskich sobie, że wyglądały niemalże jak jedna.

Dopałem schodów i w tej samej chwili usłyszałem w górze brzęk tłuczonego szkła. Anthony — ZDW — uciekał z budynku. Kilka sekund później, zataczając się, wbiegłem do pustego sklepu.

Drzwi na ulicę były zamknięte na kłódkę, jednak szyba wystawowa składała się już tylko z odłamków szkła. Na chodniku po drugiej stronie zauważyłem stare drewniane krzesło.

Podbiegłem i wyostałem się przez otwór. Na zewnątrz kręcili się ludzie. Przyglądali mi się, jakby zobaczyli ducha. Jakiś chłopak wskazał wzdłuż ulicy.

— Biały facet — powiedział.

Wtedy zobaczyłem Anthony'ego, który biegł ile sił w nogach po drugiej stronie ulicy. Obejrzał się i również mnie zauważył. Skręcił w prawo i wpadł do sklepu.

— Wezwijcie policję! — krzyknąłem do każdego, kto mnie słuchał i mógłby chcieć pomóc. — To ZDW! — dodałem.

Następnie popędziłem w ślad za nim.

Rozdział 12

Lokal, do którego uciekł ZDW, był barem sprzedającym meksykańskie jedzenie na wynos. Nie było tam żadnych stolików, jedynie przerażona starsza kobieta rozciągnięta na podłodze oraz chudy kasjer, wciąż przyciskający się do ściany, jak gdyby był własnym cieniem.

Obiegłem ladę, pchnąłem wahadłowe drzwi i wbiegłem do kuchni.

Temperatura natychmiast wzrosła o dziesięć stopni. Dwaj kucharze krzyczeli do mnie po hiszpańsku.

Za późno — zobaczyłem, jak Anthony rzuca się na mnie z prawej strony. Co do cholery? Żeliwna patelnia przepaliła mi koszulę. Z ramienia do mózgu pobiegł impuls piekącego bólu.

Drugą ręką wyprowadziłem instynktowny kontratak: hak w skroń i drugi cios w brzuch.

Anthony wypuścił patelnię, więc ja ją złapałem. Wepchnąłem mu ją w twarz, po czym odrzuciłem, zanim zdążyła przysmażyć mi skórę dłoni. Zawył i zatoczył się w tył. Zza ucha zwisała mu szczerbata sztuczna skóra. Obaj kucharze wrzeszczeli, jakby to oni właśnie zostali oparzeni.

Anthony odzyskał równowagę, opierając się o krawędź pieca.

347

Złapał jakiś rondel i cisnął w moją stronę skwierczącym olejem i warzywami. Udało mi się zrobić unik, ale on już biegł w stronę tylnego wyjścia.

Po drodze przewrócił za sobą parę półek. Wszędzie leciały naczynia i sprzęt. Huk, chaos i pękające talerze.

— Moja siostra nie żyje! — wrzasnął do mnie Anthony.

Czyli że co? Teraz naprawdę się wściekł?

Złapałem nóż kuchenny i pobiegłem za nim.

Rozdział 122

Gdy wyskoczyłem w długą, szeroką uliczką — podjazd dla samochodów dostawczych — gdzieś w okolicy usłyszałem wycie syren. Miałem nadzieję, że jadą do nas i ktoś szybko zrozumie, iż jestem tutaj z ZDW.

Zaułek biegł za kilkoma budynkami. Po mojej prawej stronie kończył się ślepo, natomiast po lewej, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, wychodził na ruchliwą ulicę. Tyle nie zdążyłby przebiec.

Gdzie zatem mógł się ukryć? Na pewno blisko. Ale gdzie?

Otworzyłem najbliższy kontener ze śmieciami. Uderzyła mnie fala odrażającego smrodu, ale Anthony'ego tam nie znalazłem. Nie znalazłem ZDW. Na moment odwróciłem się plecami do zaułka, by nachylić się do środka i upewnić się, że go tam nie ma.

Wzdłuż stały jeszcze trzy kontenery. Po drugiej stronie parkowały brudne, zardzewiałe samochody. Zajrzałem pod spód. Nie ukrywał się pod żadnym z nich. Wiąć gdzie on był?

Zobaczyłem go kątem oka — w samą porę. W ostatniej chwili unikałem cięcia w poprzek twarzy. Chował się za jednym ze śmietników i miał nóż. Biorąc pod uwagę okoliczności, wydawał się pewny siebie i przerażająco opanowany, zupełnie jakby odgrywał kolejną rolę.

349

W przeciwieństwie do mnie — bo noże to nie moja specjalność. W tej chwili kuchenne ostrze było jednak jedyną bronią, jaką dysponowałem.

Znowu na mnie ruszył. Nóż śmignął mi przed twarzą, mijając ją o centymetry. Anthony zamachnął się ponownie, a potem znowu i znowu, i znowu.

Zamarkowałem krótkie pchnięcie, a on się roześmiał.

— Chyba mi się to spodoba — powiedział. — O tak, na pewno. Trenowałem walkę wręcz. A pan, doktorze?

Nie zwracał sobie głowy drwinami czy próbami, po prostu wyprowadził kolejne pchnięcie. Odkoczyłem, więc nie trafił. Ale niewiele brakowało. Może dwa centymetry.

Anthony miał napiętą twarz, żyły pulsowały, ale oczy wciąż były wesołe. Bawił się ze mną. Czy celowo nie trafił? Rozciągał to w czasie?

— Niegdyś wielki Alex Cross — powiedział. — Szkoda, że nie mamy publiczności.

— Ależ macie. Tym razem to ja jestem twoją publicznością ZDW — odezwał się jakiś głos.

Obaj się odwróciliśmy... i ujrzeliśmy Kyle'a Craiga.

Rozdział 12

Kyle przemówił i jego głos brzmiał energicznie, niemal radośnie. Cieszył się, że nas widzi? Że my go widzimy?

— Cóż za balsam dla oczu! Wielki ZDW... i wielki Alex Cross. W końcu razem w pojedynku na śmierć i życie. Na noże kuchenne? Za taki spektakl nawet bym zapłacił. Ale wiecie co? Nie muszę. Jestem tu, na miejscu.

ZDW trzymał nóż uniesiony, wciąż gotowy do walki, lecz co chwila zerkał na Kyle'a.

— Co ty tu robisz? — zapytał.

— Podziwiam twoje dzieło, rzecz jasna — odparł Craig i brzmiało to dość szczerze. — Tak jak zrobiłby to każdy twój fan, gdyby tylko mógł. Ustawiliby się na ulicy w dwudziestu rzędach. Śledziłem cię. Odkąd spotkaliśmy się pod domem Crossa.

— Myślisz, że nie wyczuwam sarkazmu? — warknął ZDW.

— Gdybyś nie wyczuwał, tylko bym sobie strzepił język. Uważaj na doktora Crossa. Pilnuj go. Posieka cię, jeśli tylko będzie miał okazję. Jest przebiegły.

— Nie może mi zrobić krzywdy — rzucił bezbarwnym głosem ZDW. — Nie dorasta mi do pięt. Ty też.

— Ojej — rzekł Kyle. — Teraz to i mnie drasnąłeś, że tak powiem.

351

Nie powiedziałem do żadnego z nich ani słowa. Wciąż szukałem jakiejś szansy. Nie za dobrze sobie radziłem z nożami, ale byłem szybki w nogach. Może to mi pomoże, jakoś mnie uratuje. Teraz jednak musiałem się również martwić Kyle'em. Skąd on się tu wziął i jaka była obecnie jego relacja z ZDW? Czy właśnie uległa zmianie?

— On jest skoncentrowany na walce. Ty nie — pouczał Kyle z boku. — Tylko tyle próbuję ci pokazać. Zrób z tym, co chcesz.

ZDW spojrzał na mnie.

— No dobrze. Pokonam Crossa. Na twoją cześć.

Na twoją cześć? Co to miało znaczyć? Następnie wyprowadził kolejne pchnięcie i nie trafił, lecz teraz na pewno nie żartował. Sieknął raz jeszcze i tym razem zranił mnie w ramię. Krew wypłynęła na moją koszulę i skapnęła na chodnik.

— Już lepiej, ZDW — dopingował Kyle, a jego głos nagle stał się gardłowy. — A teraz naprzód! Powal go! Zabij sukinsyna!

ZDW zaczynał ciężiej dyszeć przez usta. Czy to mi dawało przewagę? Zacząłem zataczać łuk w lewo, następnie zmieniłem kierunek. Żadnej logiki, po prostu instynkt.

Poruszałem się w przeciwnym kierunku, kiedy on znów zamachnął się nożem. Nie trafił! Zaatakowałem i drasnąłem go w ramię. Z rany trysnęła krew. Ta walka na noże to paskudna zabawa.

Kyle zaczął bić brawo. Powoli, bardzo powoli klaskał w dłonie, ale nie odezwał się już dopingująco.

Znów rozpocząłem okrężny ruch, lecz tym razem szybciej. Gwałtownie zmieniłem kierunek. A potem znowu skręciłem.

Nagle ZDW ryknął donośnie i ruszył prosto na mnie. Obróciłem się w lewo i przez sekundę odstąpiłem plecy. On wciąż był wychylony w drugą stronę. Co to oznaczało? Nadal się obracałem — dookoła. Następnie postawiłem prawą nogę na

352

ziemi i wbiłem mu nóż pod ramię. Ostrze znalazło ciało, mięśnie. W końcu weszło w pierś.

ZDW jęknął niemal tak głośno, jak przed sekundą ryczał.

— Ty głupi sukinsynu!

Następnie padł na plecy z szeroko rozwartymi oczami, które patrzyły w pustkę. Odwróciłem się od niego i spojrzałem na Kyle'a.

Ja miałem nóż.

On miał pistolet.

— Niewiele sobą reprezentował, nieprawdaż? — powiedział Kyle i uśmiechnął się szeroko.

Rozdział 12

Wciąż mówił, niemalże tak, jakby podekscytowany był moim widokiem. Może to mnie śledził.

— Aleksie, tak mi było przykro, że częściej nie odwiedzałeś mnie we Florence. Nawet sobie nie wyobrażasz. Wsadzają cię do ciasnej celi i trzymają tam przez dwadzieścia trzy godziny na dobę. To nieludzkie i nie przynosi nic dobrego. Mówię poważnie. Może zrobię o tym bardzo niepokojący film, coś jak Niewygodna prawda albo Droga do Guantanamo. Zatytułuję go: Już nigdy nie ujrzeć słońca. Będą go grali we wszystkich kinach studyjnych tu, na Wschodnim Wybrzeżu. Przeciągnę na swoją stronę wszystkie czułe serduszka.

— Zabiłeś wielu ludzi, Kyle. Po ucieczce z więzienia popełniłeś kolejne morderstwa. Ile tym razem?

Kyle wzruszył ramionami, po czym zrobił głupią minę.

— Naprawdę nie zwracałem sobie głowy liczeniem. Oczywiście była wśród nich mamusia. Czy może to moja halucynacja?

— Nie. Zarżnąłeś własną matkę.

— Zarżnąłem, mówisz? Brzmi ekstremalnie. Szczerze mówiąc, niewiele pamiętam. Możliwe, że wpadłem w furję. Podzielisz się ze mną krwawymi szczegółami? Chcę to usłyszeć od ciebie, doktorze Cross — powiedział, akcentując mój tytuł.

354

— Czy to jest element tej sprawy, Kyle? Motyw psychologa?

— Możliwe. Nie myślałem o tym w ten sposób.

Przez chwilę patrzyłem na Kyle'a bez słowa. Był tak niewiarygodnie złym człowiekiem, całkowicie pozbawionym sumienia. Zastanawiałem się, jak u niego obecnie z reflekssem. Z pistoletem w dłoni wydawał się pewny siebie. Zresztą miał powód. Jaki problem byłby teraz z zastrzeleniem mnie?

— Ukłęknij na ziemi, Aleksie. Tak na wszelki wypadek. Całe to szkolenie w Quantico zaczyna dawać o sobie znać.

Stałem nieruchomo, nie chcąc okazać mu posłuszeństwa.

Kyle wyciągnął ramię z pistoletem — idealnie wyprostowane i nieruchome.

— Powiedziałem: ukłęknij na ziemi. Wciąż jest szansa, że cię nie zabiję. Przydałoby mi się widownia do tego, co mam zamiar zrobić.

To zwróciło moją uwagę. Widownia?

— Co chcesz teraz zrobić, Kyle? Kim byłeś dla ZDW i jego partnerki?

Uśmiechnął się i chyba układał w myślach odpowiedź.

— Ciekawe pytania. Czy jeśli na nie odpowiem, to dlatego, że już tego nie zobaczysz, czy też dlatego, że chciałbym, abyś mógł oczekiwać „rzezi”, jak to nazywasz? Na kolana! Alex, to moje ostatnie ostrzeżenie.

Lekko zgiąłem kolana, a potem ukłęknałem. Nie miałem wyboru. Kyle nie lubił nieposłuszeństwa, tyle wiedziałem.

— Ach, już lepiej. Właśnie takiego lubię cię oglądać. Pokornego. Wiesz, niemal żałuję, że ZDW już nie żyje i nie może tego zobaczyć.

— Mogłeś go uratować.

— Może. Choć pewnie nie. Naprawdę sędzę, że chłopak chciał umrzeć. Badałem jego wczesne morderstwa, kiedy jeszcze byłem agentem. Skontaktował się ze mną we Florence. Myślę, że... mogłem być dla niego ojcowskim autorytetem. Ty

355

byś to umiał stwierdzić. Ja nie potrafię żyć przeszłością. Również żal to nie jest moja mocna strona. Rozumiesz, prawda?

— Co on miał na myśli, kiedy powiedział: „Na twoją cześć”?

— Ach, to. Rzecz jasna był moim fanem. Któż nim nie jest? Dziewczyna też. Jego siostra? Kto to wie? Przysłali mi wiadomości do ADX przez mojego prawnika, kolejnego fana. To wszystko świr, Alex. Chociaż... ciebie nieźle przegonił. Pomogłem mu z kilkoma pomysłami. Ten numer na stadionie... to było moje. I oczywiście zasugerowałem Tess Olsen. To zabójstwo faktycznie było na moją cześć.

Kyle podszedł i przyłożył mi pistolet do skroni. Ręka nawet minimalnie mu nie drżała.

— Ja, Kyle Craig, zdrowy na ciele i umyśle — powiedział i uśmiechnął się szeroko, podle, szaleńczo — postanawiam oszczędzić życie Alexa Crossa. Przynajmniej na razie. — Zrobił krok w tył. — Mówiłem ci: dwadzieścia trzy godziny dziennie. Przez cztery lata. Nie mogę ci tak łatwo odpuścić. Kilka minut panicznego strachu to nic w porównaniu z tym, co przeszedłem. To niewystarczający rewanż. Nawet nie może się równać! Zobaczysz. — Kyle nadal się wycofywał. — Mam wobec ciebie większe i wspanialsze plany, Alex. Jedno jest pewne: będę torturował ciebie i twoją rodzinę na śmierć. Nawet nie próbuj jej ukrywać. Mam ogromny talent do odnajdywania ludzi. W FBI to była moja specjalność. Mam duże zdolności, Alex. Supermózg, pamiętasz?

— Opuść broń, Craig. Tylko powoli, zasrańcu. Inaczej naprawdę się przekonasz, co to jest rewanż.

To była Bree. Jeszcze jej nie widziałem, ale chciałem ją przestrzec.

Przed Kyle'em Craigiem i przed tym, że nigdy, przenigdy nie wolno go ostrzegać.

Otworzyłem usta...

Rozdział 12

— Bree!

Kyle był niegdyś agentem operacyjnym FBI, a wcześniej działał w wojskowych służbach specjalnych. Był ekspertem w dziedzinie noży, broni palnej, nawet środków wybuchowych. Wiedziałem o tym na podstawie dawnych doświadczeń. To nie człowiek, z którym można igrać — którego można ostrzegać!

Usłyszał głos Bree i zanim dokończyła groźbę, już obracał się w jej stronę i padał na ziemię. Patrzyłem — w żaden sposób nie mogąc tego zatrzymać.

— Bree!

Uniósł berettę i wycelował w środek jej klatki piersiowej. Nie ryzykowałby trudnego strzału, szczególnie że była w ruchu. Miał ją na muszce, a ja myślałem tylko o jednym: Weź mnie zamiast niej.

Nie jestem pewien, czy Bree odczekała do końca swych słów: „Naprawdę się przekonasz, co to jest rewanż”. Chyba nie.

Wystrzeliła — impet szarpnął Kyle'em Craigiem w powietrzu. Zaskoczony mężczyzna rozwarł usta i szeroko otworzył oczy.

Nie zdążył oddać strzału. Wylądował na ziemi z głuchym

357

łomotem i tylko drgała mu noga. Wreszcie puścił berettę. A potem nie zrobił już nic.

Nic.

Dzięki Bogu nic.

Rzuciłem się przed siebie i kopnąłem jego broń. Przykucnąłem przy Kyle'u, którego niegdyś uważałem za przyjaciela, a który później stał się moim najgorszym wrogiem. Patrzył na mnie, prosto mi w oczy, może zaglądał do duszy. Patrzył, a ja zastanawiałem się, czy w tej chwili umiera i czy o tym wie.

Wtedy się odezwał. Powiedział coś niebywale dziwnego, coś, czego nie rozumiałem i nie rozumiem do dziś.

— Na twoją cześć.

Potem w głębi jego gardła powstał koszmarny charkot.

I podobało mi się to. Przykro powiedzieć — i ta myśl mnie przerażała — ale czułem ulgę i radość. Podobało mi się, że jestem „publicznością”, do tego stopnia, że zacząłem bić brawo Bree.

Nagle Kyle stanął na czworakach, a potem się podniósł. Wyciągnął drugi pistolet z kabury za plecami.

Bree opuściła broń i teraz nas miał.

— Proszę odłożyć broń, pani detektyw — powiedział najspokojniejszym głosem, jaki w życiu słyszałem. — Nie chcę pani teraz zabić. Jeszcze nie. Powiedz jej, Alex.

— Nie posłucha — odparłem.

— W takim razie już jest martwa. Odłóż broń! Na litość boską gdybym chciał cię zabić, to już bym pociągnął za spust.

Bree ugięła kolana i położyła pistolet na ziemi.

Kyle pociągnął za spust.

Ale celowo nie trafił!

— Wiesz, Bree — powiedział tym samym śmiertelnie spokojnym głosem — rada, żeby zamiast w głowę strzelać w klatkę piersiową, jest całkiem dobra, ale — poklepał się w tors — nie bierze się w niej pod uwagę kamizelek kuloodpornych,

które ja zawsze wkładam na takie imprezy. Ty też powinnaś. Szczególnie z taką imponującą klatką piersiową.

Kyle zaczął się wycofywać. Następnie uśmiechnął się i powiedział:

— A co tam! Wybacz, Alex!

Strzelił w stronę Bree — dwukrotnie — i znów umyślnie chybił. Potem roześmiał się i pobiegł zaułkiem. Zniknął za pierwszym rogiem, wciąż się śmiejąc.

Supermózg.

Rozdział 126

ZDW żył. Bree i ja spotkaliśmy się z Naną oraz dziećmi w Washington Hospital Center, gdzie lekarze zajmowali się Sampsonem oraz „Anthonyem”. „Sandy Quinlan” nie przeżyła. Zmarła, nim nadjechała karetka.

Zdaniem lekarzy Sampsonowi nic nie groziło. Potrzebował szwów oraz był odwodniony, ale nie wątpię, że nim następnego dnia go wypiszą, zdąży doprowadzić personel do szpitala. W końcu wróciliśmy do poczekalni, żeby dać Billie i Dżakacie trochę czasu sam na sam z Wielkoludem. Wyglądało jednak na to, że Billie jest na niego zła, a może na mnie.

Dzieci miały masę pytań. Wraz z Bree odpowiedzieliśmy na tyle, na ile tylko mogliśmy. Sami — jak zwykle — nie dysponowaliśmy wszystkimi odpowiedziami. Na tę chwilę, a może już na zawsze. Szczególnie gdy chodziło o Kyle'a Craiga.

— Więc kim naprawdę byli ci ludzie? Kim był ZDW? — dopytywała się Jannie.

Zawsze uwielbiałem jej ciekawość, ale nie wiedziałem, co myśleć o jej rosnącym zainteresowaniu wszystkim, co związane z przestępczością. Tylko tego brakowało, żeby w domu na Piątej Ulicy zamieszkał jeszcze jeden Pogromca Smoków.

360

— Wkrótce powinniśmy się tego dowiedzieć — odrzekłem.

Zarówno Anthony'emu, jak i Sandy — a w każdym razie

jej zwłokom — zdjęto odciski palców. Przypuszczałem, że gdzieś je znajdziemy, w czyichś aktach, być może nawet w starych materiałach Kyle'a Craiga z czasów jego pracy w FBI.

W końcu wysłałem rodzinę do domu, po czym wraz z Bree poszliśmy spojrzeć na więźnia. Oglądaliśmy „Anthony'ego” przez okno, podczas gdy zespół pooperacyjny stabilizował go, by umożliwić transport. Leżał, przykuty kajdankami do szpitalnego łóżka, i cały czas patrzył w sufit. Tego dnia już wcześniej

widziałem ten jego bezruch. Był niemożliwy do odczytania. Czy to objaw poczucia porażki? Wyrachowania? Nudy? Odpowiedzi na te pytania miały pomóc w ustaleniu, czy trafi do zakładu karnego, czy na wydział psychiatryczny.

— To Aaron i Sarah Denisonowie. — Odwróciłem się i zobaczyłem stojącego za nami Ramona Daviesa. — Znaleźliśmy Aarona w systemie identyfikacji odcisków palców. Jest poszukiwany w co najmniej dwóch stanach: w Kalifornii i Ne-vadzie. Podejrzewa się go o dwa morderstwa, po jednym w każdym stanie. Jego siostra Sarah miała czyste konto. Grali wspólnie w Las Vegas, Tahoe i Sacramento, głównie w półprofesjonalnych zespołach teatralnych.

— Gdzie przebywali tuż przed przybyciem do Waszyngtonu? Czy mamy jakieś dane? — spytałem inspektora.

— Kręcili się w okolicach Los Angeles. A co?

Pokręciłem głowę i znów spojrzałem przez szybę na niego — Aarona, nie Anthony'ego.

— Po prostu jestem ciekaw, czy cokolwiek, co mi powiedział, było prawdą. W Los Angeles mógł śledzić przypadek Michaela Bella. Sprawę Mary, Mary. Na pewno stamtąd również nawiązał kontakt z Kyle'em Craigiem.

— A ta transmisja w Internecie? — spytała Bree. — Czy wiemy, ile osób ją widziało?

361

Davies spojrzał na nią, a potem znów na mnie.

— Powiedzmy, że gdybyście kiedykolwiek chcieli sprzedać swoją historię, to jest na to dobry moment.

Roześmialiśmy się, lecz tylko dlatego, że nic nie mogliśmy prowadzić na popularność transmisji.

— Właściwie dostał, czego chciał, prawda? — odezwała się Bree. — W każdym razie zdobył sławę. Teraz i ona będzie sławna. Oboje przynajmniej jako uczniowie Kyle'a Craiga.

Odwróciłem się od okna. Nagle miałem dość patrzenia na niego, dość tej sprawy.

— Mam nadzieję, że było warto... Anthony. Usłyszałem krzyk, stłumiony przez szybę. Spojrzałem za siebie.

— Chodzący trup! — wrzasnął Aaron. — Jesteś chodzącym trupem, Cross.

Nie miałem żadnych wieści o Kyle'u Craigu, co wcale mnie nie zaskoczyło. Posunął się do strasznych gróźb, ale przecież gdyby chciał mojej śmierci, mógł mnie zabić. W zaułku miał okazję. Zatem następne kilka dni minęło mi bardzo szybko, choć Damonowi zapewne się dłużyły. Mój syn opuszczał dom.

Do czasu, gdy pakowaliśmy go do samochodu i wyruszał w drogę na pierwszy semestr w Cushing Academy, dość często okazywał emocje. Już nie zachowywał pozorów opanowania.

Ostatnie kilka dni spędziliśmy we dwóch w drodze do Massachusetts. Odwiedziliśmy naszego kuzyna Jimmy'ego w Red Hat w Irvington, zjedliśmy wyborny posiłek, posłuchaliśmy jazzu, po czym ruszyliśmy w dalszą podróż. Zauważyłem, że i ja zacząłem okazywać uczucia. Uznałem, iż to dobry znak, może się rozwijam. Niepokoiło mnie jednak moje życie. Zastanawiałem się, czy wciąż jeszcze mam duszę. Te wszystkie zabójstwa, próby zrozumienia morderców...

— Wiesz, kiedy jest weekend rodzinny? — spytał Damon, gdy zbliżaliśmy się do Sturbridge w Massachusetts.

— Nie martw się, już zapisałem w kalendarzu. Przyjadę z wielką chęcią.

365

— gdybyś miał wtedy jakieś śledztwo czy coś, to zrozumiem.

— Damon. — Poczekaj, aż na mnie spojrzał. — Przyjadę. Choćby nie wiem co.

— Ta to. — Spojrzał na mnie jak dorosły i lekko zmarszczył brwi w sposób, który odziedziczył po Nanie Mamie. — Nie ma sprawy. Wiem, że przyjedziesz, jeżeli będziesz mógł.

Co prawda nie mogę powiedzieć, że patrząc na mojego pasażera, widziałem siebie samego, ale dokładniejszej kopii nie było na całym świecie.

— Bdziesz miał świetny rok, Day. W szkole i na parkiecie. Jestem ? ciebie bardzo dumny. Na sto procent.

— Dzięki, Myślę, że i ty będziesz miał świetny rok. Miej oko na tBree. Pasuje do ciebie. Wszyscy tak uważają. Ale to oczywiście twoja decyzja.

W tym -i właśnie momencie zadzwonił mój telefon. Co znowu? Przyszła mi do głowy szalona myśl: żeby wyrzucić to choler-stwo pr2-ez okno.

I tak właśnie zrobiłem.

Damo,n zaczął bić brawo i obaj wybuchnęliśmy śmiechem, jakby to. była najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem. Zresztą noże to prawda.

Dotarliśmy do szkoły w Ashburnham. Była tak wspaniała, tak imponująca, aż żałowałem, że sam nie spędzę tu najbliższych czterech lat, nie przypomnę sobie młodości i tak dalej.

W budynku administracji czekała na mnie wiadomość od nadinspektora Daviesa: Alex, mam złe wieści. W Georgetown dokonano kilku morderstw.

Ale tę już inna opowieść.

Spis treści

Prolog

Na twoją cześć..... 7

Część pierwsza

Cały świat to scena..... 15

Część druga

Niesława!..... 95

Część trzecia

Publiczność słucha.....205

Część czwarta

Zderzenie nieuniknione.....287

Epilog

Ostatnie dni.....363

Polecamy thrillery Jamesa Pattersona

OSTRZEŻENIE

Pasją Kristin Burns jest fotografia. Jej życiowa dewiza brzmi: „Nie myśl, pstrykaj”. Kristin marzy o pracy jako fotografik, ale tymczasem zarabia na utrzymanie jako niania do dzieci u niesłuchanie bogatej rodziny Tumbul-lów. W wolnych chwilach robi zdjęcia i wysyła je profesjonalistom. Wrodzony talent i upór wskazują, iż kariera w wymarzonym zawodzie niebawem stanie przed nią otworem. Niestety, dziewczyna pada ofiarą zakazanej miłości i wikała się w niebezpieczny romans z Michaeliem Turnbullem. Omotana uczuciem, ignoruje wszelkie ostrzeżenia. Na dodatek wokół niej zaczyna dziać się coś dziwnego - i Kristin traci kontakt z rzeczywistością. W powtarzającym się śnie widzi poczwórne morderstwo w hotelu. Dostrzega na ulicy ojca, nieżyjącego od lat. Czy rzeczywiście ktoś został zabity? Co oznaczają jej wizje?

BIKINI

Zachwycająco piękna modelka Kim McDaniels znika podczas sesji zdjęciowej na Karaibach. Obawiając się najgorszego, rodzice dziewczyny przylatują na wyspę Maui, by wszcząć prywatne śledztwo. Własne dochodzenie prowadzi też Ben Hawkins, były oficer policji, obecnie reporter działu kryminalnego „Los Angeles Times”. Dla trójki poszukujących Kim osób pobyt na Hawajach okaże się koszmarem nie do wyobrażenia. Jej poczynania kontroluje psychopatyczny zabójca Henri Benoit, działający na zlecenie tajemniczych mocodawców. Benoit bulwersuje opinię publiczną kolejnymi okrutnymi mordami, które

wydają się nie mieć żadnego logicznego sensu. Ale czy rzeczywiście to sam morderca pociąga za wszystkie sznurki?

REJS

Rejs luksusowym jachtem po Bahamach miał zbliżyć do siebie Katherine Dunne i trójkę jej dzieci, które po śmierci ojca odsunęły się od matki. Ale oczekiwana wyprawa do raju okazuje się piekłem.

Niekończące się awarie, sztorm, a w końcu wybuch, który niszczy łódź. Tej eksplozji nikt nie miał prawa przeżyć. A jednak... List w butelce ukrytej w paszczy wielkiego tuńczyka daje nadzieję, że ktoś ocalał.

Rusza akcja ratunkowa. Drugi mąż Katherine, adwokat Peter Carlyle, może wiele stracić, gdy prawda o feralnym rejsie ujrzy światło dzienne. Zdeterminowany i przerażony, postawi wszystko na jedną kartę, by pozostać pogrążonym w żalu i bólu wdowcem. I by finał rejsu był dokładnie taki, jak zaplanował...

seria

BESTSELLERY LITERATURY SENSACYJNEJ